

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

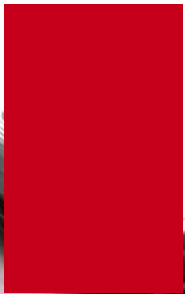


FOT. JAN WIERZEJSKI/NETFLIX

**BORYS
SZYC**
Mężczyzna tęskni
za przyjacielem ▶ 33



**WYSOKIE
OBCASY**
**Ewa
Zakrzewska**
Chcę żyć
z moim ciałem
bez żadnych pytań



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Polska równoległa

- Kaczyński nie chce ułaskawienia
- Duda psuje negocjacje z rządem

MONTAŻ: MARIUSZ ROSA
FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS (2),
FOT. KUBA ATYS/ AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Instytut Pamięci...
no właśnie, jakiej?
Pytamy, co zrobić
z IPN



TV Republika
całkiem
poważna
telewizja ▶ 14

**Jak chodzić
po muzeum**
i się zachwycić
▶ 30

**Walczyć
o metry?**
Bez sensu – mówią
w Kijowie ▶ 4

Agnieszka
Kublik



No, jaja chyba sobie ci nasi robią

Niech ci, którzy dziś rządzą, wiedzą, że pójdą siedzieć, jeśli złamią prawo – takie spostrzeżenia ma pracujący dorywczo mieszkaniec Podlasia, gdy zagadując, co sądzi o Kamińskim i Wąsiku.

Podlasie, zaplecze tzw. twardego elektoratu PiS, tu dwa razy wygrywał Andrzej Duda. Ludzie, z którymi rozmawiam, to żadna statystyczna próba, nie mam podstaw do wniosków, jak teraz głosowałoby Podlasie. To tylko rozmówki „przy wycinaniu lasu”. Tak sobie gadamy: jak widzą to, że skazanym Duda udzielił schronienia w Pałacu Prezydenckim? Że Kaczyński nazywa ich więźniami politycznymi? Że Kamiński głoduje?

– A co, myśleli, że ich nikt nie ruszy? – peroruje 50-latek, który żyje z pracy dorywczej, zaznacza, że na Kaczyńskiego to nigdy nie zagłosował. – Może teraz będą zagranicę prosić o pomoc, że ich prawa człowieka są naruszane, może te instytucje, na których psy od lat wieszali? Może teraz tam listy będą pisać? No, jaja chyba sobie robią.

Głodówka Kamińskiego go nie wzrusza. – A niech głoduje – powiada – tam są przepisy, że trzeba siłą karmić, kropłówkę czy co tam dostanie. Dla mnie to się liczy, że jak przestępca,

to ma siedzieć. I jeszcze żeby ci, co dziś rządzą, nie myśleli, że nie pójdą siedzieć, jak coś przeskrobiają.

Starszy pan, na emeryturze, wcześniej na państwowej posadzie, od zawsze za Kaczyńskim, ma jedno strapienie:

**Emeryt, wyborca
Kaczyńskiego: Dlaczego
policja tak długo zwlekała,
żeby ich zwinąć?**

dlaczego policja tak długo zwlekała? – Pani, nie rozumiem, normalnie to człowieka od razu zatrzymują, a tu co, jakiś sędzia się bał? Jak sędzia ma się bać, to na głowie postawione. Skandal. Mnie tam taki sąd to do niczego niepotrzebny.

Policję chwali, że Kamińskiego i Wąsika zatrzymała sprawnie, elegancka robota, kiwa głową na znak aprobaty.

40-latek, ma własną firmę, PiS poparł w 2015 r., potem już nie. – Jak się mieli za te sądy wziąć, to mi się spodobało, ale potem, to ja przepraszam, jeszcze gorzej się porobiło. Straciliśmy osiem lat, a dziesięć będziemy to odczuwać. Widzę, że się teraz coraz więcej gości od Kaczyńskiego odwraca. Słyszałem o takim jednym, co zawsze był za PiS, to teraz, kiedy siostra zza płotu mu wypomina, że co ten twój PiS narobił, to się obraża. A chodzi o to, że nie wie, jak dobrze siostrze odpyskować.

Jeśli już zagorzały zwolennik Kaczyńskiego nie wie, jak go bronić, to o czymś to świadczy.

– Wszystko się odwraca, wszystko – cieszy się 40-latek. – Dobrze, że wreszcie siedzą, bo myśmy się tu irytowali, co jest nie tak z tym sądem, że nie kazał ich od razu zatrzymać.

Po wyborach PiS nieco stracił – średnia spadła z 35 do 31 proc. Kaczyński liczy, że awantura o więzienną celę przysporzy mu procentów. Jak niziutko upadł, że chce wznosić siłę Prawa i Sprawiedliwości już nie na żadnym mniej lub bardziej państwowym, społecznym czy narodowym micie, ale na kreowaniu prywatnej wersji Prawa i prywatnej wersji Sprawiedliwości. ●

Andrzej rysuje



Wielowieyska



Jarosław Kaczyński zaczął się martwić, że konsolidacja obozu i mobilizacja jego zwolenników osłabły. Paliwo smoleńskie już nie działa, aparat partyjny został pozbawiony posad i państwowych pieniędzy, więc nie ma czym ich kusić, obrona TVP też kuleje.

Co prawda Michał Adamczyk niczym papież pozdrawia zwolenników PiS z okna siedziby TVP Info na placu Powstańców, ale okazało się, że Adamczyk, wedle PiS nowy prezes TVP, w przeszłości znęcał się nad partnerką, a ostatnio skąpił pieniędzy na córkę, mimo że miesięcznie brał około 180 tys. zł z naszych podatków.

Takie informacje pojawiły się już po ogłoszeniu, że PiS zwołuje zwolenników na czwartek 11 stycznia w obronie mediów państwowych. I pojawił się kłopot: czy ludzie będą chcieli demonstrować w obronie 180 tys. zł Adamczyka. Ale nadzieja zaświtała w sercu prezesa w związku ze sprawą Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. W grudniu zostali skazani prawomocnym wyrokiem na dwa lata więzienia i prezydent teraz mógłby ich ulaskawić zgodnie z prawem. Dzięki temu uniknęliby odsiadki. Ale nie ulaskawia, bo prezes PiS tego nie chce. Kaczyński skalkulował to tak: jeśli policja ich nie zatrzyma i nie doprowadzi do zakładu karnego, to będzie się mówić, że koalicja rządząca to „fujary” – jak określił to niedawno w Sejmie Ziobro. Kamiński pokazał gest Kozakiewicza, obaj panowie śmiali się policji w nos.

A druga opcja: jeśli policja będzie sprawa i zatrzyma obu polityków, będzie się mówić o zamachu stanu.

Dlatego Wąsik i Kamiński schronili się w Pałacu Prezydenckim, aby widowisko było jeszcze bardziej emocjonujące. Plan polegał na tym, aby zatrzymanie odbyło się przed kamerami. Nie odbyło się, ale szef gabinetu prezydenta Marcin Mastalerek powiedział w Polsce, że „panie w kancelarii się popłakały” z powodu domniemanej brutalności policji. I tu niedopatrznie: kamery tego nie zarejestrowały. Teraz my płacemy nad nieumiejętnością przewidywania zdarzeń przez Mastalerka, który nie zabezpieczył rejestracji wizualnej. Płaczące kobiety zawsze robią wrażenie. Niemądra i pozbawiona zasad Beata Sawicka, którą za pierwszych rządów PiS uwiódł i wmanewrował w korupcję agent Tomek, przynajmniej płakała przed kamerami. I choć każdego myślącego człowieka ta scena żenowała, to odniosła skutek. Choćby ten, że uświadomiła społeczeństwu, jakimi metodami posługują się PiS-owskie służby.

Pomijam już to, że panie by nie płakały, gdyby prezydent z dwoma skazanymi nie urządzili cyrku z chowaniem się w Pałacu Prezydenckim. Wszystko to teatr i pluszowe męczeństwo, bo przecież do tych scen nie musiało dojść. Wystarczyłoby, aby prezydent skutecznie zastosował prawo łaski już po prawomocnym wyroku.

Można oczywiście prowadzić dysputy prawne, czy prezydent miał prawo ulaskawić obu polityków przed prawomocnym

Kilka scenariuszy

Areszt

Kamiński i Wąsik mogliby uniknąć odsiadki. Duda może

wyrokiem, czy nie, można przywoływać fragmenty podręczników prawniczych, w których jeden profesor mówi to, inny co innego. Internauci przypomnieli Dudzie, że jego kancelaria tak odpowiedziała na prośbę ulaskawienia w pewnej konkretnej sprawie: „Odpowiadając na Pana korespondencję z dnia 30 maja 2016 r., dotyczącą aktu łaski w sprawie dokonywanych komorniczych potrąceń z renty, uprzejmie informuję, iż sprawa ta nie może zostać rozpatrzona w postępowaniu ulaskawieniowym, bowiem prawo łaski stosowane jest wyłącznie do kar i środków karnych orzeczonych w prawomocnych wyrokach sądowych”.

Pytałam w TOK FM panią minister Małgorzatę Paprocką, odpowiedzialną za sprawy prawne w Kancelarii Prezydenta, czy to pismo jest autentyczne i czy nie widać wyraźnie, że prezydent po prostu zmienił zdanie. Pani minister odpowiedziała, że to przecież chodzi o jakieś tam komornicze działania, więc nie ma sprawy. Ale w sumie to wszystko jest nieistotne, bo swoje zdanie na temat ulaskawienia można mieć. Kluczowe jest to, że Sąd Najwyższy orzekł, że proces karny Kamińskiego i Wąsika musi być dokończony, wcześniejsze ulaskawienie jest nieskuteczne, a następnie sąd II instancji ich skazał. I państwo jest zobowiązane ten wyrok wykonać. Jeśli komuś się nie podoba, to można złożyć kasację do SN albo i skargę nadzwyczajną, a potem odwołać się do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, że o ulaskawieniu nie wspomnę.

Ale dla Kaczyńskiego co innego jest ważne. Sprawa Wąsika i Kamińskiego jest najlepszym spoiwem dla obozu PiS. Choć prawda jest taka, że Kamiński i Wąsik nie budzą entuzjazmu u dużej części działaczy partii. Służby szukały rozmaitych haków także na swoich, aby byli posłuszni. Tego od nich oczekiwał Kaczyński. Za Kamińskim i Wąsikiem nigdy nie przepadał premier Morawiecki, który namawiał prezesa, by ówczesnego szefa MSWiA odwołać. Prokuratura na spółkę ze służbami też krążyła wokół Morawieckiego i jego ludzi. W czasie posiedzenia komisji śledczej w sprawie afery kopertowej wicepremier w rządzie PiS Jarosław Gowin mówił, że służby podejmowały działania wobec niego, które miały go skompromitować czy też dostarczyć haki, które skłoniłyby go do ustępstw w sprawie tej formy głosowania. Sprawdzone działalności gospodarczą jego syna. A Gowin nie był tu wyjątkiem, tak samo postępowano z innymi działaczami.

Kaczyński nie miał zamiaru słuchać Morawieckiego i odwoływać Kamińskiego, bo ten raportował bezpośrednio na Nowogrodzką i tylko wobec niej był lojalny. A dla prezesa PiS kluczowa jest równowaga wpływów poszczególnych frakcji.

Cicha niechęć do angażowania się w awanturę wokół aresztu dla obu polityków ma też inne źródło. Część obozu PiS uważa, że nie należy atakować Trzeciej Drogi i strzelać kulami armatnimi, krzycząc o zbrod-

Najważniejsze, by awantura i teatr wokół aresztowania polityków PiS nie przystąpiły klasie politycznej podstawowej kwestii: za naszą granicą toczy się wojna. Na szczęście Duda ma pełną świadomość powagi sytuacji

w PiS, jak wrócić do władzy

założycielski

ich ułaskawić zgodnie z prawem. Nie ułaskawia, bo Kaczyński nie chce

ni, dyktaturze i zamachu stanu. Nie chcą palić mostów. Uważają, że PSL mógłby być kiedyś koalicjantem PiS. A może i Polska 2050. Obawiają się, że totalna wojna sprawi, iż partia ugrzęźnie w politycznej izolacji na długie lata. Nie bez przyczyny satyryk Marcin Wolski, emblematyczna postać środowiska PiS, mówił w ważnym w kręgach prawicy Klubie Ronina zaraz po ostatnich wyborach, że teraz trzeba „cmokać w pupcię Trzecią Drogę”.

Charakterystyczne, że gdy marszałek Szymon Hołownia był pod ostrzałem w kontekście wygaszania mandatów poselskich obu skazanych, Morawiecki nie był zbyt aktywny w mediach społecznościowych. Wzmógł się, dopiero gdy procedura zatrzymania weszła w decydującą fazę i głównym obiektem krytyki stali się policja i kontrolujący ją szef MSWiA Marcin Kierwiński z PO. Morawiecki od zawsze chciał podmienić Suwerenną Polskę Ziobry na PSL, tyle że Nowogrodzka się nie zgadzała.

A i sami ludowcy mają świadomość, jak Kaczyński traktuje koalicjantów. Przecież w aferze gruntowej, za którą Wąsik i Kamiński zostali skazani, chodziło właśnie o to, by skompromitować Andrzeja Leppera, ówczesnego koalicjanta PiS, i przejąć jego wyborców. By złowić lidera Samoobrony, sfabrykowano dokumenty, urządzono nielegalne podsłuchy. Wyrok sądu jest surowy, bo władza nie może fałszować dokumentów, by polować na jakiegokolwiek obywatela. Pułapka na Leppera – cokolwiek sędzimy na temat tego polityka – była zbrodnią przeciwko demokracji i państwu prawa. Sąd uznał, że urzędnicy nie mogą podżegać do przestępstwa.

Trzeba być skrajnie naiwnym, by sądzić, że Kaczyński lepiej potraktowałby PSL. Przed zeszlorocznymi wyborami potencjalnym koalicjantem PiS miała być Konfederacja. Tymczasem Nowogrodzka robiła wszystko, aby tę partię wsadzić pod łód, włącznie z akcją w TVP w samej końcówce kampanii, kiedy próbowano skompromitować konfederatów za pomocą podsłuchanej konwersacji prezesa NIK Mariana Banasia.

Morawiecki wie, że teraz nikt z PiS nie chce współpracować, jednak wychodzi z założenia, że gdy odejdzie Kaczyński, sytuacja się zmieni. Frakcja patrząca tęsknie w stronę Trzeciej Drogi zakłada, że konserwatywni politycy PSL i PL 2050 mogą być po jakimś czasie znużeni koalicją z lewicą, będzie ich uwierać, że rząd Tuska ogranicza lekcje religii w szkole, forsuje rozmaite projekty obyczajowe, nakłania do popierania liberalnego prawa aborcyjnego. Że będą z niechęcią spoglądać na aktywność lewicowej szefowej MEN Barbary Nowackiej i minister pracy Agnieszki Dziemianowicz-Bąk. I gdy już konserwatyści się zmęczą, Morawiecki zacznie ich kokietować.

To nie musi oznaczać rozpadu Koalicji 15 Października, to raczej inwestycja długofalowa. O tym, że ludzie Morawieckiego chcą dzielić koalicję na lepszych i gorszych, świadczy choćby post na platformie X (dawniej Twitter) posła PiS Łukasza Schreibera: „Milczenie Trzeciej Drogi jest wymowne. Wiele ich lokalnych działaczy jest przerażonych tym, co wyprawia Tusk, ale oni nic nie mogą”. To oczywiście zawracanie głowy, bo koalicja w tej sprawie jest zwarta: jest prawomocny wyrok sądu II instancji, więc skazani idą do więzienia. I ta sprawa nie ma żadnego związku z Tuskiem.



• **Środa 9 stycznia, Jarosław Kaczyński pikietuje pod komisariatem przy ul. Grenadierów na warszawskim Grochowie, do którego przewieziono zatrzymanych Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika** FOT. MACIEK JĄZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Taka strategia oszczędzania PSL nie za bardzo się podoba Kaczyńskiemu, bo uznaje ją za politykę mięksiszonów. Wymaga od swoich ludzi twardej postawy i okrzyków o dyktaturze pod adresem całej koalicji. Aby nie pozostawić im pola manewru, wybiera wariant, w którym Wąsik i Kamiński muszą jakiś czas spędzić w areszcie, by podtrzymać wzmoczenie w elektoracie. Pozostaną tam, dopóki prezydent nie dojdzie z Nowogrodzką do porozumienia, w jaki sposób ich wyciągnąć z więzienia tak, by nie przyznać, że ułaskawienie po nieprawomocnym wyroku było niezgodne z prawem. Wtedy „więźniów politycznych” pod zakładem karnym tłum będzie witał z kwiatami i biało-czerwonymi flagami, a PiS ogłosi wielkie zwycięstwo.

Może Kaczyński będzie chciał jednak, aby siedzieli dalej, bo mu to cementuje obóz i umacnia jego władzę. Jednak taka taktyka jest ryzykowna, bo działacze mogliby dojść do wniosku, że lider jest gotowy robić z nich kozły ofiarne, trzymać w celi i nie zamierza ich ratować, choć ma możliwości. To samo ryzykuje Duda, przeciągając sprawę.

Historia Wąsika i Kamińskiego wykracza jednak poza ten proces karny. Olbrzymim problemem jest dualizm prawny w Sądzie Najwyższym, w którym różne izby wydają sprzeczne orzeczenia. Tak państwo nie może funkcjonować. To spuścizna po PiS, który utrwalił anarchię prawną. Niemniej realia są takie, że prezydent ma prawo wetować ustawy i uporządkowanie tego chaosu jest bardzo trudne. Gdy czytam opinie symetrystów i zwolenników PiS, że to starzy sędziowie są upolitycznieni, bo nie chcą respektować statusu neosędziów, to śmiech mnie ogarnia, bo sama widziałam, jak w poniedziałek Duda po kryjomu podjeżdżał pod dom prof. Manowskiej. Zapewne by konsultować strategię związaną z ostatnim kryzysem.

Minister sprawiedliwości Adam Bodnar liczył, że możliwe są negocjacje z obozem prezydenckim w tej sprawie. I prof. Małgorzata Manowska proponowała wcześniej rozmaite rozwiązania, które mogłyby zmienić zasady powoływania Krajowej Rady Sądownictwa. Te dwie osoby mogły się stać ordędownikami jakiegoś porozumienia i uzdrowienia sytuacji.

Jednak największy opór stawia Duda, więc niewykluczone, że kryzys związany z dwoma Sądami Najwyższymi będzie się powtarzał, choć może nie w takiej gwałtownej formie. Jednej osobie na pewno bardzo

zależy na tym, aby ten chaos pozostał niezmienny. To Kaczyński. Konflikt wokół sądownictwa będzie dla niego fundamentem działania, więc zrobi wszystko, aby do żadnego porozumienia między koalicją rządzącą a prezydentem nie doszło. I dziś musi być zadowolony, bo o ile jakiś czas temu Duda, Manowska i Bodnar mogliby być skłonni do szukania kompromisu, o tyle teraz wskutek logiki zdarzeń obie strony okopały się na pozycjach. Bo trudno zaakceptować to, że prezes Manowska trzymała stronę Izby Kontroli Nadzwyczajnej i neosędzię Aleksandra Stępkowskiego, który na rympał na podstawie kopii dokumentów orzekał w sprawie kolegów z rządu. Był przecież wcześniej wiceministrem spraw zagranicznych w gabinecie PiS, jest oczywiste, że powinien się wyłączyć z orzekania. Pomijam już sam fakt, że w świetle orzecznictwa Trybunału Sprawiedliwości UE i uchwały trzech izb SN Izba Kontroli nie jest sądem, lecz konstruktem, który PiS powołał, by zapadały tam orzeczenia dotyczące polityków, w ten sposób gwarantując sobie bezkarność.

Jedną z przeszkód do osiągnięcia jakiegokolwiek kompromisu w sprawie SN jest przekonanie ludzi tej formacji, że jak sąd wydaje wyrok pozytywny dla PiS, to jest dobry, ale jak wydaje wyrok nie po myśli Kaczyńskiego, to znaczy, że sądy przejęła PO. To po części cyniczne, ale po części wynika z pewnych ograniczeń intelektualnych i niezrozumienia idei trójpodziału władz.

Dlatego gdy sąd rejestrowy nie wpisał do KRS władz spółek medialnych powołanych przez ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza, PiS woła: mamy rację, mówiliśmy, że Sienkiewicz nie ma podstaw prawnych do swoich decyzji, gdy wyrzucał PiS-owskie władze TVP. (Ta batalia prawna się nie kończy, bo potem Sienkiewicz zdecydował o postawieniu TVP w stan likwidacji i czekamy, co sąd powie w tej sprawie).

Gdy sąd w sprawie Wałęsa kontra Kaczyński orzekł na korzyść tego ostatniego (a orzekła sędzia, która należy do znienawidzonej przez PiS organizacji Iustitia), to PiS woła: tak, racja jest po naszej stronie. Ale gdy sędzia sądu rejonowego podejmuje decyzję o wykonaniu wyroku sądu skazującego Wąsika i Kamińskiego, to działacze PiS rzucają się, by udowodniać, że to slugus Platformy. I nie obchodzi ich, że ten sam sędzia ukarał aktywistkę za namalowanie hasła „Aborcja jest OK” na pomniku smoleńskim. Bo po prostu w logice myślenia PiS nie

mieści się, że sędzia może orzekać na podstawie prawa, a nie swoich przekonań.

Teraz zaplecze medialne PiS rozdziela szaty: szlachetni bojownicy z korupcją w więzieniu, a taki Włodzimierz Karpiński z PO wyszedł z aresztu i objął mandat europosła. To już tak dramatyczna demagogia, że nie wiadomo, jak reagować. Karpiński bardzo długo siedział w areszcie, bo sądy – w retoryce PiS platformiane – na życzenie ziobrowej prokuratury wciąż przedłużały mu areszt. Wyszedł na skutek dość nieoczekiwanej koincydencji: a mianowicie startował niegdyś do Parlamentu Europejskiego i teraz, po rezygnacji z mandatu dwóch innych polityków, on do PE w samej końcówce kadencji wchodzi. A dlaczego nie został jeszcze skazany? Bo – taki drobiazg – prokuratura Ziobry nie napisała aktu oskarżenia.

Co więcej: sprawa będzie się toczyć dalej i nic nie przeszkadza w wyjaśnianiu zarzutów w sądzie. I jeśli żony Kamińskiego i Wąsika w TV Republika wołają do Tuska z oburzeniem, że zamknął ich mężów w więzieniu, to od biedy i nieco protekcyjnie można uznać: no trudno, panie nie orientują się, na czym polega wymiar sprawiedliwości i jak działa. Ale gdy takie argumenty przedstawia doświadczony publicysta „Do Rzeczy” Piotr Semka, to można tylko załamać ręce. A już najbardziej śmieszny to, że teraz politycy PiS na wyroki polskich sądów skazują się za granicą, choć jeszcze niedawno twierdzili, że takie postępowanie to „targowica i zdrada”.

Najważniejsze jednak, by cała ta awantura i teatr nie przysłoniły klasie politycznej jednej podstawowej kwestii: za naszą granicą toczy się wojna, dochodzą niepokojące sygnały, że Putin chce posunąć się jeszcze dalej, tymczasem wspólnota euroatlantycka dyskutuje o skali pomocy dla Ukrainy. Tu bezwzględnie potrzebna jest jedność ponadpartyjna i na szczęście prezydent ma pełną świadomość powagi sytuacji. Podobnie jak rząd Tuska. Nie ma jej Kaczyński, ale to w tej chwili ma mniejsze znaczenie, bo stracił już władzę. •

Dominika Wielowieyska

Kod dostępu
do Wyborcza.pl



FOT. JAKUB WŁODEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

Ukraiński polityk:
Ukraińcy dali się uwieść
obietnicom o zwycięstwie.
25-letnia Alona w pociągu
z Kijowa do Chełma: Rosjanie
mają wszystko: nową broń,
starą broń, ludzi. My nie mamy
żadnej z tych rzeczy.



PO CO MNIE NAREPEROWALIŚCIE

Placzą ranni żołnierze w kijowskim szpitalu

Wiktoria Bieliaszyn

„Ch... z kacapami. Ch... z wojną”, mówi w emocjach Dmytro i żywo próbując okazać rękoma ni to złość, ni to bezradność, strąca ze stolika kubek.

Zaraz przeprasza. Nie wypada w ten sposób wyrażać się w obecności kobiet i dzieci, a w przedziale pociągu relacji Kijów – Chełm jesteśmy we czwórce: on, ja, czteroletni Maks i dwudziestopięcioletnia Alona. Nasza trójka jest przecież z innego świata, nie widziała tego, co Dmytro, nie uciekała z zajętego przez Rosjan miasteczka ze świadomością, że jeden niepewny ruch może kosztować jeśli nie życie, to zdrowie, bo oni bili i torturowali, i sprawdzali telefony, a jeśli znaleźli w nich coś niewłaściwego, to robili to samo w kółko od nowa i żądali wdzięczności, bo przynieśli ze sobą porządek i wartości. Dlatego trzeba z nami rozmawiać o czymś normalnym, bo my, znając wojnę jedynie z mediów albo opowieści tych, którzy wrócili z frontu i odczuwając ją najmocniej, gdy zbiegamy po schodach do schronu w centrum Kijowa, patrzymy na nią inaczej. I ciągle mamy nadzieję, ciągle wierzymy w zwycięstwo, bo nie widzieliśmy ciała rozrywanych na ulicy przez wygłodniałe psy, nie słyszeliśmy krzyku torturowanych ludzi, odgłosów wystrzałów, po których zapada martwa cisza.

Dmytro w zwycięstwo nie wierzy, choć bardzo chce, ale po siedemdziesiątce zna się życie i patrzy na świat

realnie, więc nie ma się złudzeń. Wie się natomiast, że Ukraina sama sobie nie poradzi, a Zachód wciąż nie rozumie, że potrzebna jest broń, broń, broń. Choć w sumie trudno powiedzieć, czy na tym etapie to pomoże, bo realna szansa na pokonanie wroga była na początku inwazji. Teraz to już może po ptakach, a wszystko przez to, że Zachód się bał, czekał, liczył na negocjacje z Putinem, kompromisy, ukraińską kapitulację. Teraz już chyba nie liczy, ale wojnę się zmęczył, ma swoje problemy i wojnę w Izraelu. Ni by rozmawia z Zelenskim, ale to przypomina pochylanie się nad człowiekiem, który prosi o jałmużnę.

I tylko chłopców szkoda. Tyłu ich już zginęło, a umrze jeszcze więcej, bo kiedy Zachód się zastanawia, Putin kupuje rakiety i drony, przedstawia Rosję na gospodarkę wojenną i mobilizuje kolejne grupy bezwolnych ludzi, którzy umrą, skoro tak im kazał. Ale śpijmy już, bo za kilka godzin granica i przesiadka do Warszawy. Czy tutaj pogranicznicy każą nam pokazywać telefony? A otwierać walizki? No tak, no tak, a Ruscy kazali... Dobrej nocy, dziewczynki, dobrej nocy, chłopczyku, oby niebo nad nami było tej nocy spokojne.

W taki scenariusz nie wierzą ukraińskie władze. A przynajmniej nie mówią, że biorą go pod uwagę. Doradca szefa kancelarii prezydenta Mychajło Podolak

robi dobrą minę do złej gry. Zapewnia o zaufaniu do Zachodu i że ów zdaje sobie sprawę z zagrożenia, jakie niesie Rosja. Jednocześnie przyznaje, zaciska mu się bezwiednie szczeka, kiedy po raz kolejny słyszy, że amunicja przyjdzie dopiero za dwa tygodnie. I chyba nie wszyscy partnerzy rozumieją, że to oznacza dla żołnierzy dwa tygodnie w okopie pod ostrzałem artylerii bez możliwości odparcia ataku. Ale mimo zaciśniętej szczęki tłumaczy tym, którzy nie rozumieją, że życie w kraju, w którym toczy się wojna, to ciągły strach, ból, lęk i niepewność. Ale tak, zdaje sobie sprawę, że ci, którzy wojnę obserwują z odległości kilku tysięcy, a nawet i kilkuset kilometrów, nigdy jej nie poczuja.

Niektórzy śmieją się, że w centrum ukraińskiej stolicy można czuć się bezpieczniej niż w Białym Domu. Rzeczywiście, mimo ostrzałów i częstych alarmów tętniącego życiem miasta nie da się porównać do tych, które przeszły okupację, przez które przeszedł front albo zostały przez Rosjan zrównane z ziemią. Ale i w Kijowie, choć dalekim od frontu, trudno zachować spokój. A nawet optymizm.

Blokposty, mężczyźni w mundurach, mężczyźni i kobiety z bronią, dzieci bawiące się na zniszczonych pojazdach rosyjskiej armii wystawionych na ulicach jako trofea, w oknach wielu budynków nieliczne światła, całkowi-

cie zaciemniona po zmroku dzielnica rządowa, ludzie bez rąk i nóg.

Szpital wojskowy leży kilka kilometrów od centrum. Pierwszą rzeczą, jaka rzuca mi się w oczy po przekroczeniu bramy, jest mural: żołnierz z Wyspy Węży. Ten, który powiedział Rosjanom żądającym kapitulacji, by ze swoim „rosyjskim wojennym okrętem poszli w chuj”. Druga to punkty obserwacyjne. Bo w pierwszych tygodniach inwazji, kiedy Rosjanie usiłowali zdobyć Kijów, odchodzący od stołu operacyjnego lekarze kierowali się prosto do magazynu broni, by przez kolejne godziny stać na straży. Ale dzisiaj linia frontu przebiega daleko, a głównego chirurga urazowego czeka jeszcze tylko jedna zaplanowana operacja, więc między amputacją nogi drugiego pacjenta a amputacją ręki drugiego znajduje czas, by porozmawiać.

Petro Nikitin, lat 59, nigdy nie wie, co powiedzieć matce albo żonie żołnierza, któremu przywrócił sprawność. Bo wiele z nich nie dziękuje, tylko pyta ze złością i rozpaczą w głosie, co on najlepszego zrobił, przecież zaraz znowu zabiorą go na front. Placzą matki, placzą żony, placzą niekiedy i sami żołnierze, bo nie wszyscy chcą wracać, nie każdy marzy, by chwycić broń i strzelić do kacapa. Niektórzy chcą po prostu wrócić do domu i pożyć, popatrzeć, jak dzieci rosną.

Nikitin stara się rozumieć, choć nierzadko całego siebie włożył w złożenie w jeden kawałek takiego chłopca

ka, na widok którego młodszy lekarz z przerażeniem łapali się za głowy, bo co tu zbierać po wybuchu miny.

A nie pamięta nawet, kiedy po prostu wyjmował z rany kulę, co zresztą wcale go nie cieszy, i – zwraca uwagę – wiele mówi o charakterze tej wojny. Od czasów II wojny światowej żadna armia nie widziała takiej liczby żołnierzy z oderwanymi kończynami co ukraińska, opowiada. Bo mina, granat albo odlamek pocisku uszkadzają wiele części ciała jednocześnie: tkanki miękkie, kości, struktury łączące nerwy i żyły. Przyjmując na oddział pacjenta, który ma obrażenia nóg, klatki piersiowej, brzucha i ramion, trzeba decydować, co jest priorytetem.

70 procent trafiających na jego oddział żołnierzy to tacy, którzy utracili część kości. Chirurdzy próbują je później wydłużać, scalać, a nawet „hodować” dzięki sztucznyemu odpowiednikom, mieszając pobraną, skruszoną kość pacjenta z substytutem i umieszczając ją później w ubytku na gwoździu lub płytce. To oczywiście ten optymistyczny, wymagający szacowanych w tysiącach dolarów scenariusz. Znacznie gorzej, jeśli trafi im się „czarna wdowa”, czyli pacjent, któremu odebrało całą kończynę, albo „płattek” pozbawiony przedniej lub tylnej części stopy. Tam niewiele można zdziałać.

Zdrowiejący pacjenci nie zawsze się cieszą, ale i nie brakuje im tych, którzy na protezach rwą się do okopów. A później przysyłają lekarzowi zdjęcia w mundurach, pod którymi kryje się proteza albo i dwie. Chirurg nie wie, czy to dobrze. Tłumaczy, że wojna nie jest czymś naturalnym dla człowieka, i boi się pytać, co płaczący z powodu powrotu do zdrowia żołnierz przeżył. Ale nie ma innego wyjścia, bo wroga trzeba pokonać. Bo nie ma czegoś takiego jak pokój z Rosją, z Putinem i nie wolno próbować dogadać się z Kremlem, bo to fałsz i groźba kolejnej napaści. Może należałoby posłuchać tych, którzy coraz częściej mówią, że potrzebują odpowiednika, powrotu do domów, żon i dzieci, bo spłacili już dług wobec ojczyzny, bo przyszedł czas, by zrobili to kolejni?

Tylko że z tymi kolejnymi będzie trudniej. Mówi o tym wprost doktor politologii Nikołaj Kapitonienko z Instytutu Stosunków Międzynarodowych Kijowskiego Uniwersytetu Państwowego, który podkreśla, że władze będą musiały zmobilizować w tym roku około 500 tysięcy osób, a może i więcej. Problem w tym, że ludzie, którzy chcieli walczyć, najbardziej pryncypialni i zmobilizowani, już poszli na front jako ochotnicy. Wielu zginęło. A wielu nie sądziło, że trzeba będzie walczyć przez lata, bo zwycięstwo miało nastąpić po kilku tygodniach, no, miesiącach.

Wojna nie wygląda już jak wyzwalanie terytoriów, tylko mozolne utrzymywanie linii frontu, a do takiego zadania o wiele trudniej jest znaleźć ochotników. I chociaż Ukraińcy nie są gotowi na jakiegokolwiek ustępstwa wobec Rosji, to jednocześnie wielu woli bronić terytoriów z kanapy, a nie z okopu, twierdzi. Gdyby tak nie było, do wojskowych komisji rekrutacyjnych wciąż stałyby kolejki.

Socjolog Jewhen Hołowacha nie jest zdziwiony. Zbyt optymistyczne prognozy sukcesu kontrofensywy, tłumaczy, sprawiły, że społeczeństwo podupadło na duchu. Ukraińcy musieli skonfrontować się z gorzką prawdą: wróg jest niebezpieczny, nie uda się go szybko pokonać. I ta świadomość wpływa na stan zdrowia Ukraińców, co zresztą potwierdzają badania, które mówią, że o ile psychicznie ludzie radzą sobie nie najgorzej, to fizycznie jest kiepsko. Bo spadek poziomu życia ze względu na wojnę, bo przewlekły stres, bo żaloba. Bo 70 procent Ukraińców ma krewnych lub bliskich, którzy zginęli. Jeszcze więcej tych, którzy zostali ranni. A to – kiedy brak nadziei na szybkie zwycięstwo – nie zachęca do patriotycznych porywów jak w pierwszej fazie inwazji.

Posel partii Hołos Serhij Rachmanin uważa, że źródłko pod nazwą „ochotnicy z potrzebą serca” ostatecznie się wyczerpało. I że władze stoją teraz przed kolejnym trudnym zadaniem: jeśli nie zachęceniem ludzi do samodzielnego wstępowania do armii i obrony terytorialnej, to przynajmniej przekonaniem ich, z pomocą psychologów, żołnierzy, weteranów i różnego rodzaju gwarancji, by się tego nie bali, kiedy zostaną powołani.

„Nie każdy człowiek rodzi się bohaterem, ale niemal w każdym można go obudzić. Tyle że nie zrobi tego brzuchaty major. Potrzebna jest motywacja, uczucia patriotyczne, przekonanie, że ci, którzy nigdy w życiu nie trzymali broni w ręku, nauczą się wszystkiego, co może im się przydać. I że w razie problemów ani oni, ani ich rodziny nie zostaną sami”.

21-letni Walera z obwodu żytomierskiego ze względu na młody wiek co prawda nie należy do mężczyzn podlegających mobilizacji, ale stara się nie rzucać nikomu w oczy, bo czasy są takie, mówi, że każdego człowieka mogą zabrać prosto z ulicy i wywieźć na poligon w Czernihowie. Walera nie chce walczyć, bo nie potrafi i nie wierzy, że jakiegokolwiek ćwiczenia i szkolenie mogą cokolwiek zmienić. Ma wyrzuty sumienia i pyta sam siebie, czy to uczciwe, że inni śpią w okopie, a on w czystej pościeli, ale słyszał, że w armii straszny burdel i że nawet świeżo wcieleni chłopcy bywają rzucani w piekło. I Walera pamięta opowieści kolegi ze szkoły, który zaciągnął się jako ochotnik i skończył z przestrzelonym płucem. Poza tym trudno wierzyć w zwycięstwo, chociaż nie wolno dopuszczać innej możliwości, ale przecież widać, co dzieje się z dostawami broni z Zachodu. A Rosja zawsze będzie w stanie zdobyć potrzebne jej pozycje, rzucając mięso armatnie na szturm: więźniów, Tatarów i Buriatów, których wszyscy mają gdzieś.

30-letnia Olesia o mobilizacji myśli z równym, jeśli nie większym niepokojem. I drży o męża, bo ten, jak mówi, ma kruchą psychikę, a na wojnie można stracić nie tylko życie, rękę czy nogę, ale też zmysły. A to zdaniem Olesi najgorsze, co może przydarzyć się człowiekowi. Wie, o czym mówi. Widziała teścia koleżanki, który wiele miesięcy przebywał na pierwszej linii. Aż osza-

lał, ale o tym rodzina przekonała się dopiero, kiedy wrócił do domu ze względu na ranę nogi. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego co i rusz wykrzykuje z niedowierzaniem, że ludzie dookoła naprawdę są żywi. Że wyglądają, jakby żyli!

Ukraińcy nie są zmęczeni wojną. Uczucie zmęczenia zakłada, że można pozbyć się jego źródła. A od wojny nie da się odpocząć. Ciało i umysł są w stanie ciągłej mobilizacji przygotowane na wypadek kolejnego wybuchu czy nalotu. Tak mówi Anna Szyjczuk, koordynatorka programu pomocy psychologicznej fundacji pomocowej Prawo do Ochrony. I tłumaczy, że jednym z największych problemów dla psychiki Ukraińców jest to, że nikt nie wie, jak długo potrwa walka. Ani czym się skończy.

Psychoterapeuta z Kijowa: Budzisz się i orientujesz, że do domu wtargnął człowiek z toporem. Pod wpływem emocji jesteś w stanie wykorzystać jako broń niemal wszystko, odnajdujesz wolę i siły, by go wypchnąć z mieszkania. Ale co, jeśli on będzie przychodzić z toporem każdego ranka przez dwa lata?

Jak to zobrazować? Jeden z psychoterapeutów, którego poznaję w Kijowie, prosi, żebym wyobraziła sobie, że budzę się pewnego ranka i orientuję, że do mojego domu wtargnął człowiek z toporem. „Pod wpływem emocji jesteś w stanie wykorzystać jako broń niemal wszystko, odnajdujesz w sobie wolę i siły, by go wypchnąć z mieszkania. Ale co, jeśli ten sam człowiek będzie przychodzić z toporem każdego ranka przez dwa lata?”.

Na początku inwazji paliwem dla Ukraińców była adrenalina. Pierwszy rok przynosił sukcesy. Pod koniec 2022 udało się odzyskać część terytoriów, a to wywołało falę entuzjazmu. Nie da się tego powiedzieć o roku ubiegłym. A rozczarowanie budzi krytykę, tłumaczy mi eksperci, bo o ile zwycięstwem chcą dzielić się wszyscy, o tyle winny porażki najczęściej jest jeden.

Trudno nie zauważyć tego w słowach Giennadija Druzienko, szefa projektu Mobilny Szpital, który wprost mówi, że coraz częściej zastanawia się nad słusznością słów prezydenta Zelenkiego deklarującego wolę walki „do ostatniego Ukraińca”. I nad tym, czy walka o pojedyncze kilometry kwadratowe warta jest „tyłu ludzkich istnień”. „Każdy kilometr kwadratowy kosztuje coraz więcej. Jeśli każdego dnia wyzwała się sto kilometrów kwadra-

towych, to okej. Wtedy myśli się, że wojna jest wojną, zabija, kaleczy, ale walczyć już nie o kilometry, ale metry? Bez sensu. Walczyć należy w granicach, które jest się w stanie w danym momencie obronić”.

I wytyka inne błędy: Zelenkiemu zarzuca brak umiejętności strategicznego myślenia i „fetyshyzację” granic, osobom z jego najbliższego otoczenia korupcję, władzom ogólnie – niewłaściwe inwestowanie w przemysł wojсковy i wypracowanie zbyt dużej zależności od Zachodu, brak kreatywności oraz gospodarności. „Nie możemy czekać na drony. Musimy sami je produkować”.

Podobnych głosów jest więcej. Lekarka Swieta z Iwano-Frankiw-ska zastanawia się, czy większej władzy nie powinien mieć generał Walerij Żalużny. Czy Ukraina nie byłaby bezpieczniejsza i stabilniejsza, gdyby w kolejnych wyborach prezydenckich zwyciężył on albo człowiek, który walczył na froncie.

Polaryzacja narodu, rosnący lęk i frustracja to coś, co nietrudno zauważyć w ukraińskim społeczeństwie, chociaż socjolog Jewhen Hołowacha podkreśla, że około 70 procent Ukraińców popiera działania Zelenkiego, a ponad 90 ufa armii.

Tyle że nikt nie wie, co będzie dalej. Oprócz tego, że będzie ciężko.

Wcześniej, przyznaje jeden z moich rozmówców spośród ukraińskich polityków – prosi o anonimowość – Ukraińcy dali się uwieść obietnicom o bezkrwawym, łatwym zwycięstwie. Ta wiara doprowadziła do tego, że mobilizacja i jedność osłabły, bo Ukraińcy – upojeni pierwszymi sukcesami – przerzucili całą odpowiedzialność za zwycięstwo na wojskowych i polityków, wierząc, że wojna nie dotknie każdego.

Nie brakuje osób, które to denerwuje. Dziennikarz z Kijowa przyznaje, że ma mieszane uczucia, widząc w knajpach i pubach mężczyzn w wieku poborowym, którzy popijają drinki i cieszą się cywilnym życiem.

Zaglądam do losowych knajp, pubów i restauracji. Rzeczywiście wszędzie tłoczno, przy stolikach siedzą rodziny, randkujące pary, grupy kolegów. Sobotni wieczór oznacza, że z sławnej Pijanej Wiśni w centrum Kijowa wysypie się grupa wesołych, podchmielonych osób. To jeden z nielicznych momentów, w którym trudno uwierzyć, że wojna jest tak blisko.

Ale nawet w takich chwilach ona przypomina o sobie. Za pośrednictwem obsługi, która przeprasza i wyprasza z knajpy krótko po 23: „sorry, rozumiesz, stan wojenny, obowiązuje godzina policyjna”. Albo dosłownie, poprzez umundurowanych wojskowych, którzy weszli do środka, by się ogrzać. W jednym z kijowskich klubów pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy gościom, jest półka nad barem uginająca się pod ciężarem butelek wódki. „Na dzień zwycięstwa”, głosi napis. W innym trwa stand-up lokalnego komika, który między jednym skeczem a drugim ape-luje do gości, by wpłacali na Siły Zbrojne Ukrainy.

Nikołaj Kapitonienko zauważa, że stosunek Ukraińców do wojny różni się w zależności od odle-

głości od linii frontu: ci mieszkający w miejscach, w których toczą się działania, jako zwycięstwo postrzegają brak bezpośrednich ataków i ostrzałów. Im większy dystans, tym większe żądania i oczekiwania, które nie mieszczą się już dla niektórych nawet w haśle „granice z 1991 r.”, żądając także „rozpadu Rosji”. A to zdaniem eksperta niemalże nieosiągalne cele, bo bez zachodniej pomocy samo „nie poddać się” i „nie przegrać” będzie trudne.

Widzą to też inni. Serhij Rachmanin zwraca uwagę, że Rosja nie tylko nie osłabła w znaczący sposób z powodu sankcji, ale jeszcze przestawiła gospodarkę na wojenną, wyciągając przy tym wnioski z błędów. I gdy Zachód pomoc dla Ukrainy uszczupla, co przekłada się nie tylko na mniejsze dostawy broni, ale też możliwości zatrudniania żołnierzy kontraktowych, Putin, ciesząc się z narastającego zmęczenia Zachodu Ukrainą, cały czas zwiększa i liczebność armii, i zbrojenia.

25-letnia Alona, którą poznaję w pociągu z Kijowa do Chelma, chce wierzyć w zwycięstwo, bo „inaczej nie ma sensu żyć”, ale boi się, że ono nigdy nie nadejdzie. „Rosjanie mają wszystko: nową broń, starą broń z czasów ZSRR, ludzi, których mogą mobilizować w nieskończoność. My nie mamy żadnej z tych rzeczy”.

Czy Ukraińcy wierzą w zwycięstwo? Nie wszyscy. Według Jewhena Hołowacha 75 procent nie jest gotowych pójść względem Rosji na jakiegokolwiek ustępstwa. Dużo, ale w 2022 r. takiej odpowiedzi udzieliło 90 procent respondentów. Co dalej? Pytam o to każdego z rozmówców. „Nie mamy wyboru. Możemy albo walczyć o każdy metr kwadratowy i pozostać Ukrainą, albo przestać walczyć i zniknąć, bo Putin odmawia nam prawa do istnienia”, mówią zgodnie.

Proszę Mychajłę Podolaka o opisanie dnia zwycięstwa Ukrainy. Nie słyszę spodziewanego optymizmu. Doradca prezydenta zamasyła się, a później, bardzo poważnie, odpowiada: „To będzie jednocześnie szczęśliwy i smutny dzień. Cena, którą Ukraina płaci, jest niewyobrażalnie wysoka. Dopiero kiedy wojna się zakończy, w pełni zdamy sobie z tego sprawę”.

Andriej Wolna, rosyjski lekarz, który sprzeciwiając się wojnie, wyjechał z kraju, a teraz leczy w Kijowie żołnierzy, opowiada, jak bardzo zszokowała go wojenna normalność. I że najbardziej odczuł ją w teatrze, do którego wybrał się na „Trzech towarzyszy”. „Spektakl rozpoczęło ogłoszenie: Drodzy widzowie, usłyszycie syreny przeciwlotnicze, strzały i eksplozje. Nie bójcie się – to naturalne dźwięki towarzyszące przedstawieniu. W przypadku prawdziwego alarmu lotniczego przerwiemy przedstawienie i wydamy dodatkowy komunikat. Najbliższy schron znajduje się dwieście metrów dalej, na stacji metra Chreszczatyk. Po zakończeniu alarmu spektakl będzie kontynuowany”. ●

Zasady, standardy, przejrzystość. To nie mowa trawa, to zwycięstwo

Wolontariat, hucpa i dzika energia, które napędzały ukraińską armię i społeczeństwo przez ostatnie dwa lata, muszą zmienić się w systemy, instytucje i reguły.

Anne Applebaum*

29 grudnia Rosja przeprowadziła największy od czasu rozpoczęcia inwazji na pełną skalę atak rakietowy na Ukrainę. 2 stycznia kolejny potężny ostrzał uderzył w szkoły, szpitale i bloki mieszkalne. Ataki miały przekazać wiadomość: prezydent Rosji nie jest zainteresowany negocjacjami, zawieszeniem broni czy uzyskaniem ziemi w zamian za pokój. Chociaż Putin nie jest w stanie pokonać Ukrainy militarnie,

dardami życia. Niemniej jednak, aby pokonać Rosjan militarnie i psychologicznie, aby podważyć rosyjską propagandę, aby utrzymać sojusze i obronić terytorium, dopóki Rosjanie nie będą mieli dość, Ukraińcy muszą się zmienić.

• • •

Dwa lata temu, w tygodniach, które nastąpiły po inwazji, zwykli ludzie rzucili się, by kupić noktowizyjne gogle, menedżerowie eleganckich restauracji karmili żołnierzy, a mężczyźni zawozili dzieci na granicę i wracali do domów, by wstąpić do wojska. Dziś wolontariat, hucpa i dzika energia, które napędzały armię i społeczeństwo, muszą zmienić się w systemy, instytucje i reguły. Ukraina potrzebuje nie tylko najbardziej zmotywowanej armii, ale także najlepiej zarządzanej. Ukraina potrzebuje nie tylko bystrzych inżynierów, którzy budu-

proponuje Rosja, to brak rządów prawa, brak rozwoju i agresja wobec sąsiadów”.

Po rosyjskiej okupacji Krymu w 2014 r., kiedy wielu Tatarów ponownie wypędzono z domów, Umerow stał się rzecznikiem krymskich więźniów politycznych – to on negocjował ich uwolnienie. Począwszy od lutego 2022 r., kilkakrotnie – zarówno formalnie, jak i nieformalnie – odgrywał rolę pośrednika w kontaktach z Rosją, Turcją i państwami Zatoki Perskiej.

Po drodze zyskał reputację osoby kompetentnej. Kiedy pytałam o niego w Kijowie, rozmówcy wspominali o językach, którymi włada (tureckim, angielskim, rosyjskim i ukraińskim), o szerokich kontaktach, bezpretensjonalności i spokoju. Rozmawialiśmy w tej samej bezosobowej sali konferencyjnej, gdzie wcześniej spotykałam się z jego poprzednikiem Ołeksijem Reznikowem, ujmującym prawnikiem, który nawiązał dobre relacje ze swoimi zagranicznymi odpowiednikami, ale odszedł po serii artykułów o korupcji w ministerstwie obrony.

Reznikow nie był osobiście zamieszany w jakikolwiek skandal: od 2022 r. nie mieliśmy żadnej informacji o niewłaściwym wykorzystaniu pomocy zagranicznej ani o korupcji na wysokim szczeblu armii. Doszło jednak do zawyżania kosztów i marnotrawstwa. Takie rzeczy zdarzają się też w amerykańskim wojsku – tyle że jeśli ukraińskiej armii brakuje zimowych mundurów, ponieważ ktoś podpisał niewłaściwy kontrakt, ludzie mogą umrzeć.

• • •

Zlikwidowanie marnotrawstwa, rzeczywistego i wyobrazonego, to drugie co do ważności zadanie Umerowa. To również, jak powiedział, część większego problemu. Ukraina wciąż potrzebuje wszystkiego: pocisków artyleryjskich, butów zimowych, samolotów F-16. Pierwszeństwo potrzeb armii, przełożenie ich na konkretne zakupy i ich koordynacja z zachodnimi firmami i rozwijającym się ukraińskim przemysłem obronnym to skomplikowany menedżerski problem, który wymaga więcej niż jednego rozwiązania. Umerow wspominał o kilku, w tym o 10-letnich kontraktach, które pomogą krajowym i zagranicznym firmom wdrożyć długoterminowe planowanie. A także o konferencjach inwestycyjnych, których celem jest zachęcenie zachodnich firm do bezpośredniej współpracy z Ukrainą.

Mówiąc o tych zmianach, często odwołuje się do „zasad OECD” i „standardów NATO”. Mówi także o „systemach” i „przejrzystości”. To nie są puste słowa. Dalsze istnienie Ukrainy zależy od nadania im realnego znaczenia.

• • •

Ważniejszym problemem Umerowa – najważniejszym problemem Ukrainy – są jednak ludzie, nie buty i kule. Ukraina musi zmobilizować i szkolić więcej żołnierzy, a także dać weteranom odpocząć od walk. A służba wojskowa budzi coraz większy lęk; pojawiają się doniesienia o osobach zmuszonych do wstąpienia do armii i uciekinierach próbujących przekraść się przez granice i przepływać rzeki.

Umerow to rozumie jako problem zarówno rzeczywisty, jak i narracyjny. Chce zmienić ton debaty. Powołanie do wojska, przekonuje, to nie kara, tylko zaszczyt. Ale każdy boi się nieznanego, a obecnie służba wiąże się z wieloma niewiadomymi. „Ludzie powinni wiedzieć, jak będą szkoleni, jak będą karmieni, jak będą się nimi opieko-

wać podczas operacji militarnej. A potem, jak z wojska wyjdą”. Umerow chce wynegocjować z armią i parlamentem nowe zasady, stworzyć krajową bazę danych służby wojskowej, a następnie dać wszystkim obywatelom w wieku poborowym konkretny wybór opcji.

Aby Ukraina mogła przetrwać narracyjną wojnę z Rosją, ukraińska debata publiczna, uważa Umerow, potrzebuje „dekompresji”. Rzekoma rywalizacja między prezydentem Zełenskim a głównodowodzącym armii Walerijem Żalużnym dostała w mediach mnóstwo czasu antenowego. Powszechnie uważa się, że Umerow jest jedną z osób, które ich zbliżyły. Kiedy zapytałam go o tarcia, odpowiedział, że on po prostu chce, aby te dyskusje stały się mniej emocjonujące: „To normalne, że między ludźmi dochodzi do nieporozumień. OK, wszyscy zgadzają się co do tego, że chcą wygrać wojnę, ale w ramach tej zgody mogą współistnieć różne opinie”. Zamiast upolityczniać spory lub robić z nich fetysz, „powinniśmy skupić się na celach: celach strategicznych i wojskowych”.

• • •

Żadne z tych zadań nie jest proste, a każde mogłoby pogrążyć większe, bogatsze i mniej znękanе kraje. Rosja ma znacznie większą populację, ale nie poradziła sobie z mobilizacją, którą teraz robi ukraińskim, przymusem wcielając do armii przedstawicieli mniejszości etnicznych, a nawet obco-krajowców z wizami pracowniczymi. Europejskie demokracje jak dotąd nie zdołały szybko zwiększyć produkcji militarnej, nawet w obliczu egzystencjalnego zagrożenia. A Stany Zjednoczone są niezdolne do jakiegokolwiek dekompresji: Amerykanie nie mają prawie żadnych dyskusji, które byłyby spokojne, apolityczne i „skoncentrowane na celach”. Wszystkie rozmowy na temat Ukrainy są w pełni upolitycznione: część Partii Republikańskiej sprzeciwia się pomocy dla Ukrainy tylko dlatego, że szkodzi to Bidenowi.

Ale też stawki są inne. Walka Ukrainy z Rosją zawsze była starciem cywilizacyjnym między społeczeństwem otwartym a zamkniętym, społeczeństwem praworządym a dyktaturą. Ukraińcy nadal stawiają na to, że ich wersja demokracji jest nie tylko bardziej atrakcyjna niż rosyjska autokracja, ale także bardziej efektywna.

Wychodząc z biura Umerowa, spotkałam kilku jego młodszych kolegów, którzy żartowali z tego, jak dziwnie dla wielu Ukraińców, zwłaszcza starszych pracowników ogromnego aparatu ministerstwa, mogą brzmieć zwroty w rodzaju „instytucjonalna transformacja”. Nie sugerowali jednak, że nie będą próbowali im tego wyjaśnić ani też że nie wdrożą „instytucjonalnej transformacji” i nie wygrają wojny. Jeśli oni wierzą w przyszłość Ukrainy, to my też powinniśmy.

Tłumaczenie: Katarzyna Wężyk.
Tytuł i lead od redakcji

***Anne Applebaum** jest stałą autorką magazynu „The Atlantic”, wykładowczynią SNF Agora Institute na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa oraz autorką wielu bestsellerowych książek. Najnowsza to „Zmierzyć demokracji. Zwodniczy powab autorytaryzmu”, o tym, dlaczego elity w demokracjach na całym świecie zwracają się w stronę nacjonalizmu i autorytaryzmu. Książka dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl

FOT. JAKUB WŁÓDEK/AGENCJA WYBORCZA.PL



może utrzymywać presję, niszczyć cywilną infrastrukturę, czekać, aż sojusznicy się zmęczą, przekonać ukraińską opinię publiczną do zwrócenia się przeciwko rządowi, a następnie zwyciężyć walkowerem.

• • •

Ta nowa faza walk jest opisywana jako „wojna na wyniszczenie”, tak jakby jedyną rzeczą, która zadecyduje o jej wyniku, była liczba kul. Ale ta wojna ma również wymiar narracyjny i psychologiczny.

Bombardowaniami kremłowski urzędnicy pokazują wszystkim – zachodnim politykom i dziennikarzom, Ukrainie, narodowi rosyjskiemu – że są w stanie wytrzymać utratę 300 tys. zabitych i rannych oraz ogromne ubytki w sprzęcie, że gospodarka kwitnie, że są gotowi przeznaczyć połowę budżetu na produkcję militarną tak długo, jak trzeba. Jednocześnie Rosjanie oraz ich poplecznicy w USA i Europie opisują Ukrainę jako państwo skorumpowane, politycznie podzielone, a przede wszystkim skazane na porażkę. W Waszyngtonie niektórzy Republikanie usprawiedliwiają w ten sposób próby zablokowania pomocy dla Ukrainy. To samo robi Orbán – który zabiega o rosyjskie i chińskie inwestycje – blokując europejską pomoc.

Ukraińcy wiedzą, że negocjacje z Rosją są bezowocne, nie mówiąc już o tym, że Moskwa ich nie proponuje. Wiedzą też, że Rosjanie są znacznie słabsi, niż deklarują. Ich żołnierze wciąż wpadają w pułapki, ich dowódcy wciąż wydają się improwizować. Rosyjska opinia publiczna jest już zmęczona spadającymi stan-

ją innowacyjne drony morskie, ale także najnowocześniejszego przemysłu obronnego. A rząd Ukrainy musi wyeliminować wszelkie pozostałości korupcji i niegospodarności – i przekonać sojuszników, że sobie z tym problemem poradził.

To nie są moje rekomendacje. Usłyszałam je w Kijowie od nowego ministra obrony Rustema Umerowa.

• • •

Dla osób z zewnątrz Umerow może wydawać się nieoczywistym kandydatem na to stanowisko. Urodził się w 1982 r. w Uzbekistanie. Pochodzi z rodziny wysiedlonych przez Stalina w latach 40. krymskich Tatarów, którzy na Krym wrócili dopiero w 1991 r., kiedy Ukraina uniezależniła się od Moskwy. Powiedział mi, że jako bardzo młody chłopak „zrozumiał, jak to jest być tym, kogo teraz nazywamy uchodźcą”.

Przesiedleńcze wspomnienia i przynależność do muzułmańskiej tatarskiej mniejszości mogły wywołać w przyszłym ministrze poczucie wykluczenia i wyobcowania. Ale tak się nie stało – przeciwnie: Umerow łączy doświadczenia dzieciństwa z obecną funkcją. Szybko bowiem zrozumiał, że Tatarzy będą bezpieczni tylko wtedy, gdy Krym będzie częścią demokratycznej, tolerancyjnej Ukrainy, Ukraina zaś będzie państwem demokratycznym i tolerancyjnym dopiero wtedy, gdy stanie się częścią Europy. Popierał więc członkostwo w NATO i Unii w czasach, gdy nie było to szczególnie popularne. „Chcemy być częścią cywilizowanego świata”, mówi teraz, „częścią świata rządów prawa. To, co

Rany po Rosji

Lekarze wojny nie zakończą, ale mogą pomóc w przetrwaniu w skrajnie trudnych warunkach
– opowiadają medycy z mobilnych klinik

Olszewski

01.11. 2023 wieś Bezruki, pani N. Breślawska: *Dziękuję kardiologowi. Bardzo potrzebna i aktualna pomoc. Bardzo uprzejmy i profesjonalny personel. Przepraszam za język rosyjski, próbuję mówić po ukraińsku. Ale nasz region jest prawdziwym patriotą Ukrainy. Chwała Ukrainie! Życzę, aby w przyszłości pojawiły się takie usługi jak badania laboratoryjne, a także lekarz laryngolog, dentysta, ginekolog. Z szacunkiem Breslavska N.*

W poniedziałkowy poranek schodzą się od szóstej rano, żeby zająć dobre miejsce w kolejce. Głównie starsi, okutani w grube płaszcze i kurtki, niektórzy o kulach. Stąd albo z Zabawnego, Iskry, Lewkiwki, wiosek zagubionych w zimowych polach Doniecczyny. Na nogach grube zimowe buty, niektórzy założyli raczki, bo gołoledź straszna, a do odkuwania z chodników i ulic nikt tu nie ma głowy.

Czekają w dawnej hali targowej przy ulicy Proletariackiej, tam, skąd rozciąga się dobry widok na ruiny wielkich zakładów optycznych (o te budynki trwała zacieklą walka, dobrze widać napisy na ścianach, jakie pozostawili w nich Rosjanie) i pobudowane jeszcze w latach 70. wieżowce. Mętne światło ledwo przesącza się przez zarośnięte pyłem szyby. W półmroku widać niepotrzebne lady i zasłonięte tkaninami stoiska, na ścianach plakaty firm okulistycznych, bo miasto słynęło przez dekady ze swoich zakładów optycznych. Kiedyś miejsce tętniło życiem, dzisiaj handluje tu rozpaczliwą resztką ubrań jedna kobieta, a i to raczej z przyzwyczajenia niż konieczności – wyłożyła kilka sukienek i trochę par spodni. Pozostali albo uciekli, albo nie żyją, albo słuch po nich zaginął.

Prawie dwa lata od wybuchu wojny położony 130 km na południowy wschód od Charkowa Izium wygląda jak miasto przygnięcone niewidzialnym ciężarem. Rosyjska okupacja pozostawiła po sobie masowe groby z ciałami prawie 450 osób, milczenie i rezygnację. Na alarmy bombowe nikt tu już nie zwraca uwagi – front jest tak blisko, że i tak trwogę słyszać po tym, jak pocisk dosięgnie celu. Że każda chwila może być ostatnia – nie mówi już nikt. Choć głodu nie ma, sklepy działają, są prąd i gaz, przydaje się wszystko, nawet chleb, który na pozór bezsensownie przywożą wolontariusze z Polski. Mieszkańcy żyją jak na lądolodzie: dzisiaj chleb jest, jutro może go nie być, podobnie jak sklepy spożywczego, bloku rodzinnego, dzielnic domków jednorodzinnych, z których wieje tęgim smogiem.

Jeśli to poniedziałek, do Iziumu jadą lekarze z mobilnej kliniki Polskiej Misji Medycznej. To na nich czekają stłoczeni między pustymi ładami pacjenci.

● ● ●

25.10.2023 W. Jemielianow, wieś Kutuzowka: *Podoba mi się uwaga lekarzy: działają szybko. W przystępnej formie opowiadają o moich problemach zdrowotnych, za co im dziękuję. Krew i kardiogram są dobrze pobrane. Ludzie młodzi, ale profesjonalni. Zawsze*

cieszymy się, że przyjeżdżają. Dziękuję bardzo za poświęcenie nam uwagi.

Po ataku Rosji na Ukrainę celem stał się również system opieki medycznej. Według danych zgromadzonych przez Ukraińskie Centrum Ochrony Zdrowia już w sierpniu 2023 liczba ataków na szpitale, przychodnie, ambulanse medyczne i pracowników medycznych przekroczyła 1000. Szpital w Iziumie został zniszczony w pierwszych dniach wojny – według relacji zastępcy burmistrza Wołodymyra Macokina po ataku pacjenci sami wyczołgivali się spod ruin. Mimo to lekarze nie przerwali pracy nawet w czasie najcięższych obstrzałów: operowali przy świeczkach, bez prądu i bieżącej wody. Co prawda ukraińskie ministerstwo zdrowia uznało odbudowę szpitala za jeden ze swoich priorytetów na najbliższe lata, ale sytuacja w mieście jest nadal bardzo trudna.

– Pomyśleliśmy, że w tak niepewnej sytuacji, kiedy na budynki ciągle spadają bomby, powinniśmy wypróbować to, co dobrze zdaje egzamin w innych krajach, gdzie pracujemy. I we wrześniu rozpoczęliśmy projekt klinik mobilnych, które stale jeżdżą po wschodniej części Ukrainy, głównie w okolicach Charkowa i Chersonia, odwiedzając wioski i mniejsze miasta – opowiada Małgorzata Olsińska-Chart z Polskiej Misji Medycznej. PMM prowadzi projekt wspólnie z Fridą, ukraińsko-izraelską misją pomocową.

● ● ●

03.11.2023 Olena Iwanusenko, wieś Dowhałowka: *Dziękuję bardzo za opiekę nad nami. W tym trudnym czasie jest to dla nas po prostu konieczne. Nie jestem młoda, a taka uwaga i troska lekarzy po prostu pomaga nam żyć. Mam bardzo dużą prośbę: potrzebuję USG.*

Do Iziumu jedziemy z Charkowa ze składem medycznym. Dwoje lekarzy i dwójka pielęgniarzy wsiadają o poranku do busa w Charkowie. Kawa i papierosy przed odjazdem, role są ściśle podzielone, zaskoczeń raczej nie będzie, o ryzyku, że niebo spadnie nam na głowę, taktownie milczymy, a jeśli są jakieś wątpliwości, to skutecznie zagłusza je muzyka. Obowiązkowo kamizelki kuloodporne, żeby protokołowi stało się zadość. – Ponad połowa spośród naszych pacjentów to ludzie starsi, powyżej 65. roku życia. Większość przychodzi z nadciśnieniem, cukrzycą, chorobami przewlekłymi, o które nie mieli jak zadbać w ostatnich latach, bo najpierw wybuchła pandemia, a po pandemii przysła wojna. Często zdarza się, że jesteśmy pierwszym kontaktem ze służbą zdrowia od dłuższego czasu – opowiada Bogdan Awramenko, koordynator projektu. Bogdan, 28-letni kardiolog z Kijowa, krąży pomiędzy stolicą Ukrainy a Charkowem, wspomagając zespół na miejscu.

W Iziumie farmaceuta rozkłada plastikowe kosze z lekami, rejestrator i lekarze włączają komputery. Konieczny jest Starlink, dzięki któremu mogą nawiązać kontakt z systemem ukraińskiej opieki medycznej. Hala targowa jest obszerna, ale kolejka zbija się w jednym miejscu. Kobiety prze-

stępują z nogi na nogę, w hali nie ma ogrzewania, wszyscy blisko siebie, leje się potok skarg, potrzeb, płyną podziękowania. – Dla nas to jest jak zbawienie – mówi jedna z kobiet. – Z opieką medyczną i przed wojną nie było dobrze, teraz jest katastrofa. W kolejce do specjalisty trzeba czekać pół roku, najprostsze badania trzeba wykonywać w Charkowie. Teraz to jak wyjazd na drugi koniec świata, dla większości nierealne. Niektórzy z nas ledwo chodzą, a co mówić o podróżach.

– Neuropatolog, okulista, stomatolog. Pomóście, ludzie. Jesteśmy tu jak na „zerze” – woła ktoś z tłumu. „Zero” to w terminologii wojskowej pierwsza linia frontu.

– O psychologa czy psychiatrę nawet nie mówię – słysząc głos. – Przecież w Iziumie ludzie od zmysłów odchodzą.

Bogdan Awramenko: – Nie ma co się oszukiwać: równie ważna jak pomoc kardiologa czy oftalmologa jest konsultacja psychologiczna. Większość naszych pacjentów nosi w sobie ciężkie traumy i wojenne stresy porazowe.

Tę potrzebę widać w gabinecie lekarskim. Kobiety (to one głównie stoją w kolejce) siadają przy medyku jak w konfesjonale. Przychodzą nie tylko po to, żeby zmierzyć ciśnienie czy dostać leki, ale też żeby zamienić kilka słów z kimś, kto zrozumie, pokiwa głową, powie, że wszystko będzie dobrze. – Mąż nie żyje, wnuczka uciekla do Polski, córki mieszkają w Połtawie, 300 kilometrów stąd. Zabrałyby mnie, ale ja stąd nigdzie nie wyjadę. Tu mam dom, a domu trzeba pilnować. – opowiada 76-letnia Lidia Michajłowna, emerytowana księgowa, która siedzi na krzeselku przed gabinetem.

Przed południem z hali targowej wychodzą ostatni pacjenci. Widzę ich przez szyby, jak powoli suną po chodniku zmienionym w lodowisko, kroczyk za kroczykiem, w stronę ubogich domków jednorodzinnych, przystanku marszrutek i bloków, które w każdej chwili mogą zmienić się w perzynę. Zaczyna padać, z zakładów optycznych wyjeżdżają pocięte przez złomiarzy na kawałki resztki wielkiego silnika i stalowych konstrukcji.

Nagle ktoś chwytą za rękę. To starszy mężczyzna. – Wiesz, gdzie jest Gdańsk? – pyta. Ucieszony, że wiem. Opowiada, że w dawnych, lepszych czasach organizował zawody samolotowe niedaleko od Iziumu, na które zapraszał przyjaciół z Pomorza. – Przekaż wszystkim, że jeszcze polatamy nad Iziumem. Obiecujesz?

W pustej hali zostaje tylko sprzedawczyńni niemodnych sukienek.

● ● ●

01.11.2023 A. Olhowyk, wieś Momotowe: *Dziękuję lekarzom Fridy za pomoc. Stan zdrowia już się poprawia: ciśnienie spadło.*

We wtorek na lekarzy PMM czekają mieszkańcy położonej na północny wschód od Charkowa gminy Słatynne. O ile w Iziumie są dzielnice, które wojna ominęła bokiem, to w Słatynie, okupowanej przez Rosjan w pierwszych miesiącach wojny, znaleźć cały budynek bardzo trudno. Posiekane

odłamkami są nawet bramki na boisku do piłki nożnej. Na Słatynie zimą i wiosną ubiegłego roku spadały bomby, rakiety, amunicja kasetowa i fosfor. Również na przychodnię, której ruiny okradli na koniec szabrownicy.

Półtora roku od wyzwolenia z 6,5 tysiąca mieszkańców powróciło około 2 tysięcy – to, podobnie jak w Iziumie, głównie starsi, którzy nie mieli sił budować życia na nowo w Polsce czy Hiszpanii. Reszta rozpierzchła się po świecie, dzieci została garstka. Remont przychodni już prawie ukończony – dzięki wolontariuszom udało się wymienić roztrzaskane okna na nowe, naprawić instalacje.

Mimo że zniszczenia są większe, a ryzyko ataku równie duże, atmosfera w przychodni jest inna niż w Iziumie, czuć jakąś iskrę optymizmu i więcej nadziei. A to za sprawą Ludmiły Aleksiejewnej, lekarki rodzinnej, która pracuje tu od 42 lat i wychowała, jak sama mówi, już trzy pokolenia mieszkańców. Zna każdego, i to małe dziecko w wózku, i pijaka, który zaległ w śniegu i potrzebuje, żeby ktoś postawił go na nogi i popchnął w kierunku domu. Wyjechała jako jedna z ostatnich i wróciła jako jedna z pierwszych, niedługo po wyzwoleniu miejscowości. – Stałam przed wejściem do budynku, załamałam ręce. Wszystko zrujnowane, a tu ludzie zaczynają wracać, starsi, z potrzebami. Przenieśliśmy się do mniejszych pomieszczeń, które ocalały, i od razu zaczęłam chodzić za remontem – wspomina. Po czym oprowadza z dumą po już wyremontowanych salach ambulatoryjnych.

– Na pewno najbardziej potrzebujemy stomatologa i laryngologa. Jeśli chodzi o psychologa, to u nas pomocy udzielają sobie mieszkańcy sami. Jesteśmy tu jak rodzina – mówi Ludmiła Aleksiejewna. – To mocna społeczność, ale ze wszystkim sami sobie nie poradzimy.

Towarzyszy jej pełen aprobaty pomruk ściśniętych w małej poczekalni mieszkańców.

● ● ●

Lada chwila na wschód Ukrainy rusza trzeci zespół mobilny, przenośne laboratorium do bardziej zaawansowanych badań diagnostycznych, PMM zatrudni również psychologa. – Lekarze wojny nie zakończą, ale mogą pomóc w przetrwaniu w skrajnie trudnych warunkach. I taka jest nasza rola – słyszę w busie. Jutro klinika znowu ruszy w teren. ●

Michał Olszewski, Charków

Działalność Polskiej Misji Medycznej można wesprzeć następująco:

- przez ustawienie płatności cyklicznej w banku lub na <https://pmm.org.pl/chce-pomoc>
- oraz przekazanie darowizny na numer konta Polskiej Misji Medycznej: 62 1240 2294 1111 0000 3718 5444

Fragmenty wyróżnione kursywą to opinie pacjentów klinik mobilnych.

Ewangelia według Tolstoja

Nagle odstawienie patriotyzmu może być szkodliwe. Zwłaszcza że trudno liczyć, by dokonali tego wszyscy równocześnie.

Piotr Mitzner*

Po napisaniu najważniejszych powieści Lew Tolstoj stał się kimś w rodzaju proroka anarchisty podważającego filary rosyjskiego samodzierżawia, wypowiadał się za pomocą artykułów publikowanych za granicą, omijając cenzurę, jak ponad pół wieku później Pasternak, Siniawski, Daniel. Tyle że nikt go za to nie prześladował. Może świadczy to o pozycji Tolstoja, a może o słabości imperium Romanowów w porównaniu z jego wariantem sowieckim.

W książce „Kłamstwo patriotyzmu” znajdziemy jego buntownicze teksty z lat 1894-1904, których ostrze skierowane jest przede wszystkim przeciw patriotyzmowi. To on, zdaniem pisarza, jest źródłem wszelkiego zła, a więc poczucia wyższości, fałszu i zbiorowych mordów, jakimi są wojny.

Polski myśliciel Marian Zdziechowski usiłował polemizować z Tolstojem, biorąc w obronę patriotyzm narodów podbitych, lecz Lew Nikolajewicz nie dopuszczał takich rozróżnień. Pisał, że odłączenie Polski i „guberni nadbałtyckich” byłoby możliwe i nawet korzystne dla Rosji ze względów ekonomicznych, nie wspominając przy tym o jakichś skłonnościach wyzwoleńczych tych narodów, bo tu już w grę wchodziłby patriotyzm. Jego zdaniem narodom europejskim wszelkie zmiany granic są obojętne, a pielęgnowanie właściwości narodowych „służy nie zbliżeniu i jedności rodzaju ludzkiego, ale coraz większym podziałom i wzajemnej obcości”.

Takie stawianie spraw właściwie kompromituje pisarza w naszych oczach. Pytamy, dlaczego się tak zapędził, dlaczego nie rozważał różnic między patriotyzmem i nacjonalizmem.

Jest jednak w tych szkicach Tolstoja coś, co przykuwa naszą uwagę, co nie pozwala traktować ich tylko jako osobliwego uzupełnienia jego wielkich powieści i opowiadań. Obsesyjny temat patriotyzmu wyprowadza on

z innych tematów, o wiele bardziej zrozumiałych dla nas i akceptowalnych.

Tolstoj lubi zbliżenia i tak jak w broszurze „Co to jest sztuka?” opisał złośliwie próbę w operze i jej absurdy, tak tutaj pastwi się nad uroczystą wizytą marynarki rosyjskiej we Francji. Podkreśla, ile czasu i trudu zmarnowano na tę imprezę, ale przede wszystkim mierzi go eksta-za wywołana prostymi środkami widowiskowymi.

Gdyby dożył szaleństw patriotycznych w sierpniu 1914 r., poprzedzających wielką rzeź na frontach Wielkiej Wojny, mógłby powiedzieć: a nie mówiłem? Choć z drugiej strony to wtedy właśnie w ciągu kilku tygodni runęło tolstojowskie złudzenie, że nie ma już waśni między „narodami chrześcijańskimi”. Jakie to podobne do „proletariackiego internacjonalizmu”.

Tu trzeba by się zastanowić nad diagnozą, według której mimo indoktrynacji lud rosyjski „wcale nie jest przywiązany do religii, cara i ojczyzny”. Tolstoj jest tego pewien. My zastanawiamy się nad tym w czasie inwazji Rosji na Ukrainę i czasami chcielibyśmy mu wierzyć.

Lud rosyjski „wcale nie jest przywiązany do religii, cara i ojczyzny”, Tolstoj jest tego pewien. My zastanawiamy się nad tym w czasie inwazji Rosji na Ukrainę

Pacyfizm Tolstoja opiera się na przekonaniu, że źródłem wojen są rządy polityków i dyktat wielkiego kapitału, że jest w tym absurd i cynizm, że na patriotyzmie zarabiają dziennikarze i autorzy patriotycznych wierszy, a tematem poważnych rozmów jest jakość nowego uzbrojenia.

Jak się mają te myśli do obecnej sytuacji? Tolstoj pisze o jednym z ważniejszych narzędzi socjotechnicznych, jakim jest podsyćanie w narodzie syndromu obłączenia – tu też doskonale się z nim rozumiemy.

Wszystkie te uwagi dają do myślenia i budzą skrajne odczucia. Uśmiech, gdy marzy mu się świat bez samolotów i związków zawodowych, podziw, gdy wzywa do radykalnego odrzucenia kłamstwa (to będzie myśl Solżenicyna) i podważa autorytet najwyższych władz: państwowej i cerkiewnej. Jest zwolennikiem religii bez rytuału.

W ferworze polemicznym Tolstoj uderza w przeciwników po mistrzowsku, lecz bywa niesprawiedliwy, jak wtedy, gdy np. wykiwa (a sztydzić to on potrafi) sektę Malennanę, którą znał tylko z drugiej ręki, a byli to przecież bliscy jego ideom pacyfści, brutalnie represjonowani. Bywa naiwny, gdy uważa, że człowiek z natury jest dobry, bywa też nowoczesny, gdy cytując amerykańskiego psychologa Minota Savage’a, wzywa człowieka do bycia sobą, a nie sobą w oczach innych.

Tolstoj pozwala marzyć o świecie bez przemocy. Pozwala stawiać najprostsze, a zarazem trudne pytania. Uczy uprawiania sztuki sprzeciwu. Jak to pisał Wiktor Woroszyłski w pięknym wierszu „Inteligenci”:

„Hrabia Tolstoj nie ukończył wydziału prawa wymyślił/ »Nie mogę milczeć« przeciw karze śmierci/ i że zło rodzi nowe zło Postanowił/ przerwać”.

Nagle odstawienie patriotyzmu może być szkodliwe, zwłaszcza że trudno liczyć na to, by dokonali tego wszyscy równocześnie, a tylko wtedy taka rewolucja miałaby sens. Marzenie? Naiwność czy uproszczenie, które łatwiej trafi do zwykłych ludzi?

Patriotyzm, Lwie Nikolajewiczu, bywa potrzebny, choćby po to, by we własnym domu, w granicach swojego państwa, móc bezpiecznie uprawiać internacjonalizm. Pod tym względem „Kłamstwo patriotyzmu” to swego rodzaju ewangelia według Tolstoja.

Jeśli dla niektórych nie jest to pociągające, dodać trzeba, że autor jest nie tylko prorokiem, lecz również pisarzem, i to wiadać, gdy opisuje konkretne zdarzenia, ludzi, których spotyka. I gdy cytuje wstrząsające listy, które otrzymuje od zwykłych ludzi w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. To przejmujące świadectwa, które są najsilniejszym argumentem za tym, żeby „przerwać”, żeby wreszcie skończyć z tym absurdem.

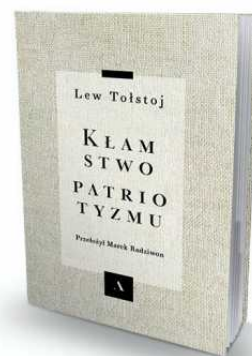
Drugim pasmem równoległym artykułu „Przebudźcie się!” są wypisy z lektur, wspierające myśl Tolstoja (z Marka Aureliusza, Kanta, Woltera, Swifta i wielu innych) i wskazujące jej głębokie korzenie w tradycji.

Polemiczne teksty Lwa Tolstoja nie są łatwe do przekładu. Świetnie sobie z tym poradził Marek Radziwon, także autor wprowadzenia, w którym mamy i tło ideowe czasów tolstojowskich, i pomosty przerzucone w nasze czasy. Radziwon odwołuje się np. do wypowiedzi wybitnego obrońcy praw człowieka Siergieja Kowalowa, który uważał patriotyzm za „plagę społeczną”, a wykorzystując swoje biologiczne wykształcenie, definiował jako atawizm pochodzący jeszcze z epoki pierwszych bezkręgowców.

Szkice Tolstoja są warte lektury, nawet jeśli się z nimi czasem nie zgadzamy. Dymitr Filosofow, wybitny mentor Józefa Czapkiego, powiedział mu mniej więcej tak: „Różnica między nami jest taka, że ty w swoich lekturach zaznaczasz fragmenty będące po twojej myśli, a ja także te, z którymi się nie zgadzam”.

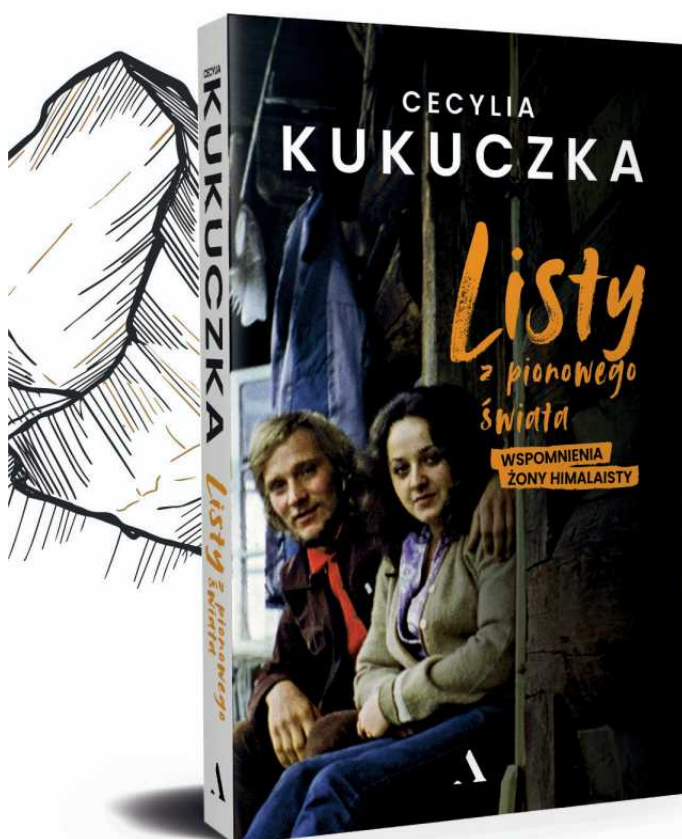
***Piotr Mitzner** – ur. w 1955 r., poeta, historyk literatury, edytor.

Lew Tolstoj, **„Kłamstwo patriotyzmu”**, przeł. Marek Radziwon, Agora 2023. Książka dostępna w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34295976



Jerzego Kukuczkę, najwybitniejszego polskiego himalaistę, poznałam dopiero po jego śmierci.

Cecylia Kukuczka

PORUSZAJĄCA OPowieść WDOWY
PO JERZYM KUKUCZCE UZUPEŁNIONA
O NIEPUBLIKOWANE
DO TEJ PORY LISTY WYSYŁANE
PRZEZ MĘŻA Z „PIONOWEGO ŚWIATA”

JUŻ W SPRZEDAŻY

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Zadanie jest współfinansowane
z budżetu Miasta Katowice

WYDAWCY:



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

FOT. SHUTTERSTOCK, WIKIPEDIA



MADE IN USA. GWARANCJA BYLEJAKOŚCI

Aby zarobić więcej, trzeba robić taniej. Hamburgery i samoloty pasażerskie

Maciej Jarkowiec

Ody śledzę doniesienia o drzwiach ewakuacyjnych w samolocie linii Alaska Airlines wyrwanych w czasie lotu, o uziemionych boeingach i kolejnych w ostatnich latach problemach słynnej amerykańskiej korporacji lotniczej, przychodzi mi na myśl film „McImperium”.

Opowiada o początkach najpopularniejszego fast foodu świata. W 1940 r. bracia Maurice i Richard McDonald otworzyli restaurację w San Bernardino w Kalifornii. Jednak wbrew intuicyjnemu mniemaniu to nie oni stoją za oszałamiającym sukcesem sieci wartej dziś ponad 200 mld dolarów. McDonald's taki, jaki znamy, wymyślił i rozwinął Ray Kroc, obwoźny sprzedawca mikserów, który w latach 50. wszedł w spółkę z McDonaldami i wykołegował ich z interesu.

Co ma wspólnego McDonald's z Boeingiem, hamburger z pasażerskim odrzutowcem? Okazuje się, że całkiem sporo. Opowieści o tych firmach mówią wiele o naturze amerykańskiego biznesu i toczących go od dekad patologiach.

Pomysł braci polegał na tym, żeby zaprojektować restaurację zdolną wydawać prosty posiłek w ciągu minuty-dwóch. Zanim otworzyli knajpę, do perfekcji przećwiczyli system ekspresowego przygotowania dań. W menu znajdowały się tylko burger, frytki, napój. Jednym z elementów ich wizji – tym, który z dzisiejszej perspektywy wydaje się nieprawdopodobny – była wysoka jakość jedzenia. Świeże mięso na hamburgery

przyjeżdżało z lokalnej rzeźni, świeże bułki z lokalnej piekarni, frytki powstawały w lokalu ze świeżych ziemniaków, shaki ze świeżego mleka. Bracia mieli hopla na punkcie jakości. Stworzyli niezawodnie szybką usługę oferującą prosty, ale jednocześnie bardzo dobry produkt.

Podobnie było z Boeingiem. W latach 60., w okresie rozwoju lokalnych linii lotniczych, inżynierowie zaprojektowali model 737. Był to prosty, nieduży i niedrogi samolot na krótsze trasy. Firma mogła wytwarzać go szybko, żeby zaspokoić ogromne zapotrzebowanie. 737 stały się tak popularne, że niektóre linie – jak Southwest – wyłącznie z nich budowały flotę. 737 – podobnie jak inne maszyny Boeinga – słynęły z niezawodności. Slogan firmy głosił: „If it is not boeing, I am not going” (Jeśli to nie boeing, nie leć). Przed dekadą reputacja Boeinga na światowym rynku komercyjnej awiacji była taka sama jak McDonalda w miasteczku San Bernardino – szybko robią dobry produkt, nigdy nie zawodzą.

Gdy Ray Kroc położył łapy na interesie (w dużej mierze wskutek naiwności i dobroduszości McDonal-dów), doszedł do wniosku, że aby zarobić na hamburgerach jeszcze więcej, trzeba je robić taniej. Nowym lokalom otwieranym na zasadzie franczyzy nakazał zakupy tanich mrożonych hamburgerów, mrożonych frytek, shake'ów z proszku. McDonal-dowie protestowali, ale nie mieli już nic do gadania. Rozrastająca się sieć nadal dawała szybkie i proste, zawsze i wszędzie identyczne posiłki, ale produkt wysokiej jakości został zastąpiony badziewiem.

Podobnie było z Boeingiem. W 1997 r. firma połączyła się z inną korporacją – McDonnell Douglas. Kierownictwo złożone z inżynierów starej daty, którzy mieli hopla na punkcie jakości, zostało zastąpione menedżerami, którzy nie wiedzieli nic o lotnictwie, ale ponoć lepiej znali się na finansach. Doszli do wniosku, że aby zarobić na samolotach jeszcze wię-

cej, trzeba je robić taniej. Rozpoczęły się cięcie kosztów, outsourcing produkcji podzespołów, oszczędzanie na jakości materiałów. Gdy model 737 się zestarzał i ruszył projekt nowej maszyny, należało podjąć decyzję: budujemy całkiem nowy samolot czy unowocześniamy 737.

Pierwszą opcję wyceniono na 20 mld wkładu inwestycyjnego. Drugą – na dziesięć razy mniej. Inżynierowie obstawali przy pierwszej opcji, menedżerowie wybrali drugą. Powstał 737 MAX, tania, nieudana hybryda tradycji i nowoczesności.

W październiku 2018 r. rozbił się w Indonezji, kilka miesięcy później w Etiopii – zginęło łącznie 346 osób. Śledztwo wykazało, że maszyna jest pełna wad, a bezpośrednią przyczyną wypadków było to, że piloci nie mogli wyłączyć komputera, który przejmował kontrolę nad samolotem. Odtajniona wewnętrzna korespondencja pokazała, że piloci, którzy testowali maszynę na symulatorach, zgłaszali jej wady. „Nie da się latać tym gównem”, pisali. Jeden z nich stwierdził, że nigdy nie pozwoli wsiąść do MAX-a nikomu z rodziny.

Setki MAX-ów obsługujących prawie 9 tysięcy tras dla 59 linii na całym świecie zostały uziemione do czasu usunięcia błędów. W 2021 r. wróciły do służby, ale teraz, po zdarzeniu na pokładzie Alaska Airlines, w którym cudownym zrządzeniem losu nikt nie zginął, znów przestają latać. W ostatnich latach firma miała też problemy z innymi produktami – z powodu wad wstrzymywano dostawy modelu 787 Dreamliner, uziemiany był 777, wielokrotnie zawodził sprzęt dostarczany amerykańskiej armii.

Trwa mcdonaldyzacja przemysłu. Wyścig o optymalizację zysków, w jakim uczestniczą menedżerowie nowej ery, mający hopla na punkcie wykresów, nie produktów, to dominująca cecha amerykańskiego biznesu. Sprawia, że wytwory wielu branż są słabej jakości. Co roku z powodu wad ze sprzedaży wy-

cofywane są tysiące produktów – kosiarki, zabawki, odzież, żywność, samochody (amerykańska motoryzacja już dawno przegrała z japońską pojedynkę na niezawodność).

Oczywiście produkt wysokiej jakości nadal w Stanach istnieje. Ale jeśli kiedyś był znakiem firmowym amerykańskiej gospodarki, dziś stanowi jej niszę. Mój krewniak od dekady pracuje w teksaskiej firmie budującej hale do wspinaczki. Założona przez kilku pasjonatów osiągnęła sukces, bo ścianki były pomysłowo zaprojektowane i niezawodnie skonstruowane. Firma połączyła się z większym partnerem. Do głosu doszli nowi menedżerowie. Teraz infrastruktura powstaje tanio i szybko, bez kreatywności, wyjątkowości, dbałości o szczegóły. Toczą się procesy sądowe z odbiorcami zgłaszającymi wady. Inżynierowie starej daty, którzy mieli hopla na punkcie jakości, odchodzą sfrustrowani.

Boeinga i McDonald's łączy jeszcze coś: mimo że oferują produkt wątpliwej jakości, sprzedają go z powodzeniem (model MAX jest najbardziej dochodowym w historii Boeinga). Różne są jednak powody.

McDonald's radzi sobie dobrze, bo okazuje się, że ludzie lubią niezdrowe żarcie, jeśli jest tanie, szybkie oraz odpowiednio tłuste, słone i słodkie. Natomiast Boeing działa na rynku, na którym poza paneuropejskim Airbusem nie ma konkurencji. Branża przelotów pasażerskich rośnie jak na drożdżach, linie zamawiają samoloty bez opamiętania, duopol Boeinga z Airbusem nie nadąza ich produkować. Firmie nie grozi więc upadek i być może kiedyś kierownicy od wykresów zwrócą w niej paleczkę inżynierom od jakości.

Taką nadzieję dają... wykresy. Usuwanie wad, wypłata odszkodowań i inne koszty kłopotów z MAX-em już dawno przekroczyły 20 miliardów, jakie kosztowałoby zaprojektowanie dobrego samolotu. ●



Zrzucić bombę atomową na odcięte od świata miasto o jednej z największych gęstości zaludnienia – naprawdę?

A TERAZ ZAMKNIJ OCZY

Z **ETGAREM KERETEM**,
IZRAELSKO-POLSKIM PISARZEM,
ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

Gdybyś miał opisać to, co na początku 2024 roku czujesz ty i wielu twoich bliskich mieszkających w Izraelu, jakiego użyłbyś słowa?

– Przygnębienie.

Po atakach z 7 października ubiegłego roku dość szybko zrozumieliśmy, że weszliśmy w fazę wojny o przeżycie, o dalsze istnienie państwa. Dotarło do nas, jak złudne było i jak bardzo uspiło nas poczucie rzekomego bezpieczeństwa. Śmierć weszła nam do domów, stało się jasne, że w dłuższej perspektywie każdy – nie tylko osoby mieszkające w kibucach przy granicy ze Strefą Gazy – mogą zostać zaatakowane, zabite, okaleczone, poddane torturom, uprowadzone. Każdy z nas znał kogoś z zamordowanych, każdy ma w rodzinie lub w gronie bliskich przyjaciół kogoś, kto został ranny, kto do końca życia będzie okaleczony. Ale też kogoś, kto cudem przeżył. 7 października dotknął bezpośrednio wszystkich mieszkańców Izraela.

Dość szybko stało się jasne, że ataki miały związek z rozmowami z Arabią Saudyjską na temat normalizacji stosunków z Izraelem. Gdyby do tego doszło, sytuacja na Bliskim Wschodzie zmienilaby się diametralnie. Nasi wrogowie postanowili do tego nie dopuścić – za wszelką cenę. Dlatego sytuacja, w której się znaleźliśmy, jest zdaniem wielu gorsza od 1948 roku, czasu wojny o niepodległość. W 75-letniej historii państwa nigdy wcześniej nie doszło do tak skoordynowanego i przeprowadzonego na taką skalę ataku na jego obywateli, na cywilów. Będziemy teraz musieli z tą traumą żyć, a z jej skutkami radzić sobie przez lata, może dziesięciolecia.

Wydarzenia z października pokazały też skalę pęknięć w izraelskim społeczeństwie. Mógłbym zażartować, bo przecież jako pisarz z tego słynę, że teraz powinien objąć się nam Mel Gibson na koniu i w spódnicy w kratkę i zakrzyknąć: „Wyprowadzę was z tego bałaganu”. Ale, niestety, w tym, co teraz przeżywamy w całym regionie, nie ma już miejsca na takie fantastyczne i w jakikolwiek sposób zabawne wizje. Bo z jednej strony mamy żołnierzy, profesjonalną armię i rezerwistów, którzy chcą walczyć w obronie kraju, swoich bliskich, pomóc w odbiciu zakładników. A z drugiej – codziennie słuchamy wypowiedzi polityków, którzy w tych tragicznych czasach zajęci są w dużej mierze sobą i sytuację Izraelczyków, Palestyńczyków i całego Bliskiego Wschodu czynią jeszcze trudniejszą. I przyglądając się temu bardzo uważnie, czuję, że nie ma we mnie zgody na działania, które proponuje rząd, że ścina mi się od tego wszystkiego krew.

Bo jestem za tym, by dopaść i osądzić ludzi, którzy 7 października 2023 roku dokonali zbrodni na skalę w historii mojego państwa niespotykaną. I by zapewnić bezpieczeństwo osobom mieszkającym blisko Strefy Gazy – skoro tak w tej chwili wygląda mapa polityczna naszego regionu. Ale ci, w których rękach jest obecnie los Izraela, zdają się budować przekonanie, że powinniśmy na tym skorzystać.

Jeden z członków rządu Beniamina Netanjahu, AmihajElijahu, powiedział na początku listopada, że rozważana jest opcja zrzucenia bomby atomowej na Strefę Gazy...

– A inni już mówią, że w „zdobytej” Gazie będzie się budować domy dla osadników z Izraela. To nigdy nie może się wydarzyć, to nieodpowiedzialne, eskalujące trwające od lat konflikt słowa. Przyznam ci, że naprawdę nie umiem od wielu tygodni odnaleźć się w tej sytuacji.

Zrzucić bombę atomową na odcięte od świata miasto o jednej z największych gęstości zaludnienia, naprawdę?

Nazywajmy rzeczy po imieniu, tak jest najbardziej uczciwie. Ataki z 7 października zostały przeprowadzone przez ludzi, którzy w żadnej mierze nie reprezentują Palestyńczyków i którzy wcześniej, po doświadczeniu do władzy, wycieli w pień wszelką opozycję polityczną. To radykalna organizacja terrorystyczna, która moim zdaniem realizuje to, czego chce Iran. I dziś, jak się zdaje, rząd Netanjahu prowadzi grę, w której sprowadzenie zakładników do domu nie jest jedynym celem. Dlaczego przy okazji nie powiększyć terytorium państwa?

Wiele osób czuje podobnie jak ja – z jednej strony pojawiło się realne zagrożenie dalszego istnienia Izraela, a z drugiej wydaje się, że – walcząc o przetrwanie i realizując swoje partykularne interesy – jego przywódcy zupełnie nie rozumieją, w jakim położeniu stawiają obywateli i jaki sygnał wysyłają światu. Interesy obozu politycznego kierowanego przez Netanjahu od dawna stały się ważniejsze od wewnętrznego i zewnętrznego ładu oraz bezpieczeństwa.

Warto uważnie przyjrzeć się sytuacji, która nie zaczęła się przecież 7 października 2023 roku. W wojnie, którą zapoczątkowały ataki, ścierają się ze sobą dwa fundamentalistyczne ośrodki. Tak patrzę na Hamas i tak patrzę na koalicję, która rządzi obecnie Izraelem.

Dla wielu osób szokujące były słowa Netanjahu z marca 2019 roku: „Każdy, kto chce powstrzymać powstanie państwa palestyńskiego, musi wspierać Hamas i przysyłać mu pieniądze. To część naszej strategii, czyli izolowanie Palestyńczyków ze Strefy Gazy od tych z Zachodniego Brzegu”.

– Czytałem jakiś czas temu książkę o Jigalu Amirze, który w listopadzie 1995 roku w centrum Tel Awiwu zamordował ówczesnego premiera Icchaka Rabina. Przyznał on, że nigdy nie miał problemu z Hamasem. Więcej, przyznał, że bojownicy z tej terrorystycznej organizacji są uczciwi i grają fair. Wierzą w swojego Boga, on w swojego, oni chcą przejąć panowanie nad terytorium Izraela, on chciałby, by

Izrael zrobił to z ziemiami, na których żyją Palestyńczycy. Przekonywał, że o tym, kto zrealizuje swój plan, powinna zdecydować walka zbrojna. Dla Amira największym wrogiem są ludzie, którzy nie należą do skrajnej prawicy lub nie popierają jej postulatów. To lewica i liberalowie stanowią zagrożenie dla świata, w którym bój o wszystko toczą religijni radykalowie.

Dlatego ta wypowiedź Netanjahu mnie nie zdziwiła. Ale rozumiem, że dla wielu może być szokująca. Choć zapewne nie dla jego zagorzałych zwolenników. Oni rozumieją, że czasem taka strategia wymaga poświęcenia życia niewinnych ludzi.

Wygląda jednak na to, że rząd w Jerozolimie utracił kontrolę nad rozwojem wypadków. Jednym z najczęściej zadawanych pytań po wydarzeniach z 7 października było to o całkowite nieprzygotowanie Izraela na tego typu atak. Bojownicy Hamasu wtargnęli na terytorium wroga, ludzie godzinami czekali na ratunek.

– Doskonale wiadomo, co się działo na scenie politycznej w Izraelu w miesiącach przed atakami. Netanjahu powoli rozmontowywał demokrację, a wszystko po to, by – nawet w imię koalicji z najbardziej radykalnymi partiami religijnymi – nie trafić za kratki. Izrael stał się słaby tak jak nigdy w całej swojej historii. O ironio – to właśnie ten rząd świętował 75-lecie istnienia państwa, którego struktury zaczął świadomie rozmontowywać.

Netanjahu był, wiemy to już doskonale, informowany o tym, że Hamas planuje działania wymierzone w bezpieczeństwo Izraela. Ignorował je w momencie, gdy – próbując zmieniać ustrój kraju – wysocy rangą wojskowi przestrzegali go, że prowadzone przez rząd działania doprowadzą do wewnętrznego chaosu i do obniżenia naszej pozycji w regionie. To, co działo się od chwili powrotu Netanjahu do władzy, było na rękę terrorystom powiązanym z Iranem i wycisnęli z tej sytuacji dla siebie wszystko, co możliwe. Postawa naszego rządu była mieszaną próżności i przekonania o nieomyślności i całkowitej przewadze armii nad innymi siłami zbrojnymi w regionie, o tym, że Zachód, a przede wszystkim Ameryka, będą wspierać wszystko, co gabinet Netanjahu postanowi.

Wydaje mi się, że nasi ministrowie uznali, że Hamas nigdy nie zdecyduje się na tak bezprecedensowy atak, którego ostatecznie dokonał 7 października. Bo przecież było jasne, że odpowiedzią Jerozolimy będzie to, co chwilę później spotkało Strefę Gazy. Rząd najpewniej założył, że terroryści nie skazą na pewną śmierć tysięcy osób, które nie mają de facto gdzie się schronić, bo Hamas pilnie strzeże dostępu do wydrążonych przez siebie tuneli. I tu, jak sądzę, głęboko się mylili.

Dlaczego?

– Nie tak dawno czytałem na łamach „New York Timesa” artykuł, który zawierał wypowiedzi wielu wysoko postawionych członków i dowódców Hamasu. Wszyscy przyznali, że mieli pełną świadomość, że dojdzie do wybuchu regularnego konfliktu zbrojnego, w wyniku którego połowa, a być może i więcej, terytorium Strefy Gazy ulegnie zniszczeniu. Ale – i to najważniejsze – jak jeden mąż wyrażali przekonanie, że to cena, którą z ich punktu widzenia warto ponieść. Z ich punktu widzenia! Czyli że los cywilów, w tym dzieci, zupełnie ich nie obchodził, nie zamierzali ukrywać, że zdecydowali się poświęcić ich życie!

Powtórzmy to, bo wielu osobom umyka – Hamas wiedział, że po 7 października rozpęta się piekło, doskonale zdawał sobie sprawę, że odwet dotknie przede wszystkim niewinnych.

A jaki jest cel Hamasu, który współpracuje czy też działa przy ogromnym wsparciu innych ośrodków? Tego też nie kryją – stworzenie wielkiego imperium islamskiego, w skład którego weszłyby i Irak, i Liban, i tereny dzisiejszego Izraela oraz Zachodni Brzeg Jordanu, i Strefy Gazy, i Egipt, jeśli tylko okazałoby się możliwe ponowne przejęcie władzy w tym kraju przez radykałów. Nie zdradzam lub nie wymyślam tu żadnego tajnego planu, przedstawiciele Hamasu mówią o tym otwarcie.

Ten projekt wspierany jest przez Teheran, któremu los Palestyńczyków wcale nie leży na sercu. Iran wykorzystuje trudną od dekad sytuację, by załatwiać swoje sprawy. Najpierw chce pokonać „małego szatana”, czyli Izrael, i do tego potrzebuje Hamasu i Hezbollahu, a następnie „dużego”, czyli USA, destabilizując sytuację w całym regionie i angażując w niego największych graczy.

Od lat brałem udział w demonstracjach w Izraelu, sprzeciwiałem się i nadal sprzeciwiam okupacji ziem, na których w urągających warunkach muszą mieszkać Palestyńczycy. Nie zgadzam się, tak jak duża część społeczeństwa, z polityką rządu Netanjahu, który dążył do porzucenia wszelkich prób wypracowania pojednania, uciekał się do prowokacji, a teraz do eskalacji konfliktu. I – najchętniej, co też słyszeliśmy – wdrożenia takiego rozwiązania, które doprowadziłoby do wypędzenia Palestyńczyków...

Lub zrzucenia bomby atomowej. Nie mogę pojąć, jak można było coś takiego powiedzieć.

– Ale fakt, że sprzeciwiam się temu, co działo się przed i co wydarzyło się po 7 października, słuszne oburzenie na słowa, które ponownie przywołałeś, nie oznacza, że mam przechodzić obojętnie wobec zachowań wielu szanowanych przeze mnie osób. Czuję ogromne rozczarowanie postawą przedstawicieli progresywnej zachodnioeuropejskiej lewicy, a także choćby Gretty Thunberg czy Susan Sarandon. Nie zadal sobie trudu, by odróżnić poparcie dla Hamasu od okazywania, jak wielu z nas w Izraelu udziela wsparcia Palestyńczykom. Przecież te osoby, które zginęły i nadal giną w Strefie Gazy, są ofiarami działań obu stron konfliktu. Przy całej tragedii, która jest nie do podważenia, trzeba napraw-

FOT. LIELLE SAND/WYDAWNICTWO LITERACKIE



dę mnóstwo zlej woli, by zajmować takie stanowisko. Czy wiedzą, że jeśli Hamas, Hezbollah lub ktoś inny zaatakuje Izrael i zechce zrównać go z ziemią, zginą również mieszkający wśród nas Palestyńczycy, od pokoleń żyjący w tym kraju? Czy potrafią odróżnić reżim Netanjahu od obywateli, którzy nie zgadzają się z jego polityką?

Przyznawanie się do popierania Hamasu oznacza okazywanie wsparcia terrorystycznej organizacji, która wysyła na śmierć cywilów, a osoby homoseksualne zrzuca z dachów budynków, wykonując na nich w ten sposób wyroki śmierci. Prawdziwe zaangażowanie i próba zrozumienia niełatwych, często okrutnych relacji palestyńsko-izraelskich nie powinny opierać się na podawaniu dalej mało wiarygodnych narracji. Doczekaliśmy czasów, w których królują płytkość i brak mądro-

ści, gdy czynem mającym zmienić świat jest nałożenie na zdjęcie profilowe flagi palestyńskiej lub izraelskiej. W jaki sposób ma to pomóc matce, która w Gazie straciła dziecko, lub 76-letniemu Alexowi Dancygowi, przyjacielowi wielu z nas, którego porwano i którego przetrzymuje się od 7 października bez zapewnienia mu dostępu do leków? Czy Palestyńczycy faktycznie zrealizują plan stworzenia niepodległego państwa, gwałcąc i ćwiartując ciała izraelskich kobiet lub obcinając głowy ich dzieciom? Czy Roger Waters naprawdę musi mieć zdanie w każdej sprawie?

Jakże łatwo wydaje się dziś wyroki w mediach społecznościowych, z jakim przekonaniem i pewnością. Realny świat wygląda zgoła inaczej. Ludzie patrzący z oddali na to, co się dzieje w Izraelu i Strefie Gazy, wskoczyli do pędzących coraz

szybciej pociągów z napisem „islamofobia” lub „antysemityzm”.

Nie da się ukryć, że oceny wydarzeń z 7 października i kolejnych tygodni podzieliły mieszkańców całego świata. Widać to również w Polsce.

– Byłoby dobrze, by – zamiast wzajemnie zagrzewać do nienawiści – ludzie zaczęli opierać swoją wiedzę na faktach i zastanowili się, jak pokojowo można zakończyć tę okrutną wojnę.

Nasza rozmowa to drugi wywiad, którego udzielał polskim mediom od czasu ataku Hamasu na Izrael. W tym czasie odpowiadałem na pytania ponad 30 redakcji. Ale jednocześnie dowiedziałem się, że w niektórych krajach rozmowa ze mną – przedstawiona na łamach prasy, w sieci lub w mediach tradycyjnych – nie zosta-

łaaby dobrze przyjęta. Wiesz, że całkowicie zamilkli na przykład dziennikarze z krajów skandynawskich? Sprawa tragedii Palestyńczyków i Izraelczyków stała się dla nich wyłącznie polityczna, a ja – jak się okazało – reprezentuję zły obóz.

To zresztą bardzo ważne, by podkreślić, jak istotną rolę w odbiorze ostatnich wydarzeń odgrywają w media. Ja, będąc w Tel Awiwie, nie mam w zasadzie możliwości, by otrzymać pełen zestaw informacji ze Strefy Gazy. W telewizji widzę obrazy żołnierzy aresztujących terrorystów. Ale niewiele mogę się dowiedzieć na temat skutków bombardowań. W Gazie raczej nie pokazuje się zdjęć zniszczonych kibuców, ścian wymazanych krwią ofiar, ciał zdekapitowanych izraelskich dzieci.

Nie da się ukryć, że ogólnosiwiatowe telewizje nadające albo z Jerozolimy, albo ze Strefy często sprzyjają jednej ze stron. Trudno się też dziwić, że ludzie nie chcą na własną rękę zdobywać wiedzy, skoro bez przerwy karmieni są nowymi danymi, gdy widzą tragiczne obrazy z miasta, które zamieniło się w gruzowisko i gdzie giną niewinni ludzie. To im wystarczy – wiem, że nie można tego znieść na spokojnie, że to musi budzić niechęć, nienawiść. Ale czy ta sama stacja zdecydowałaby się pokazać relację z tego, co pozostało po miejscach zaatakowanych 7 października? Czy gdyby to było możliwe, transmitowałaby tamte wydarzenia? Nie podejrzewam.



„Jestem oficerem i za chwilę ruszam do Gazy. Zostawiła mnie dziewczyna.

Czy w wypadku mojej śmierci mógłbyś do niej zadzwonić i przekazać, że kochałem ją najbardziej na świecie?”.

I wcisnął mi w rękę kartkę z numerem telefonu tej kobiety

Jakiś czas temu, jeszcze w październiku, odwiedził mnie w domu jeden z europejskich dziennikarzy. W czasie wywiadu wielokrotnie wracał do podanej chwili wcześniej przez przedstawiciela Hamasu nowej liczby zabitych w Strefie Gazy palestyńskich dzieci. W końcu nie wytrzymałem i zapytałem, czy wie, ilu cywilów zginęło tego dnia w Ukrainie? Przyznał, że nie, ale jeszcze w marcu 2022 roku bardzo uważnie to śledził. Przeraziło mnie to wyznanie, bo uświadomiłem sobie, że zapewne dziś nie przygląda się już także statystykom z Gazy. I zapomniał liczby ofiar ataków z 7 października...

Myślę, że dziś wielu spośród tych, którzy bezrefleksyjnie zawierzyli narracji Hamasu, też nie śledzi już danych. Oswoili się z tragedią, a my jeszcze przez długi czas będziemy musieli robić wszystko, by doszło do jej zakończenia.

Plan jest prosty i znany od dawna. Po pierwsze, sprowadzić do domu wszystkich nadal żyjących zakładników, by zakończyć to, czego niestety nie dało się uniknąć, czyli bombardowań i bezpośrednich starć w Strefie Gazy, skąd startowały rakiety mające pustoszyć izraelskie terytorium. Po drugie, dopaść i osądzić pomysłodawców oraz wykonawców ataków z 7 października. W ten sposób z pewnością ulży się też cywilnym mieszkańcom Strefy Gazy, co – nie tylko dla mnie – jest od samego początku tej wojny niesamowicie ważne. Po trzecie, rozprawiając się z terrorystami i ich zwierzchnikami, Jerozolima musi wysłać jasny sygnał Teheranowi, Hezbollahowi i innym wrogom, że Izrael będzie trwał jako państwo i nigdy nie da się zgładzić.

I po czwarte, w przyszości najważniejsze. By na zawsze rozwiązać konflikt, któ-

ry trwa już ponad 75 lat i po raz kolejny przyniósł tak wiele ofiar, należy doprowadzić w końcu do powstania państwa palestyńskiego. Oczywiście, że po obu stronach znajdują się przeciwnicy, że będzie to proces skomplikowany, ale jedyny słuszny, by w końcu zapanować nad złem.

Jak twoim zdaniem będzie wyglądać polityczna przyszłość Beniamina Netanjahu?

– Poparcie dla niego i dla jego rządu jest dramatycznie niskie. Zwykle w czasie wojny przywódca zyskuje w sondażach, ludzie pokazują w ten sposób zaufanie i wiarę w jego moc sprawczą. Netanjahu nie może liczyć w tej chwili na więcej niż 20 procent, to dramatyczny i niespotykany w historii Izraela wynik. Gdyby dziś doszło do wyborów, jego obóz zostałby zmieciony ze sceny politycznej.

Przez pierwszy miesiąc po atakach z 7 października Netanjahu nie znalazł nawet minuty, by spotkać się z rannymi czy z rodzinami ofiar. Twierdził, że był zbyt zajęty, ale jednocześnie wielokrotnie rozmawiał z doradcami ds. komunikacji i zarządzania kryzysem, spędzał czas z rodziną, nie widział też nic niestosownego w tym, że jego syn odpoczywał w Miami i nie był zainteresowany tym, co się dzieje w kraju. To pierwszy w historii Izraela premier, którego publicznie skrytykował prezydent USA, mówiąc, że mu nie ufa. Być może nie jest to do końca zgodne ze sposobem, w jaki Biały Dom prowadzi swoją politykę zagraniczną, ale jestem w stanie uwierzyć, że i Biden miał dość człowieka, który stoi na czele izraelskiego rządu. Trudno o większą kompromitację, gdy zna się dobrze relacje między Waszyngtonem a Jerozolimą.

Jest jasne, że koniec premiera jest bliski i że nie uda mu się wyjść cało z tego, do czego doprowadził. Wydaje się, że jego kariera naprawdę zmierza ku końcowi, nie wiemy tylko jeszcze, kiedy upadnie po raz ostatni. Palestyńczycy, Izraelczycy i cały świat zasługują na coś wiele lepszego niż Hamas i Netanjahu.

Nie ma sensu ukrywać, że do realizacji przedstawionego przez ciebie i składającego się z czterech punktów planu wciąż długa droga. W ostatnich tygodniach bardzo wzrosło napięcie na izraelsko-libańskich granicy, Hezbollah i Iran zapowiadają rozprawienie się z „małym szatanem”, mimo apelów amerykańskiej administracji napięcie na Bliskim Wschodzie nie maleje. Na początku naszej rozmowy mówiłeś o przysięgnięciu. A jak wygląda twoja codzienność od ponad trzech miesięcy?

– Ludzie tacy jak ja musieli po 7 października znaleźć sobie coś do roboty, by wspierać tych, którzy walczą i działają na rzecz rodzin ofiar czy osób rannych, na różnych polach zajęli się wspieraniem działań mających na celu ratowanie istnienia państwa. Niestety, nie mam prawa jazdy i fatalnie gotuję, więc nie mogłem zostać kierowcą ani kucharzem, dowozić jedzenie, zostać kurierem czy taksówkarzem.

Zdecydowałem się wspierać tak, jak potrafię. Wychodziłem

z domu, szedłem do najbliższego ośrodka opieki nad starszymi osobami, do szpitala czy szkoły i mówiłem: „Jestem pisarzem, jeśli to komuś pomoże, mogę przeczytać fragment swojej książki, jakieś opowiadanie”. Na kilkadziesiąt minut uciekaliśmy z tego okrutnego świata. Zdarzało mi się też urządzać podobne spotkania w hotelowych lobby, a w jednej z placówek edukacyjnych okazało się, że dzieci zamiast czytania wolą jogę, więc zaczęliśmy wspólne ćwiczenia. Każdy sposób na choćby chwilowe odpędzenie od siebie poczucia wszechogarniającej grozy, bycie w tym z innymi wydały mi się bezcenne.

W ciągu tych trzech miesięcy było wiele niesamowitych momentów. Na przykład zupełnie nieznajoma kobieta poprosiła, bym napisał opowiadanie dla jej męża, który – jako wojskowy – trafił do Strefy Gazy. Wyobraziłem sobie postać krokodyla, który został oficerem... Innym razem podszedł do mnie mężczyzna, który – początkowo się wstydząc – powiedział: „Jestem oficerem i za chwilę ruszam do Gazy. Chciałbym cię o coś prosić i błagam, byś nie traktował tego w kategorii żartu. Zostawiła mnie dziewczyna, miłość mojego życia. Czy w wypadku mojej śmierci, gdy podadzą w mediach moje nazwisko, mógłbyś do niej zadzwonić i przekazać, że kochałem ją najbardziej na świecie? Jest twoją wielką fanką, uwierz ci”. I zostawił mnie z tym, wiskając w rękę kartkę z numerem telefonu tej kobiety...

Najbardziej wzruszająca była jednak historia z krótkim opowiadaniem, które stało się czymś na kształt mowy pogrzebowej.

Opowiesz?

– Ten bardzo krótki tekst nazywa się „Znaki życia”. Wysłałem go jako wiadomość na jednym z komunikatorów, uprzednio o to poproszony, do dziewczyny, która straciła najlepszego przyjaciela oraz ojca. Na pogrzebie tego drugiego, zamiast przemawiać, wykorzystala moje słowa. Stwierdziła później, że przyniosło jej to ulgę.

Zacytować?

Poproszę.

– „A teraz zamknij oczy i spróbuj przestać się złościć. Spróbuj przestać wściekać się na wszystkich, którzy słusznie na to zasługują. Zamknij oczy i pozwól na to, byś choć przez chwilę mógł odczuwać ból. Czuć zawahanie się. Być zdezorientowanym. Być smutnym. Mieć wyrzuty sumienia. Masz jeszcze całe życie na to, by się zemścić, by dokonać rozliczenia. Na razie po prostu zamknij oczy i spójrz w głąb siebie, bądź niczym satelita unoszący się nad strefą zniszczeń w poszukiwaniu jakichkolwiek znaków życia. Wiele ci odebrano, ale wciąż jesteś człowiekiem. Poranionym, zakrwawionym, wściekłym, cierpiącym, przestraszonym, tonącym w smutku, ale wciąż: człowiekiem. Weź głęboki oddech i postaraj się zapamiętać to uczucie. Ponieważ wiesz dobrze, że za minutę, gdy ponownie otworzysz oczy, ono cię opuści”. ●

Opowiadanie, które Etgar Keret napisał po 7 października 2023

Intencja

Dwadzieścia lat modlił się Jechiel Nachman do swojego Boga. Przez całe dwadzieścia lat nie było dnia, żeby nie zanosił prośb o ożenek, o środki do życia, o zdrowie, o pokój dla Izraela, i nic się nie wydarzyło. Jechiel Nachman pozostał kawalerem, biednym i astmatycznym, i ani szczypta pokoju nie pojawiła się na horyzoncie. Nie powstrzymało go to przed kontynuowaniem codziennych modlitw, trzy razy dziennie – modlitwa poranna, przedwieczorna, wieczorna, żadnej ani razu nie pomijając.

W głębi serca Jechiel Nachman pogodził się z tym, że jego prośby pozostają bez odpowiedzi. W końcu modlitwa to czysta tęsknota za współczuciem, za sprawiedliwością, a życie jest życiem: okrutnym, pełnym rozpacz i upokorzeń; naturalne zatem, że dwa tak różne światy nigdy się nie spotykają. Ale rankiem ósmego dnia Święta Szalasów, dwudziestego drugiego dnia miesiąca Tiszri, w dzień Święta Radości Tory, coś w Jechielu Nachmanie pękło. Tego świątecznego dnia licznych członków jego narodu zamordowano, a innych porwano o świcie z łóżek i wywieziono do miasta wroga.

Jeszcze zanim zdołał na dobre przyswoić sobie te straszne wiadomości, już stał owinięty tałem na balkonie swojego małego mieszkanka w Bet Szemesz i godziny całe, bez jedzenia i picia, błagał Stwórcę o zmiłowanie: Co wzięłeś – to wzięłeś, ale proszę, zlituj się nad tymi niewinnymi, porwanymi o pierwszym brzasku i sprowadź ich znów do ziemi, którą dałeś ich przodkom.

Kiedy następnego dnia, po dwudziestu godzinach nieprzerwanych modlitw, Jechiel Nachman otworzył informacje w aplikacji Alert i zobaczył, że nic się nie zmieniło, a jeńcy nadal są w niewoli, włożył płaszcz i szybkim krokiem poszedł do domu rabiego Nachmii Mitelmana.

– Czcigodny rabinie – zwrócił się do Mitelmana – przestałem wierzyć, więc przed zdjęciem kipy i obcięciem pejsów przyszedłem się pożegnać.

Rabin spojrzał na niego przenikliwym wzrokiem i spytał spokojnie, co sprawiło, że stracił wiarę, a rozemocjonowany Jechiel Nachman odpowiedział:

– Całą noc modliłem się do Błogosławionego za porwanych, błagałem, żeby się o nich zatroszczył, żeby ich uwolnił. I modliłem się nie tak jak zwykle, na pół mocy, ale z prawdziwą i żarliwą intencją. A mimo to nic się nie stało. Wybacz mi, czcigodny rabinie, ale ja już nie wierzę. Nie wierzę w istnienie Boga, który serce ma zatwardziało na modlitwę tak czystą jak moja.

– Żarliwa intencja? – zapytał rabin i poglądził się po brodzie. – A wolno zapytać, jak żarliwa była ta intencja?

– Jak żarliwa? – obruszył się Jechiel Nachman. – Absolutnie żarliwa.

– Absolutnie żarliwa nie była – powiedział rabin i pokręcił głową ze smutkiem. – Bo przecież gdyby była aż tak żarliwa, zostałaby wysłuchana. Najwidoczniej twoja modlitwa była prawie absolutnie żarliwa. Bardziej żarliwa niż zwykle, ale jeszcze niewystarczająco żarliwa. – Rabin zamilkł na chwilę, położył po ojcowsku rękę na ramieniu Jechiela Nachmana i dodał: – Radzę ci, Hiliku, żebyś, zamiast obcinać brody i pejsy, zainwestował jeszcze trochę w modlitwę. Po drzeniu twego głosu czuję, że do prawdy jesteś już blisko.

Wrócił Jechiel Nachman do swojego małego mieszkanka, założył ponownie tales i zaczął się modlić. Jednocześnie szukał skaz na swojej wierze i intencjach i odkrył, że chociaż modlił się przez większość czasu naprawdę całym sercem, w pewnych momentach jego serce było podzielone i gdy wargi szeptały: „Przywiedź synów do ziemi ich ojców”, serce uciekało w rozmyślanie o długiej labędzie szyi kasjerki z dyskontu Oszer Ad, o właścicielu jego ciasnego mieszkania i o stałym zleceniu na recepty z rejonowej przychodni, które już dawno należało odnowić. A od chwili, kiedy zdał sobie sprawę z tych egoistycznych, zakłócających modlitwę myśli, zaczął się na nich koncentrować i powoli wypychać je ze świadomości.

Modląc się, tak Jechiel Nachman pocił się i dyszał, niczym człowiek pchający pod górę ciężki fortepian, pocił się i dyszał, dyszał i pocił się, aż wyrwał do reszty wszelkie świeckie myśli ze swojego serca,

a w ich miejsce przyływały kolejne intencje i kolejne zawierzenia, rozlewając się z całym impetem, zaś sama modlitwa z chwili na chwilę przybierała inną postać i nie była już zestawem słów z codziennego modlitewnika – bo jeśli błaganie jest prawdziwe i bolesne, to jak każde prawdziwie szczere błaganie nie ma granic i nie zadowala się już dobrem pojmanych braci i reszty narodu, lecz chce dobra każdego człowieka, także wroga. I jak jeździec, co stracił panowanie nad koniem, Jechiel Nachman zarazem modlił się i zdumiewał, błagał i przysłuchiwał ciekawie swoim błaganiom, jakby kto inny je wypowiadał, a na koniec trwającej jakieś trzydzieści godzin modlitwy otworzył aplikację Alert i zobaczył, że dwóch porwanych zostało zwolnionych oraz że w tym samym dokładnie czasie rozpoczynają się negocjacje z wrogiem o przerwaniu ognia.

Wieczorem tego dnia, kiedy dotarł do synagogi, dostrzegł rabina Mitelmana przypatrującego mu się z dobrotliwym zainteresowaniem, a gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, rabin skinął mu głową z uśmiechem i Jechiel Nachman przez całą drogę powrotną do domu szedł nie po brudnym betonowym chodniku, tylko jakby po zachmurzonym niebie. Teraz, myślał, kiedy wielkie problemy zaczęły się już rozwiązywać, następną modlitwę będę mógł poświęcić sobie.

Tej nocy, mimo wyczerpania, zamiast pójść spać, modlił się o ożenek i o dzieci. Początkowo miał zamiar prosić o małżeństwo z kasjerką z Oszer Ad, lecz jego wołanie do Stwórcy Świata – jak każda prawdziwa modlitwa – samo wyszukiwało intencje i słowa bardziej właściwe niż te, które umiał znaleźć Jechiel Nachman, nie dokonując wyboru małżonki, ale pozwalając Stwórcy Świata zrobić to za niego.

Podczas modlitwy Jechiel Nachman miał poczucie duchowego uwznioślenia, jakby po raz pierwszy udało mu się wyobrazić sobie życie, którego dla siebie pragnął, nie w szczegółach, ale w idei. Modlił się nie o kobietę, ale o prawdziwą więź, nie o dzieci, ale o mądre, pełne miłości rodzicielstwo. Modlił się i modlił bez chwili przerwy, aż ocknął się na podłodze, z rozbitym głową. Sąsiadka z góry, opatrując mu czoło, powiedziała, że to wygląda bardzo poważnie i powinien natychmiast udać się do lekarza, a Jechiel Nachman podziękował jej i wyjaśnił, że jest zmęczony i prawdopodobnie też odwodniony, więc wystarczy, że coś wypije, zje i trochę odpocznie, a wszystko będzie dobrze. Prosto od sąsiadki poszedł do Oszer Ad, gdzie kupił kilka paczek mrożonych sznyceli i zgrzewkę wody mineralnej, a kiedy płacił, długoszyja kasjerka uśmiechnęła się do niego promiennie i powiedziała, że pewnie bardzo lubi sznycle. Jechiel Nachman też się uśmiechnął i odpowiedział, że lubi sznycle, ale nie tylko. W sklepie oprócz niego nie było innych klientów i zaczęli rozmawiać o jedzeniu – dokładnie o koszernym sushi – a Jechiel Nachman obiecał długoszyjej kasjerce, że przy następnej okazji przyniesie jej specjalny ocet ryżowy sprzedawany tylko w Jerozolimie, który sprawia, że ziarenka ryżu sklejają się ze sobą jak magnesy w drzwiach lodówki.

W nocy, kiedy leżał w łóżku z otwartymi oczami, Jechiel Nachman myślał sobie, jak wspaniały i prosty jest ten świat i ile cierpienia i trudu wymaga doświadczać każdego dnia swego życia, a wszystko dlatego, że nie wiedział, jak i o co prosić. I to była ostatnia myśl, jaka przeszła mu przez głowę, zanim zamknął oczy na zawsze.

Lekarka wyjaśniła pograżonym w żalobie rodzinom Jechiela Nachmana, że kiedy upadł i rozbił sobie głowę, musiał doznać urazu mózgu, a gdyby, zamiast pójść spać, posłuchał sąsiadki i pojechał na pogotowie, nadal by żył. Kiedy skończyła mówić, skrzywiła twarz w smutnym grymasie. Nawiasem mówiąc, duch Jechiela Nachmana wcale się nie smucił. Przebywał teraz w świecie, który cały był dobry – nie w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach dobrego, ale dobry całkowicie, absolutnie – i w tym świecie spędzał całe godziny na szczerych rozmowach ze Stwórcą, podczas których odsłaniał przed nim całą gorycz i udrękę ludzi, kimkolwiek i gdziekolwiek są. A Bóg słuchał z nieskończoną cierpliwością i współczująco kiwał głową. Zawsze, nawet kiedy nie miał najmniejszego pojęcia, o czym Jechiel Nachman mówi. ●

Tłumaczyła Agnieszka Maciejowska

Nie pozwólmy PiS-owi ukraść słów

Chcą maszerować pod hasłem „Konstytucja”, „Demokracja”, „Wolne media”.
Chcą bronić „więźniów politycznych” przed „autorytarnym reżimem”.

Wielński

6 stycznia 2016 r. do siedziby TVP na Woronicza w towarzystwie m.in. Danuty Holeckiej, późniejszej głównej twarzy bezwstydnej propagandy PiS, wkroczył nowy prezes Jacek Kurski. Zapowiedział stworzenie nad Wisłą telewizji, która będzie przestrzegać standardów BBC. Pracę zaczął jednak od czystki. W ciągu pierwszych tygodni jego rządów pracę straciło dziesiątki dziennikarzy. – Wieje wiatr zmian – mówili mianowani z partyjnego rozdzielnika menedżerowie, wręczając wypowiedzenia. Demokraci zareagowali natychmiast. Już 10 stycznia na plac Powstańców, pod siedzibę przerabianej na partyjny organ TVP Info i studio „Wiadomości”, przyszło 20 tys. ludzi. Hasło „Wolne media” niesło się przez Warszawę. Niosło się przez osiem lat. Ostatnie wielkie demonstracje w obronie wolnych mediów miały miejsce w całym kraju 19 grudnia 2021 r. Tysiące ludzi broniło niezależnej telewizji TVN przed wywłaszczeniem i przejęciem przez PiS.

Dziś w okolicach placu Powstańców też słyhać ten slogan. O „wolne media” walczą dziś pracownicy mediów, którzy przyszli do nich z Kurskim, żarliwie wspierali i wspierają PiS. Wśród nich ci, którzy na antenie przejętej przez partię telewizji publicznej występowali pod pseudonimami, że „lewicowy faszyzm niszczy Polskę”, „lewaccy zadymiarze chcą wywołać chaos” a „ideologia LGBT niszczy rodzinę”. A Polacy mimo to „wybierają prawo i sprawiedliwość”. Obok propagandzistów są też ludzie pracujący na odcinku szczucia wrogów partii, ich rodzin, nawet dzieci. Kilkoro z nich ma krew na rękach. Łączy ich to, że są milionerami, PiS za robienie propagandy płacił hojnie, nawet ponad sto tysięcy złotych na miesiąc. Wolne media chcieli przejąć, tak jak w ramach orlenizacji przejęto media regionalne Polska Press, albo zaorać. Dziś krzyczą: „wolne media”, bo nowa władza pozbawiła PiS kontroli nad mediami publicznymi. Ludzie dewastujący publiczną debatę w Polsce, dezinformujący, zamiast informować, siejący nienawiść ubrali się w szaty obrońców pluralizmu i demokracji.

Pierwszy protest w obronie łamanej przez prezydenta Andrzeja Dudę konstytucji był miesiąc wcześniej. 12 grudnia 2015 r. spod siedziby Trybunału Konstytucyjnego (do którego Duda wprowadził dublerów, odmawiając zaprzysiężenia prawidłowo wybranych sędziów) pod Pałac Prezydencki przeszło 50 tys. ludzi. Wówczas powstał symbol protestów: cztery rzędy liter tworzących napis „Konstytucja”, gdzie sylaby „ty” i „ja” są wyróżnione innymi kolorami. Używaliśmy go przez osiem lat.
Dziś w szaty obrońcy konstytucji przebrał się Andrzej Duda. Pierwszy we współczesnej historii Polski prezydent, który konstytucję łamał.

Nie tylko pod koniec 2015 r., a według wyliczeń prof. Adama Strzembosza, byłego pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, ponad 13 razy (po przekroczeniu tej granicy profesor przestał delikty Dudy liczyć). Teraz prezydent oświadczył, że jest zdeterminowany i z jego strony „nigdy nie będzie zgody na łamanie konstytucji”. Bo on sam nigdy konstytucji nie łamał, łamią ją natomiast Donald Tusk i jego ludzie.

O demokrację w Polsce osobiście upomina się prezes PiS Jarosław Kaczyński, który 11 stycznia zwołał pod Sejmem demonstrację w jej obronie. Piszę ten tekst kilka godzin przed jej rozpoczęciem. Ciężko jeszcze ocenić jej wielkość na podstawie zamieszczanych w mediach społecznościowych informacji o jadących do Warszawy autobusach. Ściągnięci przez PiS i zblatowane z partią NSZZ „Solidarność” demonstranci będą szli z tymi samymi hasłami, co zwolennicy demokratycznej opozycji rok temu 4 czerwca i 1 października. Wówczas, gdy w quasi-karnawałowym pochodzie wolności przez centrum Warszawy przeszło pół miliona, a potem milion ludzi, chodziło właśnie o demokrację i konstytucję, wolne media i wolne sądy. O nowoczesną, cywilizowaną Polskę.

PiS właśnie przywłaszcza te hasła. Jarosław Kaczyński w ten sposób wraca do korzeni. Kleci nowy założycielski mit, nową legendę, która ma scementować partię, utrzymać partyjnych generałów u boku i partyjny wojsko w polu. Z partii płyną sygnały, że morale siada. Po ośmiu latach rozpasania nadchodzą lata chude. Nowa władza na przykładzie TVP pokazała, że zainstalowane przez PiS zabezpieczenia, które miały zapewnić Kaczyńskiemu kontrolę nad kluczowymi obszarami państwa, nie działają. I że demokratyczna koalicja jest zdeterminowana, by je obejść. Płacz i zgrzytanie zębów będzie słychać na przełomie stycznia i lutego, gdy zacznie się czyszczenie spółek skarbu państwa.

Sprawa Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, których policja zatrzymała w Pałacu Prezydenckim i przewiozła do aresztu śledczego, pokazuje z kolei, że żadnej tolerancji nie będzie. I tak jak Kamiński z Wąsikiem muszą odsiedzieć dwuletni wyrok za nadużycie władzy przy tzw. aferze gruntovej, tak odpowiedzialność poniosą inni funkcjonariusze dawnej władzy, którym zdarzyło się łamać prawo. I nie chodzi tylko o tych, którzy zlecali inwigilowanie Krzysztofa Brejzy Pegasusem. Ile milionów zmarnotrawiono, wspierając fundacje i stowarzyszenia partyjnych kolegów, ile poszło na bezsensowne przetargi, ile publicznych pieniędzy wpompowano w propagandowe media...

Kaczyński, by ocalić swój polityczny projekt, musi przywrócić swoim ludziom poczucie stabilności. Z oblężonej fortecy chce wyruszyć na krucjatę ze złem. Kolejny raz...

W 1993 r. mobilizował swoich do walki, pałac pod Belwederem kukłę

przedstawiającą ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsę, legendarnego przywódcę „Solidarności”, którego Kaczyński – wcześniej szef jego kancelarii – chciał obalić jako byłego agenta SB. Wtedy nie chwyciło. Ale dwadzieścia lat później kult po katastrofie smoleńskiej rozkręcał się w najlepsze. Celebrowane miesięcznice, prezes PiS wbity na stałe w żałobny garnitur z obowiązkowo czarnym krawatem, otoczony grupą smoleńskich wdów i sierot. A wszystko to w spiskowej otoczce, która mimo tłumaczeń ówczesnej władzy, mimo rzetelnych analiz komisji badania wypadków lotniczych i prokuratury nie dawała się rozproszyć. Tragedia w Smoleńsku łączyła w sobie zbyt wiele wątków, poruszała zbyt wiele drażliwych strun. Niewyobrażalna katastrofa samolotu prezydenta Rzeczypospolitej, wydarzenie, do którego nie miało prawa dojść, śmierć tylu najwyższych rangą urzędników i wojskowych, na rosyjskiej ziemi, pod Katyniem, miejscem kaźni polskich oficerów w 1940 r., po awanturze z rządem Donalda Tuska



Kaczyński, by ocalić swój polityczny projekt, musi przywrócić swoim ludziom poczucie stabilności. Z oblężonej fortecy chce wyruszyć na krucjatę ze złem. Kolejny raz...

o to, kto ma reprezentować Polskę na uroczystościach upamiętniających 70. lecie katyńskiego mordu. Opowieść o zamachu, w który zamieszane są służby specjalne coraz bardziej podnoszącej głowę Rosji, pisała się sama. Jak inaczej wytłumaczyć katastrofę o tak nieprawdopodobnych rozmiarach?

Smoleński mit dawał Kaczyńskiemu pewną moralną przewagę nad przeciwnikami. Tworzył wrażenie, że idzie do władzy nie dla pieniędzy, lecz po to, by odkryć prawdę o śmierci brata. Mit cementował kierownictwo formacji, które szykowało się do przejęcia władzy, mobilizował jej wyborców. Po ośmiu latach rządów PiS smoleńskie hasła nie robią żadnego wrażenia. PiS je do cna skompromitował przez nieludzkie ekshumacje ofiar i zakłamaną działalność komisji Macierewicza, która – by udowodnić tezę o zamachu – manipulowała dowodami. Skompromitował przez celebrę towarzyszącą kolejnym miesięcznicom i brutalność policji, która je tłumnie otaczała. Skompromitował, stawiając na wydartym podstępem placu w centrum Warszawy kosztowny pomnik ofiar, którego dzień i noc musieli pilnować policjanci.

Pisanie nowej opowieści zaczęło się jeszcze 15 października. Trwały jeszcze wybory, a politycy PiS alarmowali o rzekomych nieprawidłowościach, o niewydawaniu kart do głosowania w referendum, o wożeniu autobusami tysięcy ludzi od komisji do komisji, którzy wielokrotnie mieli oddawać głos. Dla zwolenników PiS takim miej-

scem było Jagodno, wrocławska dzielnica, gdzie ludzie w kolejce do urny stali do późnej nocy. Potem PiS wszedł w buty polskich demokratów z przełomu 2015 i 2016 r. „Konstytucja” – krzyczą politycy, którzy klaskali, gdy Andrzej Duda konstytucję łamał. Okrzyki „wolne media” wznoszą ci, którzy pomagali tworzyć listy dziennikarzy mediów publicznych do zwolnienia. O kulturę debaty i powagę Sejmu zabiegają ci, którzy kibicowali pi-sowskim marszałkom Sejmu Markowi Kuchcińskiemu i Elżbiecie Witek, gdy wyłączali opozycji mikrofony. Teraz, po zatrzymaniu Kamińskiego i Wąsika, dominuje przekaz o „więźniach politycznych”.

PiS osiąga Himalaje hipokryzji. Czy na nowym paliwie, na ukradzionych sloganach, na obronie rzekomo zagrożonej demokracji i urojonych więźniów politycznych PiS dojedzie równie daleko? Niedawno pisałem, że w PiS nie ma tego ducha wspólnoty, jaki obserwowaliśmy podczas marszów KOD-u. Nie czuć go ani podczas pisowskich

demonstracji na placu Powstańców, ani tym bardziej pod komisariatem na Pradze, gdzie przewieziono zatrzymanych Kamińskiego i Wąsika.

Ale jednak pamiętam, jaką wesołość wywoływały pierwsze protesty wyznawców mitu smoleńskiego, jak niepoważnie wyglądał ich namiot rozstawiony pod Pałacem Prezydenckim, jak idiotycznie brzmiały kolejne wersje opowieści o zamachu... Minęło kilka lat, kult smoleński stał się doktryną państwa.

Dlatego trzeba już teraz przeciwdziałać. Odpowiadać, reagować, demaskować kłamstwa. Fundamentalnym sukcesem ostatnich lat było wykrystalizowanie się w Polsce społeczeństwa obywatelskiego i to, że ten proces zachodził poza wielkimi miastami. Wiele inicjatyw miało miejsce w małych miejscowościach. „Tour de Konstytucja” jeździł po całym kraju, tłumacząc ludziom, czym jest praworządność, demokracja i dlaczego należy ich bronić. „Tour de Konstytucja” powinien jeździć dalej. Społeczeństwo obywatelskie nie może się rozejść. ●

Bartosz T. Wielński

Będzie polskie Fox News?



TVP REPUBLIKA

Z NĘDZY DO PIENIĘDZY

Tomasz Sakiewicz powiedział zarodze TV Republika, ze powinien wyslać Tuskowi szampana

Piotr Głuchowski, Bartosz T. Wieliński

rzez ostatnie lata blisko 90-letni, cierpiący na cukrzycę i kilka innych chorób emerytowany nauczyciel Józef Szuks z Kołobrzegu oglądał TVP Info po osiem-dziewięć godzin dziennie.

Ponieważ niedośłyszy, wiecznie włączony telewizor grał w jego pokoju tak głośno, że słysząc było w całym apartamencie, gdzie senior mieszka z synem i synową. Gdy 20 grudnia nowe władze TVP wyłączyły sygnał Info, małżonkowie odetchnęli nerwowo, lecz przyszły inne problemy: teść i ojciec nie mogli sobie znaleźć miejsca w domu, był zirytowany, nie jadł, co rusz chwiał się na nogach, w końcu poczuł się tak fatalnie, że syn musiał zawieźć go do szpitala. Wyniki badań okazały się niewesołe, lecz po dwóch dniach i tak wypisano pacjenta do domu, by spędzić święta z rodziną. Lekarz wystawił skierowanie umożliwiającej skorzystanie z pielęgnarskiej opieki długoterminowej.

Święta nie były przyjemne. Pan Józef nie miał apetytu, w dzień przysypiał na siedząco, w nocy chodził po mieszkaniu, upadł, co omal nie skończyło się ponowną hospitalizacją. Czasami włączał telewizor, bawił się pilotem, lecz żaden z kilkuset programów go nie interesował. Wyglądał coraz gorzej; mruczał, że już nie ma dla niego nadziei. Wezwana po świętach pielęgniarka orzekła, że wyniki jeszcze się pogorszyły.

Wszystko zmieniło się 29 grudnia wieczorem, gdy skacząc po kanałach, pan Józef zobaczył znajomą twarz Danuty Holeckiej. Nieznana mu wcześniej stacja nazywała się Republika. Odtąd co prawda telewizor znów hałasuje przez cały dzień, ale wyniki Szukosa znacznie się poprawiły. Teśd odzyskał apetyt i – jak mi mówi synowa – zapal do życia.

Zapał czuć też w siedzibie Republiki na warszawskim Muranowie. Ruch jak u ulu. Nowi pracownicy, nowe sprzęty, nowe umowy, nowe

programy, nowe cenniki reklam. I atmosfera ofensywy. Od trzech tygodni stacja nadaje nieustannie „wydanie specjalne” z frontu walki o media.

– Kierownictwo snuje mocarstwowe plany – mówi nasze źródło z redakcji. – Odwołano obniżki pensji, ściągą się do firmy tych, których pozwalniano w grudniu.

– Jesteśmy w centrum cyklonu – głosi na antenie publicysta Rafał Ziemkiewicz.

„Nasza oglądalność wzrosła o prawie trzy tysiące procent” – informuje strona stacji.

Mającą jeszcze niedawno kilkunastotysięczną widownię antenę 56-letniego weterana prawniczych mediów Tomasza Sakiewicza po przejęciu przezeń gwiazd pisowskiej TVP i czasowym wygaszeniu kanału TVP Info ogląda od początku roku ponad siedem milionów osób.

Tęskniący za pioską TVP mieli prosty wybór – Republika, choć na całym rynku telewizyjnym niszowa, już wcześniej była najbardziej rozpoznawalną wśród stacji prawej strony – wyprzedzała m.in. sieciową telewizję braci Karnowskich wPolsce.pl, internetowe Media Narodowe Roberta Bąkiewicza czy jeszcze mniejsze prawicowe stacje eMisjaTv i wRealu, które nadają głównie przez YouTube'a. Republikę można natomiast oglądać w 60 procentach polskich telewizorów. Sygnał retransmitują kablówki, lokalne multipleksy (jak TV Silesia) i główni ogólnopolscy operatorzy: Netia, Vectra, UPC, Orange, Toya, Play. Stacja jest również obecna „na satelicie” (platforma Canal+). W ostatnim tygodniu Sakiewicz ogłosił pracownikom, że będzie jeszcze lepiej.

– Chwali się, że wykupuje właśnie miejsca na nowych multipleksach, że Republika będzie odbierana w stu procentach kraju – mówi nasze źródło. – Liczy na wielkie pieniądze i przyływ kolejnych gwiazd.

Od grudnia w Republice można podziwiać nie tylko Holecą, która współprowadzi „Rozmowę wieczoru” oraz główne wydanie informacji, czyli program „Dzisiaj”, ale też drugą najjaśniejszą gwiazdę medialną PiS, czyli Michała Rachonia. Rachon przeziósł tu z TVP Info swój autorski poranek „#Jedziemy”. Oraz Jana Pietrzaka, który 1 stycznia wyjaśnił na antenie, co należy zrobić z nielegalnymi imigrantami, jakich chce nam wciśnąć Unia Europejska.

– Oni liczą, że Polacy są przygotowani, bo mamy baraki – zaczął słynny kabareciarz. – Mamy baraki dla imigrantów w Auschwitz, Majdanku, Treblince, Stutthofie. Mamy dużo baraków zbudowanych przez Niemców. I tam będziemy [lokować] tych imigrantów wypychanych nam nielegalnie przez Niemców...

Dwa dni później inny publicysta Republiki – były sekretarz KC PZPR i wieloletni naczelny „Wprost” Marek Król – zaproponował na antenie, by imigrantów „czpować jak pieski, chociaż taniej jest oczywiście wytawać numery na lewej ręce”.

Choć stacja odcięła się od tego, co powiedział Król (Pietrzaka wytłumaczono, że „tylko żartowałam”), mBank, Media Expert, portal Pyszne.pl i kilka innych firm wycofały reklamy „w sprzecznie wobec mowy nienawiści”. Bojkot zainicjował polski oddział Ikea.

Nie wywarło to w redakcji wielkiego wrażenia – mówi źródło.

Po pierwsze, nadal ogłaszają się u Sakiewicza dziesiątki reklamodawców i wbrew pozorom – poza Totalizatorem Sportowym – nie ma wśród nich wielu rządzonych jeszcze przez nominatów PiS spółek skarbu państwa. Są reklamy Nissana i koncernu Nestlé, sieci bukmacherskiej STS i wytwórców medykamentów. W związku ze skokowym wzrostem oglądalności dział sprządaży podniósł im stawki nawet dwudziestokrotnie. Jeszcze w grudniu cena 30-sekundowego spotu – bez względu na czas emisji – wynosiła w Republice 550 złotych netto. W styczniu za pół minuty przed programem „Dzisiaj” reklamodawcy płacą od 10 do 12 tysięcy, a będzie jeszcze drożej.

Po drugie, „republikanie” przeżyli nie takie trudności jak odpływ części ogłoszeniodawców. Choć Sakiewicz prywatnie jest majątny (mając w Warszawie duże mieszkanie, kupił jeszcze część zabytkowej willi w Krakowie za ponad milion złotych), stacja wielokrotnie balansowała na granicy upadku. W grudniu 2018 dziennikarze zagrozili przesowi naczelnemu strajkiem, by dostać zaległe od kilku miesięcy wypłaty.

– Nie mam nawet na bilet, aby pojechać w Wigilię do rodzinnego domu – żaliła się wówczas „Wyborczej” jedna z dziennikarek: – Znowu będę prosić kogoś ze szczęśliwców, którzy dostali przelew, by mi pożyczył sto złotych.

Ostatecznie strajku nie było. Pracownicy wysłali jedynie do Sakiewicza i ówczesnego kierownictwa stacji (znany katolicki publicysta Tomasz Terlikowski, jedna z najbardziej znanych prawicowych dziennikarek, współautorka serii książek z cyklu „Resortowe dzieci” Dorota Kania, dziennikarka i menedżerka prawicowych mediów Katarzyna Gójska-Hejke) dramatyczny list z kopiami dla premiera, prezydenta oraz marszałków Sejmu i Senatu:

„W ten wyjątkowy czas, gdy zasiadają państwo przy wigilijnym stole (...) prosimy na chwilę wspomnieć o pracownikach telewizji Republika, którzy od kilku miesięcy nie dostali wynagrodzenia.

Dla nas nie będzie to czas wesoły. Z podobnymi sytuacjami mamy do czynienia co miesiąc, ale w okresie świątecznym są szczególnie przykre. (...) Mieliliśmy nadzieję, że chociaż z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości telewizja, która w ogromnym stopniu przyczyniła się do zwycięstwa wyborczego Prawa i Sprawiedliwości, doceni zaangażowanie szeregowych pracowników i wypłaci pensje”.

Wypłaty w końcu wpłynęły na konta, ale po kilku miesiącach znów były zaległości. Wtedy oglądalność szorowała po dnie: 0,03 procent rynku telewizyjnego w listopadzie 2018 oznaczało 10 tysięcy widzów – mniej, niż notowała Rydykowska Telewizja Trwam. Wyborcy prawicy mieli wszak TVP z Holecką, Rachoniem, Michałem Adamczykiem, Adrianem Klarenbachem i innymi pistoletami PiS.

Teraz, gdy TVP się zmienia, antena Sakiewicza osiąga dwuipółprocentowy udział w rynku widzów od lat czterech wzwyż i wyprzedza m.in. Polsat News (dwa procent) czy wznowione Info (pół procenta). W ostatnich tygodniach program – dotychczas głównie polityczny, oparty na gadających głowach – został wzbogacony m.in. o blok sportowy, raport ekonomiczny, serwis po angielsku i audycję o muzyce rockowej. Autorem tej ostatniej jest Rachoiń, który 4 stycznia poinformował na dawnym Twitterze, że poprzedniego dnia nadawał o 19 główny program „Dzisiaj” wygrał z serwi-

sem informacyjnym TVN 24 o 19.15, i to w stosunku 550 do 350 tysięcy oglądających. Oczywiście widzowie stacji z Wiertniczej w większości wybierali w tym czasie „Fakty” w „zwykłym” TVN, lecz to nie przeszkodziło Rachoniowi tweetować: „RepublikaTV najchętniej oglądaną telewizyjną stacją informacyjną w Polsce!”.

Oglądamy „Dzisiaj” 4 stycznia o 19. Prowadzi Holecka. Zaczyna słowami: „zapraszam na prawdziwe polskie wiadomości”. Pierwsza informacja: Sąd Najwyższy uznał, że skazany na więzienie były wiceminister spraw wewnętrznych Maciej Wąsik nadal jest posłem PiS i „chroni go immunitet”. W obronie Wąsika i jego szefa Mariusza Kamińskiego „stał” lider Zjednoczonej Prawicy prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński, który wskazuje, że sądownictwo w Polsce nie przeszło procesu dekomunizacji, a obydwa panowie zostali skazani w sposób skandalicznie bezprawny za to, że walczyli z korupcją. Obecna władza nie chce z nią walczyć, ponieważ sama jest elementem systemu postkomunistycznego”.

Informacja druga: prokuratura w Szczecinie złożyła akt oskarżenia wobec 30 podejrzanych o korupcję w tamtejszym szpitalu. Mieli żądać od pacjentów łapówek, ponad 200 osób wpłaciło im przeszło dwa miliony złotych. „Pomysłodawcą procederu miał być według prokuratury Tomasz Grodzki, obecnie senator, któremu prokuratura nie stawia jednak zarzutów, ponieważ chroni go immunitet. (...) Wpisuje się to w tak zwaną doktrynę [byłego posła PO Sławomira] Neumanna: dopóki będziesz w Platformie, będziemy cię bronić jak niepodległości (...). Oprócz Tomasza Grodzkiego bohaterami afer korupcyjnych byli także inni członkowie Platformy jak Sławomir Nowak, czy Stanisław Gawłowski. Nie dziwi zatem fakt, że nowa koalicja chce likwidacji Centralnego Biura Antykorupcyjnego”.

Informacja trzecia: sprzeczne zapowiedzi Donalda Tuska w sprawie paktu o przymusowej relokacji nielegalnych migrantów. Mateusz Morawiecki

przed kamerą wieszczy, że nowy rząd zaleje nas „nachodźcami”, którzy zafundują Polsce „nieznane dotychczas zagrożenia”.

Informacja czwarta: redakcja Republiki wzywa, aby nie kupować w Ikei, firmie „założonej przez aktywnego szwedzkiego nazistę”. Tym bardziej że prezesem sieci sklepów w Polsce jest „obywatelka Rosji, która nigdy nie potępiła agresji na Ukrainę”.

– Podjąłem decyzje, że we wszystkich kierowanych przeze mnie spółkach nie będziemy kupować niczego, co pochodzi z Ikei – mówi z anteny Sakiewicz, który poza prezesowaniem Telewizji Republika SA jest m.in. naczelnym tygodnika „Gazeta Polska”, dziennika „Gazeta Polska Codziennie”, miesięcznika „Niezależna Gazeta Polska – Nowe Państwo” i szefem spółki wydającej serwis Niezależna.pl. Wszystkie te media tworzą – jak to określają Sakiewicz i jego ludzie – „strefę wolnego słowa”.

Wśród współtwórców „strefy” i założycieli TV Republika oprócz Ziemkiewicza, Terlikowskiego i Kani wypada wymienić jeszcze Ewę Stankiewicz – reżyserkę filmów o tragedii smoleńskiej, aktualnie wykładowczynią w szkole Rydyzka; konserwatywnego dziennikarza śledczego Cezarego Gmyza (tego od „trotylu na wraku tupolewa”); wreszcie Pawła Lisickiego, jednego z czołowych publicystów tożsamościowej prawicy, dziś

naczelnego „Do Rzeczy”. Organizacyjnie przedsięwzięcie spinał od 2012 r. dokumentalista i producent filmowy Piotr Barelkowski, który w roli prezesa deklarował, że marzy, aby stworzyć coś takiego jak Fox News w USA.

Wiceprezesem od reklam i pozyskiwania abonentów był z początku Sakiewicz. Pierwszym naczelnym – Bronisław Wildstein. Były prezes TVP (2006-07), a później wolny elektron i celebryta prawnicy wziął sobie za cel stworzenie redakcji „ponadśrodoniskowej”, gdzie miałyby się zmieścić różne prawicowe nurty. Razem z Barelkowskim zatrudnili dziennikarzy z pism „Frona”, „Do Rzeczy” i wszystkich mutacji „Polskiej”. Ominęli jedynie środowisko skonfliktowanych z Sakiewiczem Jacka i Michała Karnowskich, którzy właśnie zakładali swój tygodnik „W Sieci” (potem już bez „W”), by później wystartować z własną anteną TV.

Jako stali komentatorzy-publicyści do Republiki zaproszeni zostali m.in.: Joanna Lichocka (ta od wyciągniętego w Sejmie środkowego palca); Anita Gargas (autorka „smoleńskich” filmów z cyklu „Anatomia upadku”); dalej dziennikarz satyryk Marcin Jerzy Wolski; krytyk literacki oraz autor książki „Wygazanie Polski” Krzysztof Masłoń; komentator serwisu Niezależna.pl Piotr Lisiewicz; do tego Gójska-Hejke, późniejsza żona Rachonia (która została, wraz z Antonim Macierewiczem, matką chrzestną jednego z dzieci Tomasza Sakiewicza).

Wildstein jeszcze przed pierwszym programem pojechał do Torunia, gdzie przez pół dnia przekonywał o. Rydyzka, że TV Republika nie zaszkodzi Telewizji Trwam. Ostatecznie zakonnik dał zgodę na emisję pod jednym warunkiem: nowa antena będzie nadawać główne wiadomości o innych godzinach niż toruńska stacja.

18 lutego 2013 skromne studio debiutującej telewizji poświęcił przy ulicy Farbiarskiej 73 – na wygwizdowie za południową obwodnicą Warszawy – inny redemptorysta, ks. Krzysztof Stępowski, duszpasterz katolików rytu trydenckiego. Dwa miesiące później, 10 kwietnia, Republika zaczęła nadawanie z platformy Cyfrowy Polsat i za pośrednictwem kilkunastu pierwszych kablówek, głównie osiedlowych, które naraił Sakiewicz. Na dzień dobry popłynęła bezpośrednia relacja z miesięcznicy smoleńskiej na Krakowskim Przedmieściu. Ponieważ nie było jeszcze wozu transmisyjnego, kamera kręciła wydarzenie z okna kawiarni Telimena.

Newsroom dzielił się na „rodzinę” i na „wyrobników”. Rodzina to Sakiewicz, Kania, Rachoiń, Gójska-Hejke. Podjeżdżają nowymi SUV-ami, wypłaty dostają duże i na czas. „Wyrobnikom” płaci się 3500 zł na rękę – albo i nie płaci

Pierwszy roczny budżet telewizji przedstawianej reklamodawcom jako „alternatywna stacja o profilu informacyjno-publicystycznym” wyniósł pięć milionów. Zatrudnienie: 50 osób. Na wizji Republika nadawała wówczas jedynie kilka godzin dziennie – Gmyz gotował potrawy, rozmawiając z gośćmi o polityce; Terlikowski wystartował z audycją „Kościół, w którym żyjemy”; Ziemkiewicz prowadził „Salonik polityczny”; kontrowersyjny również na prawicy historyk Piotr Zychowicz (autor książek „Obłęd ‘44’”, „Pakt Ribbentrop-Beck”) opowiadał o dziejach Polski i nie tylko, a przyszły prezes TVP Mateusz Matyszkowicz – o literaturze. Kącik młodzieżowy „Kontrewolucja” prowadził 25-letni wówczas Samuel Rodrigo Pereira, który teraz – w styczniu 2024 – okupuje siedzibę TVP Info na placu Powstańców, czekając, aż go nowa władza wyprowadzi siłą, co oczywiście chętnie sfilmują kamery Republiki.

Co ciekawe: 11 lat temu, w tydzień po inauguracji stacji, serwis Wirtualne Media zapytał znawców rynku o szanse nowego projektu. Bogusław Chrabota, naczelny „Rzeczpospolitej”, nie wróżył najlepiej, ponieważ „nie ma realnych perspektyw rynkowych dla telewizji tematycznych pozostających poza szerszymi grupami medialnymi”.

Plajty spodziewał się też prof. Wiesław Godzic, medioznawca z Uniwersytetu SWPS: – Zadają sobie

pytanie: kto ma być modelowym widzem Republiki? Jeśli wyłącznie lud smoleński... nie wróżę nic dobrego. Najwięksi zapalenicy potrafią się znużyć oglądaniem tych samych twarzy mówiących o tym samym. Republika jest telewizją zamkniętą, samoizolująca się. Buńczuczne deklaracje o tym, że „włączą prawdę do polskiego systemu medialnego”, są policzkiem dla wszystkich dziennikarzy z pozostałych stacji. Zła to maniera: zaczynać swoją obecność od obrażania innych uczestników rynku medialnego.

Jedynym, który wywróżył Republice, że przetrwa na rynku, okazał się Eryk Mistewicz, założyciel i prezes think tanku Instytut Nowych Mediów, były dziennikarz „Życia” z kropką, opiniotwórczego konserwatywnego dziennika ukazującego się w latach 90.: – Tak, jak na rynku tygodników opinii było miejsce dla czytelników świadomie opuszczonych przez media głównego nurtu – o czym świadczą dobre wyniki „Sieci” i „Do Rzeczy” – tak jest też miejsce dla sukcesu projektu telewizyjnego – twardego, autorskiego, ideowego, tożsamościowego. Republika może liczyć na 25 do 30 procent populacji.

Na początku jednak szło słabo. Po pierwszym półroczu biznes zakończył się stratą. Sakiewicz z Barełkowskim musieli poprosić widzów o pieniądze. Jesienią 2013 wyemitowali wartość nominalnie osiem milionów akcji wydawcy Republiki, spółki Telewizja Niezależna SA. Udało się sprzedać połowę papierów. Kto je kupił?

Barełkowski mówił wówczas na naszych łamach: – Kupili zwykli Polacy obrażeni na dotychczasowy rynek mediów. Tacy, którzy „Wyborczą” biorą w rękę tylko przez azbestowe rękawice. Kupowali z potrzeby serca...

mieścia, do gmachu na Muranowie – między Dzielnią i Pawią, w październiku wydłużono czas nadawania do 16 godzin. Nastąpiła też zmiana w fotelu naczelnego. Wildsteina, który popadł w konflikt z Siwczykiem i odszedł do Karnowskich, zastąpił Terlikowski.

Niespodziewane kłopoty przyszły wraz z władzą PiS. Nowo powołanemu prezesowi TVP Jackowi Kurskiemu nie spodobało się, że Republika „zajęła” najbardziej rozpoznawalne twarze po prawej stronie sceny. Ani to, że liderzy „dobrej zmiany” – jak Macierewicz, Zbigniew Ziobro, Mariusz Błaszczak – częściej goszczą przy Dzielnej niż na Woronicza. Zaczęło się podkupywanie. Rachoń, który prowadził w Republice aż trzy programy, dostał propozycję objęcia fotela wicedyrektora Telewizyjnej Agencji Informacyjnej ds. publicystyki – i ją przyjął.

Jeszcze gorzej, że TVP pod Kurskim zaczęła mówić to samo, co wcześniej Republika. Widzowie odpłynęli. Z 200 tysięcy, które oglądały inauguracyjny program z kawiarni Telimena, zostało 50 tysięcy, potem jeszcze mniej. Prawicowi eksperci od komentowania też przestali przyjeżdżać tak chętnie, jak do tej pory. Woleli kilkadziesiąt razy większą oglądalność, jaką zapewniały wizyty na placu Powstańców i na Woronicza. Republikę ogarnęła smuta.

Niższe zasięgi to mniej pieniędzy z reklam, co oznaczało poślizgi w wypłacie pensji. W trzecim roku rządów Zjednoczonej Prawicy dwie dziennikarskie stacje zdradziły „Wyborczą”, że newsroom dzieli się na „rodzine” i na „wyrobników”. Rodzina to Sakiewicz, Kania, Rachoń, Gójska-Hejke. Podjeżdżają na we-

który zaliczył Radio Solidarność, TV Puls, Polskie Radio Bis i kilka innych stacji. W latach 2017-18 był nawet prezesem Polskiego Radia. A pod koniec grudnia groził z anteny Sakiewiczowi „niszczycielowi patriotycznych mediów”: – Wiesz co, Tusku? Ty się zacznij oglądać za siebie, bo sprawiedliwość, moim zdaniem, już po ciebie idzie.

Teraz Sobala czyta wiadomość numer jeden: w Polsce mamy do czynienia z rokoszem sędziów, którzy kiedyś wspierali opozycję totalną, a teraz nie przyjmują do wiadomości, że prezydent skutecznie uniewinnił Wąsika i Kamińskiego, do czego prawo daje mu konstytucja. A Szymon Hołownia, który nad nią płakał – obecnie ją łamie. Omija ustawy i regulamin Sejmu. Metody nowej władzy przypominają praktyki rosyjskie. – Przy takich szczytach hipokryzji, jakie prezentuje koalicja 13 grudnia, Himalaje to tylko górki – mówi widzom Sobala. – Powinno się to wszystko spotkać z naszą czynną i bierną obrońnią konieczną.

Wiadomość numer dwa: wielka mobilizacja przed wiecem w obronie pisowskich mediów publicznych zaplanowanym na 11 stycznia. Sobala: – Spotykamy się pod Sejmem w czwartek o 16. Ktoś musi patrzeć na ręce nowej władzy, bo media liberalno-lewicowe tego przecież nie zrobią. Polska jest nadal naszą ojczyzną, choć teraz nią rządzą łajdacy i postkomuniści. Nie możemy się zgodzić na takie bandyckie rządy.

Wiadomość trzecia: Telewizja Republika mówi prawdę, więc jest dla władzy niewygodna. Wśród kłamliwych ataków najbardziej boli zarzut antysemityzmu [który się pojawił po wystęпах Króla i Pietrzaka]. Na ekranie Sakiewicz: – Nasze wyznanie

złotych. Podobnych bloków jest przeszło tuzin dziennie.

A było już naprawdę tragicznie. W 2018 roku, wśród problemów z pensjami, Terlikowskiego – który pokłócił się z PiS o ustawę aborcyjną, uważając, że Sejm nie powinien odrzucać najbardziej restrykcyjnego projektu Ordo Iuris – zastąpiła opromieniona sukcesem cyklu książkowego „Resortowe dzieci” Dorota Kania. Ale i jej nie udało się dźwignąć wyników. Odeszła, aby kierować wykupionymi przez Orlen gazetami regionalnymi należącymi wcześniej do grupy Polska Press. Naczelnym został prezes Sakiewicz, któremu przyszło zmierzyć się z paradoksem: pomogliśmy PiS przejąć władzę i media publiczne, w konsekwencji sami zostaliśmy na lodzie.

Nowy-stary naczelnym w desperacji wprowadził na antenę telezakupy – oczyszczające plastry, magnetyczne materace itd. To też nie pomogło. Straty szły już w miliony. Pomóc musiał rząd. Powołana wcześniej przez Sakiewicza fundacja Niezależne Media dostała od Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej sześć milionów złotych. Potem premier Morawiecki dorzucił drugie tyle z ogólnej rezerwy budżetowej, z której finansował również Park Pamięci (o Polakach ratujących Żydów) należący do redemptorysty z Torunia. Sakiewicz zdobywał także kasę od TVP i innych spółek skarbowych. Telewizja kupiła od Republiki prawa do emisji dwóch cyklicznych programów (o NATO i Bliskim Wschodzie), płacąc ponad milion, jakby nie miała własnych dziennikarzy od spraw międzynarodowych. Kampanie reklamowe wykupiły m.in. PGNiG, Totalizator Sportowy, Bank Gospodarstwa Krajowego, Energa.

ciąć załodze pensje – niektórym o 30 procent. Wcześniej ponad 20 osób z ponad 200-osobowej redakcji dostało wypowiedzenia.

Na początku grudnia, zanim rząd Tuska przejął Woronicza i wyłączył Info, nastroje były beznadziejne – mówi nasze źródło. – Już przed wyborami Sakiewicz mówił, że jeśli przegramy, możemy nie przeżyć. Dziennikarze ślali sobie na komórki zdjęcia świętych obrazków. Większość z nas to wychowankowie szkoły ojca Rydzyka. Rozumujemy tak, jak nas zaprogramowano. Tusk to Niemiec i zbrodniarz, Kaczyński mąż stanu, w Smoleńsku był zamach, Unia Europejska stanowi zagrożenie. Wynik wyborów był szokiem. Dyskutowaliśmy, jak to odkręcić, jak nie oddać władzy w ręce renegatów. Sakiewicz nie trzymał fasonu, chodził po redakcji i mówił, że go zaraz zamkną, że stację czeka marny los.

Nikt jeszcze nie wpadł na to, że Platforma skasuje naszą konkurencję. A tu taki prezent prosto pod choinkę! Sakiewicz, kiedy zrozumiał, powiedział, że Tusko wi musi wysłać skrzynkę szampana. Że nikt tak nie pomógł Republice jak on. Biega po redakcji i opowiada, że dostajemy setki tysięcy wpłat. Przed końcem roku zapowiedział milion na nowy sprzęt. Jednocześnie osobiście dzwonił i ściągał ludzi na demonstracje przy Woronicza i na placu Powstańców. Wysyłał tam dziennikarzy, by robili relacje na żywo, krzyczał o „nowym stanie wojennym” i o „końcu Polski”. W rzeczywistości przebiega nogami, by przejąć po TVP, co się da.

Już ma Rachonia z Holecą, która na antenie prosi o dalsze wpłaty na konto Republiki, w dniu aresztowania Kamińskiego i Wąsika dołączyła do nich kolejna „gwiazda” TV-PiS – Miłosz Kleczek. W dziennikarskim światku mówi się też o transferze trzech innych „gwiazd”: do Sakiewicza mają się przenieść Konrad Wąż i być może Magdalena Ogórek.

Już po wyłączeniu Info do studia Republiki przyszedł polityk PiS.

– Nasi go otoczyli w przejściu, zadawali nieprzyjemne pytania – mówi źródło. – Dlaczego przegraliście? Czemu daliście się tak rozegrać? Jaki jest wasz plan B? A on odpowiedział zgryźliwie, że my jesteśmy tym planem. I narzekał, że choć państwowe spółki włożyły w Republikę bimbaliony, dalej robimy telewizję w sposób chałupniczy.

Co jest prawdą. Rachoń nadający z Muranowa swe nowe „Jedziemy” musi czasami machać na wizji do wydawcy, by ten puścił odpowiedni materiał. Inny reporter miał nadać spod gmachu TVP wywiad z młodymi ludźmi broniącymi stacji. Nie rozpoznał zawczasu rozmówców, a ci powiedzieli na żywo, że Telewizja Polska brutalnie atakowała Tuska, no i teraz ma... Jeszcze inny dziennikarz musiał zasłaniać flagą dwie całujące się dziewczyny, które co prawda przyszły na Woronicza, lecz chyba nie po to samo, co TV Republika.

– Wpadki się zdarzają, mimo że Gójska-Hejke, prawa ręka szefa, pilnuje prawomyślności – mówi dalekie źródło. – Informacje mają być przedstawione zgodnie

Sakiewicz chwali się, że wykupuje właśnie miejsca na nowych multipleksach, że Republika będzie odbierana w stu procentach kraju – mówi nasze źródło. – Liczy na wielkie pieniądze i przyływ kolejnych gwiazd

Wśród „zwykłych Polaków” znalazło się kilkoro niezwykłych. Udziały w Republice nabył m.in. biznesmen Dariusz Szymański – zapalony myśliwy, który zarobił miliony na deweloperzy, funduszach emerytalnych i odzysku surowców. Duży pakiet nabyli małżonkowie Urszula i Piotr Hofmanowie, szanowani kolekcjonerzy malarstwa i deweloperzy. Kolejnym poważnym inwestorem został Lucjan Siwczyk – potentat w oświeceniu masowych imprez koncertowych i hal telewizyjno-filmowych oraz wspólnik radia Wnet, który równolegle wyłożył pieniądze na dokończenie filmu Antoniego Krauzego „Smoleńsk”.

Dzięki sprzedaży „cegiełek” kolejne półtora roku było dla Republiki niezłe – w styczniu 2014 redakcja przeniosła się blisko Śród-

wnętrzny parking nowymi SUV-ami, wypłaty dostają duże i na czas. „Wyrobnikom” płaci się natomiast 3500 złotych na rękę – albo i nie płaci.

– Pytasz szefa newsroomu, kiedy dostaniesz pensję i słyszysz, że są ważniejsze wydatki i że droga wolna, jak się nie podoba – opowiadała jedna z rozzalonych.

Szefostwo znowu musiało wyemitować „cegiełki”. Tym razem jednak poszło gorzej. Choć pakiet kilkudziesięciu akcji kupił Jarosław Kaczyński, ostatecznie sprzedana pula wyniosła milion z ogonkiem. Tymczasem oglądalność nie przestała spadać.

Oglądamy „Dzisiaj” w święto Trzech Króli. Prowadzi Jacek Sobala, lat 63, kolejny prawicowy weteran,

patriotyzmu odwołuje się do idei wielonarodowej i wielowyznaniowej I Rzeczypospolitej.

Ostatnia informacja: „coś à propos ocieplenia klimatu”. Termometry w Norwegii pokazały minionej nocy minus 31 stopni, co jest najniższą temperaturą w historii pomiarów w tym kraju.

Przed prognozą pogody długiego blok ogłoszeń. Domy mediowe uznały chyba, że widzowie Republiki biorą dużo leków, bo po reklamach Lotto, kosmetyków Remé i serwisu Otodom lecą kolejno spoty producentów apapau, ibupromu, verdinu complex, medykamentu Acatar i suplementu diety Jasnum. Gdy mnożymy liczbę reklam przez ich aktualną cenę, wychodzi nam, że tylko z tego jednego bloku reklamowego Republika ma ponad sto tysięcy

W 2019 kanał Sakiewicza zwiększył przychody. Ponad połowa wpływów pochodziła już ze sponsoringu. Mimo to na koniec 2021 roku strata stacji sięgała 29 milionów. Następne lata nie były wiele lepsze. Potrzebę prawicowego przekazu nadal zaspokajała – z nadwyżką – Telewizja Polska serwująca – poza autorskimi programami Rachonia i Klarrenbacha oraz osławionymi paskami w serwisach informacyjnych – głośnie materiały związane z głównymi wrogami i fiksacjami prawnicowej wyobraźni: serial dokumentalny „Resortowe dzieci”, potem „Reset” (o prorosyjskiej polityce Tuska) i „Jak oni kłamią” (o TVN). Republika nie miała tego czym przebić.

Przed ubiegłoroczną Wigilią smutny Sakiewicz musiał ob-

Nadal ogłaszają się u Sakiewicza dziesiątki reklamodawców i wbrew pozorom – poza Totalizatorem Sportowym – nie ma wśród nich wielu rządzonych jeszcze przez nominatów PiS spółek skarbu państwa

z twardą linią. Rządzący są „koalicją 13 grudnia”, minister Bartłomiej Sienkiewicz jest „pułkownikiem”, bo kiedyś służył w UOP, a zmiany w mediach to „atak na wolność słowa”.

– Jak się układają stosunki z no-wymi?

– Rachoń już u nas był. Jest nadal bardzo sympatycznym, uprzejmym człowiekiem, nikomu dotąd na odcisk nie nadepnął. Myślimy sobie, że jeśli przytuliło się tyle pie-niędzy, to można nawet w trudnej sytuacji być wyluzowanym. Ho-lecka też pierw była bardzo miła. Potem, jako prowadząca „Dzi-siaj”, zepchnęła ze sceny starego prezentera Republiki, który wcześniej uchodził za gwiazdę. Z cza-sem zaczęła jeszcze stroić fochy. Bo w TVP obsługiwał ją cały sztab ludzi, a u nas programy robi się w kilka osób. Nie ma obsługi dla gwiazd: wizażystki, fryzjera, oso-by do podawania kawy. Dla niej to musi być partyzantka.

Co czeka Republikę w najbliż-szej przyszłości? – pytamy na początku Tomasza Terli-kowskiego.

– Złagodzenie języka. Stacja stanie się zaraz głównym głosem obecnej opozycji. Jak ktoś będzie się chciał dowiedzieć, co myślą po-litycy PiS, włączy Republikę. I każ-de niedopuszczalne sformułowa-nie będzie wychwycone. Będzie skutkować nie tylko awanturą po-lityczną, ale też wycofywaniem się reklamodawców, którzy nie ze-chcą być kojarzeni z tak radykał-nym przekazem.

– To się właśnie stało w przy-padku Pietrzaka i Króla.

– Szczując na uchodźców, moż-na się utrzymywać na rynku, je-śli jest się małym, ostrym, jedno-znacznym portalem. A nie, jak chce się zostać dużą telewizją. Po-mijam już fakt, że wypowiedzi tych dwóch panów są nie do pogo-dzenia z postawą chrześcijańską. Osobiście nie życzę Republice zła. Im większa różnorodność na ryn-ku medialnym, tym lepiej dla od-biorców i dla dziennikarzy. Oba-wiam się jednak komendy: „Ca-ła naprzód! Jeszcze więcej tego sa-mego!”. Czyli jeszcze więcej Pie-trzaka i Króla. Jeśli chcą podbić ry-nek, to nie taką metodą.

Bogusławowi Chrabocie, na-czelnemu „Rzeczpospolitej”, przy-

pominamy wypowiedź sprzed 11 lat. Nie bardzo zmieniał zdanie:

– Republika najpierw była ka-blówką utrzymywaną ze składek, a potem PiS zaczął pompować w nią pieniądze, co wkrótce ogłosi – i to razem z liczbami – NIK. Dziś Republikę niesie przejęcie roli In-fo, lecz temu nie sprostają. Rośnie im liczba reklam, ale to wciąż nie pieniądze, by konkurować ze sta-cjami, które są w pierwszej lidze. Nie twierdzą, że Republika w naj-bliższym czasie zniknie, lecz mo-im zdaniem wkrótce czeka ich sta-ra bieda.

Przeciwnego zdania jest Jacek Żakowski, również weteran me-diów, choć raczej tych liberalno-le-wicowych („Polityka”, „Wyborcza”, Radio Zet, Tok FM, Superstacja):

– Spora grupa popierających PiS widzów szuka sobie teraz ja-kiejś anteny i na razie wygląda na to, że gremialnie wybierają Repu-blikę. Co oznacza, że może się ona stać czołową stacją prawicy, takim polskim Fox News. Inne chyba nie mają takich szans. Wersja opty-mistyczna dla Republiki wygląda tak: media publiczne stają się cen-trowe, powstaje miejsce na telewi-zję radykalnie propisowską i sta-cja pana Sakiewicza to miejsce wy-pelnia, zostaje potęgą. Oczywiście na polską skalę. Wersja pesymi-styczna: mimo ogromnego poten-cjału społecznego, który teraz ma-ją, potykają się o problemy z zarzą-dzaniem, jakie – wedle mej wiedzy – towarzyszą im od początku. Je-żeli kierownictwo Republiki pozo-stanie równie niezborne, jak teraz, jeżeli się profesjonalnie nie ogar-ną, mogą zmarnować okazję, któ-rą przyniósł los. ●

Brunatnienie

Nie dajmy sobie wmówić, że Pietrzak był pierwszy.

Michał Rusinek



W ciągu ostatnich kilku dni na antenie TV Republika pojawiły się co najmniej trzy bardzo podobne wypowiedzi, którym warto się przyjrzeć. Zaczęło się od Jana Pietrzaka, który powiedział: „Mam okrutny żart. Oni liczą na to, że Polacy są przygo-towani, bo mamy baraki dla imigrantów, w Auschwitz, Majdanku, Treblince, Stut-thofie. Mamy dużo baraków zbudowanych tu przez Niemców i tam będziemy zatrzy-mywać tych imigrantów, wypchanych nam nielegalnie przez Niemców”. Wkrótce można było usłyszeć wypowiedź prawi-cowego publicysty Marka Króla, byłego redaktora naczelnego tygodnika „Wprost”, który na pytanie o to, co zrobić z imigranta-mi przybywającymi do Europy, powiedział: „Jest prosty sposób. Należy im założyć czipy, jak się pieskiem zakłada, a taniej jest oczywiście numery na lewej ręce wyta-tuować i wtedy łatwo się ich znajdzie”. Podobnym językiem posłużył się wybrany z list PiS Marek Jakubiak: „Przyjmijemy kilkaset tysięcy, ale to będzie zawsze ma-ło. W ten sposób Niemcy załatwili sobie filtry, które wyciągną z ich państwa niepo-trzebnych migrantów, a tych potrzebnych do przemysłu, a to – przypomnę – kilka procent migrantów, którzy chcą praco-wać, zostawią u siebie. Czyli Polska będzie śmietnikiem, tak jak przewozili do nas tiry niepotrzebnych odpadów”. Tłumacząc się potem z własnych słów, Jakubiak nawiązał spektakularną klamrą do wypowiedzi, od której wszystko się zaczęło: „Prawda jest taka, że problem istnieje. To, że Jan Pie-trzak go w sposób taki sobie artystyczny, dosadny określił, to nie jest żadne przestęp-stwo, bo on w sumie ma pytanie, na które trzeba odpowiedzieć”.

Pietrzak zapraszający imigrantów do obo-zów koncentracyjnych, Król doprecyzowu-jący, że należałoby ich tatuować, jak nazi-ści więźniów w Auschwitz, i wreszcie Ja-kubiak porównujący ludzi do śmieci – po-służyli się retoryką jawnie neofaszystow-ską. Owszem, ryzykowną, ale wygląda na to, że PiS-owi dzisiaj potrzebną. Prowa-dzący rozmowę z Jakubiakiem Michał Ra-choń strofował go, ale bardzo czule i deli-katnie, jak troskliwy ojciec, który nie chce unieważniać emocji rozwydrzonego ba-chora, bo mu na nim zależy, mówiąc: „Zo-stawmy te brzydkie porównania”. Sam Ja-kubiak, tłumacząc Pietrzaka, mówił o „spo-sobie artystycznym”. Obaj więc próbowa-li złagodzić faszystowskie poglądy, przeno-sząc je na tory estetyki. Artyście przecież więcej wolno, bo zawsze może się zasłonić *licentia poetica*. TV Republika to – wbrew

pozorem – nie kabaretowa scena, lecz wy-powiedź Pietrzaka nie była scenicznym monologiem. A nawet gdy była, to są jed-nak słowa i poglądy, których nie da się ani wytłumaczyć standuperską tendencją do łamania tabu, ani schować za artystyczną maską „okrutnego żartu”.

Nie dajmy sobie wmówić, że Pietrzak był pierwszy. Wszystko zaczęło się wcześniej: od skandalicznego zachowania Grzegorza Brauna w Sejmie, gdy rzuciwszy się z ga-śnicą na świece chanukowe, został bohate-rem licznych memów, oraz – zwolenników skrajnej prawicy. Zachowanie posła Kon-federacji nie odstawało od wyznawanych przez niego od dawna poglądów, ale po-stawiło władze tej partii w trudnej sytuacji: Braun został zawieszony, ale nie wykluczo-ny z partii. Krzysztof Bosak odciął się od je-go zachowania, ale przyznał, że jest prze-ciwny organizowaniu w Sejmie uroczy-stości chanukowych: „Nie bardzo rozu-miemy, po co ktoś to robi, i to z taką pom-pą, natomiast ten sposób wyrażania swojej opinii jest nam obcy. Chcemy raczej dzia-łać w sposób zgodny z prawem i regułami współżycia społecznego, czyli przekony-wać do swoich poglądów, a nie komukol-wiek coś utrudniać fizycznie”.

Można odnieść wrażenie, że Konfede-racja, odcinając się od Brauna i próbu-jąc zachować się dyplomatycznie, poka-zała coś, co w oczach swoich radykalnych zwolenników mogło zostać uznane za sła-bość, a może i zdradę ideałów. Pietrzak, Król i Jakubiak są raczej związani z PiS-em niż Konfederacją, stąd ich słowa mo-gą zdumiewać. Mogą też być uznane za próbę przeciągnięcia do PiS-u tych wybor-ców, którzy poczuli się przez Konfедера-cję zdradzeni. Przypomina to taplanie się w brunatnym, z definicji, błocie, ale tapla-nie się nieprzypadkowe, nierozpaczliwe i niechaotyczne, lecz starannie zaplano-wane. Zauważmy, że wszyscy trzej pano-wie wpisali się w antyimigrancką narrację PiS-u. Na przykład 3 stycznia na konferen-cji prasowej Prawa i Sprawiedliwości Ma-riusz Błaszczak wieszczył, że niedługo na ulicach polskich miast będzie dochodziło do podobnych ekscesów jak w sylwestrową noc w miastach zachodnioeuropejskich, kiedy to „młodzi mężczyźni, ewidentnie imigranci”, niszczyli samochody. To praw-da, nie posługiwał się neonazistowską reto-ryką i nie proponował tatuowania czy za-mykania w barakach, i nie dehumanizował imigrantów, porównując ich do psów czy śmieci, ale jego przekaz był w gruncie rzeczy taki sam.

Nie ma racji Stanisław Skarżyński piszący w „Wyborczej”, że Pietrzak i Król „przetra-cili kręgosłup propagandzie PiS”: „To jest osiągnięcie – raz zakręcić ozorem i zruj-nować tę samą propagandę, dla której się pracuje, jednocześnie sklejając się z hitle-rowcami”. Ani nie przetrącili, ani nie zruj-nowali: oni dla tej propagandy dalej pracu-ją, bo przecież przez lata byli beneficenta-mi PiS-u. Tylko ta propaganda zyskała te-raz – nieprzypadkowo – dodatkowe, bru-natne oblicze. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Mikołaj Chrzan, Bartosz T. Wieliński; WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastęp-ca), Ewa Wiczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFIKY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Sylwia Tukendorf

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA



Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych

POLSKA NIE JEST NOWOCZESNYM KRAJEM



Niemala część Polaków upodobała sobie system redystrybucyjny, który kosą wyrównawczą przycinał ludzi nietuzinkowych, pomysłowych, kreatywnych

Jarosław Bratkiewicz*

Osię wydarzyło w wyniku wyborów 15 października? Wielu wyborców nastawionych negatywnie do rządzącego dotąd PiS-u orzeknie, że udało się wtedy kartką wyborczą odsunąć od władzy partię pravicową o zacięciu populistycznym i nacjonalistycznym.

Utwierdzi się w przeświadczeniu, że proces demokratyczny w Polsce, osadzony na Konstytucji RP i wsparty członkostwem w instytucjach integracji zachodniej, zwłaszcza w Unii Europejskiej, wykwił w zwycięstwie partii centrowo-lewicowych nad opętaniczo konserwatywną prawicą.

Obawiam się, że taka ocena przypomina cokolwiek złowienie przez ślepcę czarnego kota w kompletnie zaciemnionym pokoju. W którym tego kota w ogóle nie ma.

Tezą o zwycięstwie nad pravicową konserwą dzielą się ludzie, którzy przeszacowali nowoczesność i zachodniość Polski – tylko dlatego, że w wymiarze protokolarnym parady ona na równi ze starymi demokracjami Zachodu, skoro jest państwem członkowskim UE i NATO. Że jednak państwem nowoczesnym nie jest, pokazało ostatnich osiem lat. Polską targają szaleństwa wyrobaczone w naszej tradycji jagiellońskiej i jasnogórskiej, dworskiej i podkurhannej, zaślepiają ją urojenia, że opatrność na nas złożyła rolę ponadprzeciętną, heroiczną i męczeńską.

Jest to choroba dziejowa, trudno uleczalna. Jej patogeniza wywodzi się z kilkuniekowej, od czasów jagiellońskich, in-

toksykacji Polski kulturą eurazjatycką, z Kresów płynącą, którą z kolei modelowały wpływy bizantyńskie i złotoordyńskie. W praktyce społecznej Rzeczypospolitej wyraziło się to w dominacji feudalnego agraryzmu, sarmackiej szlacheckości i w skarleniu życia miejskiego, co nadważyło polską przedsiębiorczość, otwartość na świat, innowacyjność i nowoczesną myśl polityczną.

Z tymi przekleństwami przednowoczesności Polska mierzy się aż po dziś dzień i co raz to potyka o nie. Tak podstawia nogę rygor tradycjonalizmu. Czyli uznania, że „tacy jesteśmy”, tak nas predestynowały dzieje – i „niech się dzieje wola nieba...”.

Myśl tradycjonalna obrazuje Polaków jako straceńczych bohaterów, stawiających się światu całemu (i Bogu, w Wielkiej Improwizacji z części III „Dziadów” Mickiewicza), którzy jednak w obliczu nieuchronnej klęski popadają w melancholię, piją na umór i chlepią się, tną w karty i plugawie intrygują. Tak często portretował Polaków Dosztojewski.

W zestawieniu z nowoczesną aksjologią Zachodu ta dwubiegunowość polska: między bohaterszczyzną a kołtunierią, przedstawia się zupełnie nie po europejsku. Bliżej jej do eposów o „bohaterach” ludów koczowniczych Eurazji, jak Sarmaci czy Hunowie.

W dzisiejszej Polsce nie ma konserwatywnej prawicy, która by odpowiadała kategoriom nowoczesności politycznej Zachodu. Zamiast niej uwijają się tradycjonaści, którzy zlorzeczą modernizatorom, ci bowiem – horrendum! – mydlą i golą rdzenną, swojską Polskę z przednowoczesności, z której dotąd lojotkiem skapywała nasza dętologia narodowa i wiara katolicka. Jest to w istocie ten sam podział, który dzielił Polskę stanisławowską, kiedy pod rządami króla modernizatora – postaci tragicznej – usiłowała się wybić na nowoczesność.

W tradycjonalizmie kamienieją najgłępsze z reguły (i często „heroiczne”) mity i fiksacje zbiorowe. A z takim przesłaniem trudno się polemizuje w duchu krytycznego racjonalizmu – niczym ze stelą, na której mesjasz wygrawerował wieczyste przykazania.

„Tradycjonalizm niemal zawsze przybiera postać ideologiczną i ekstremistyczną” – utrzymywał najwybitniejszy znawca problematyki, socjolog Edward Shils. Pisał: „Domaga się namiętnie pełnego i świadomego kultywowania tradycji w tak wypracowanej formie, która nie jest znana zwykłemu pojmowaniu tradycji. (...) Tradycjonalizm jako opracowany system tradycji przejawia naturalną tendencję do dławienia wolności”.

Tradycjonalizm jako konstrukt ideologiczny dominuje nad gospodarką i polityką, podporządkowując sobie myślenie ludzi o ekonomice i adekwatne do tego działanie, a także formuje obyczaj i poczynania w polityce.

W XX wieku tradycjonalizmem syciły się ideologie totalitarne i autorytarne. Odbudowa Imperium Romanum w doktrynie faszystów włoskich; mit aryjskiej „rasy panów”, zwiastowany podbojami plemion germańskich podczas wielkiej wędrówki ludów; stalinowska idea Związku Sowieckiego nawiązująca do staromoskiewskiego mesjanizmu Trzeciego Rzymu. Tradycjonalistyczna była też II RP, która upajała się swą gruzliczą mocarstwowością.

Tradycjonalizm opętał liczne ludy pozaeuropejskie, które za jego pośrednictwem odreagowywały upokorzenia porażek i kolonializmu. Wykwił to w różnych doktrynach odrodzenia idealizowanej przeszłości i próbach przywrócenia jej wzorów oraz nakazów we współczesności.

Bujnie sypnęły zwłaszcza idee „renesansu islamskiego”, odnowienia glorii i dominacji świata arabskiego z czasów Mahometa i pierwszych kalifów. Współcześnie idee te zaczęły wyodrębnić w postaci „islam politycznego”. Nawołuje on także do działań „heroicznych” i „męczeńskich” – np. aktów samobójczego terrorku – które ponoć przybliżą wspólnotę do „wieku złotego”.

Natomiast w przypadku dzisiejszej Polski heroizm i męczeństwo: a to powstańców styczniowych, a to warszawskich, którymi pisowscy dostojnicy pomadowali sobie usta, kończyły się, kiedy zamykała się wizja i dziennikarz tamtej TVP wyłączał mikrofon. Męczeńska bohaterszczyzna nijak nie wyzierała z konterfektów czołówki PiS-u, ra-

czej dyndała niczym breloki do kluczyków ich limuzyn, którymi gonili za sukcesem polityczno-materialnym.

Innym wydatnym znamieniem tradycjonalizmu stało się kultywowanie, w tym w islamizmie, wspólnotowości, „naszości”, przeciwstawianej „obcej”, degenerującej otwartości socjokulturowej Zachodu. Który permysywizmem swym uwodzi duszyczki przynależące do rodzinnej wspólnoty (umma) i deprawuje je.

Wspólnotowość zasadza się na poczuciu sprawiedliwości, która sprowadza się w gruncie rzeczy do kolektywizmu i urawniłowki. Te zaś przymioty wyrastają z kultywowanej więzi rdzennej, z sekciarstwa rodowodowego i konfesjonalnego (które np. fraternizuje Polaków katolików lub muzułmańską ummę). Jest to wspólnotowość typu pierwotnego, obsesyjnie nieufna wobec odmienności i ksenofobiczna. Socjolog i filozof Ferdinand Tönnies nazwał ją „Gemeinschaft” – czyli organiczne, instynktowne scalenie w zbiorowość na mocy spójni rasowej i językowej oraz terytorialnej, a także na podstawie zbiorowej pamięci (czy raczej mitologii).

Ten typ wspólnotowości wyświeca swymi laudacjami Prawo i Sprawiedliwość. Proszę skądinąd zauważyć, że najbardziej znane partie „islamu politycznego”: rządząca w Turcji Partia Sprawiedliwości i Rozwoju czy Partia Wolności i Sprawiedliwości w Egipcie, wywijają pojęciem „sprawiedliwość”. A jest to jedno z bardziej bałamutnych pojęć politycznych, ubóstwiane zresztą przez demagogów.

Zauważmy też, że świat niezachodni z reguły nie pojmuje, co to jest wolność w rozumieniu nowoczesnym, obywatelskim. Przeciętny bogobojny Arab – jak pisze znakomity znawca problematyki Bernard Lewis – zapytany o to, czy jest wolny, żyjąc w systemach autorytarnych (a takie przeważają w ekumenie arabskiej), w ogóle nie zrozumie tego pytania. Odpowie, że jest wolny, bo nie jest niewolnikiem. Ale indagowany o ucisk rządów autorytarnych, wyjawia, że w otaczającym go życiu pełni się wiele niesprawiedliwości. Choć sam system władzy oraz przywódca kraju są „sprawiedliwi”.

Pojęcie sprawiedliwości często osłania listkiem figowym opresyjność autorytaryzmu. Kiedy rządy PiS-u, nawet jeśli rozkradały Polskę, z kradzieży odpalały bonus zbożnemu „ludowi pisowskiemu”, to sprawiedliwość triumfowała.

Wolność społeczeństw zniewolonych przez reżimy muzułmańskie czy „ludu” kłękającego przed Kaczyńskim i Rydzykiem wyprano z jakiegokolwiek sensowności. Ludzie tacy truchtają za swoimi „patriarchalnymi” przywódcami, żeby ci ich nakarmili, napoili i zaspokoiли ich niskie instynkty – bo daj igrzyskami z udziałem znienawidzonych elit w roli ofiar publicznie pożeranych przez lwę lub gotowanych we wrzątku. Zaprawdę, wtedy sprawiedliwość, pod poklask gawieździ, święci triumfy.

Tradycjonałiści wrogo odnoszą się wszelkiej odmienności, która kala „odwieczny byt” wspólnoty etnicznej. Tradycjonalizm orientuje się na przednowoczesność społeczną, w feudalizmie czy despotyzmie upatrując inspiracji. Mierzi go nowoczesny typ zorganizowania społecznego, szczególnie liberalno-demokratyczny.

Liberalizm jako ideologia wolnościowa, nakładająca zarazem na jednostkę ludzką powinności obywatelskie oraz imperatyw skutecznej aktywności w życiu, koliduje z tradycjonalnym pojmowaniem społeczeństwa jako inercyjnego stada ludzkiego, któremu przewodzi i duszpasterzy patriarchalny przywódca. A tu jakaś demokracja, wielość opcji, indywidualny wybór... A gdzie „ojcowskie” autorytety, gdzie ksiądz dobrodziej, kto drogę wskaże? Na wolność jednostki ludzkiej, na swobodny dostęp do treści wolnomyślicielskich i pokus nowoczesności tradycjonalista reaguje zgrozą i zaprzysięga się, że nie dopuści do tego.

Powoduje nim kanon bogoojczyźniany, ferwor religiancki. Tak jak liberalizmu, tradycjonałiści nienawidzą też komunizmu – jako uwspólnotowienia zeświecczonego, jako sekty czczącej bałwany. Jednak nade wszystko komunizm jest nienawistny tradycjonalistom jako antyreligia – choć zarazem przedstawia przewrotny kult pogański (mumifikacja Lenina, adoracja Stalina, obrzędowość sowiecka itd.).

Do komunizmu wrogo odnosili się ajatollah Chomeini, Osama ben Laden, Saddam Husajn czy gen. Suharto. Mimo że Sowiety przypominały jako żywo patriarchalny despotyzm, miły sercu każdego zaprząsiegłego tradycjonalisty. Ciekawy to przypadek, kiedy podobieństwa morfologiczne systemów społeczno-politycznych nie eliminują głębokich antagonizmów między nimi (co poświadcza np. konflikt między potęgami komunistycznymi: ZSRR i ChRL, sprzed ponad pół wieku).

W przypadku PiS-u jego sloganowy antykomunizm przykrywa pasem cnotliwości prawicowej autorytarno-kolektywistyczne i poniekąd (narodowo-)socjalistyczne praktyki tej partii i jej rządów. Pokrętna i kłamliwa retoryka PiS-u, odwołująca się często gęsto do komunaułu i stereotypu, esami-floresami maniaka wizerunkuje siły europejskie, liberalne i demokratyczne w Polsce jako dawnych utrzymanków komuny, a teraz – jurgieltników Niemiec i UE. Co więcej, insynuuje, że siły te zdradziecko przymilały się też do Rosji Putina. W tym zaprzarśtwie patronowała im Bruksela, gdzie eurokrajca pisze nowe „protokoły mędrców”, tym razem globalizmu.

Polska dwubiegunowość: między bohaterstyczną a koltunerią, przedstawia się zupełnie nie po europejsku.

Bliżej jej do eposów o „bohaterach” ludów koczowniczych Eurazji

Muszę wyznać, że podobnego spiętrzenia obłądnych domniemań i insynuacji nie słyszałem od czasu sławetnej kampanii „antysyjonistycznej” z 1968 r. Wtenczas też gromiono „wrogów Polski” z rozmachem i swadą, których nie powstydziliby się surrealiści. „Demaskatorskie” sprzeczności i antytezy, spiętrzone przez propagandyistów PRL-owskich, sparodiował wtedy Natan Tenenbaum:

„Więc Wyszyński z Kuroniem za pieniądze Mao/ Chcieli Żydom zaprzedać naszą Polskę całą/ (...) Chcieli, żeby Izrael sięgał do Szczecina,/ A chłopów z Lubelszczyzny przesiedlić na Synaj/ (...) A jeszcze lotry zdradę wymyśliły taką:/ Oddać molo w Sopocie Czechom i Słowakom,/ Do tego łódź podwodną, Pannę z Jasnej Góry,/ Szczerbiec, żubra Pulpita i Pałac Kultury”.

Bełkotliwe olśnienia pisowców, kto z kim i za czyje pieniądze „zdradza Polskę”, ściśle trzymają się tej metody wyjaśniania problemów politycznych – wraz z przyłyptami manii prześladowczej.

Wspólnotowość, o której tak chętnie rozwodzą się tradycjonałiści i która wyjawia się w tłumie nierozdziewiczonym w swym rozumieniu demokracji i obywatelskości, siłą rzeczy wymaga przywódczego autorytetu oraz kańczuga, żeby okiełznać infantylną i narowistą masę i nią pokierować. Z tego względu tradycjonałiści opowiadają się za paternalistyczną dyktaturą, demokrację zaś – do której przykładają wyobrażenia o anarchicznym roju – uważają za rozwiązanie ułomne i za przejaw oddania spraw państwowych na targowisko próżności.

Nie wyobrażają sobie, że wspólnota może być samorzutnym i wolnym zrzeszeniem

obywateli, którzy orientują się na realizację tych samych dalekosiężnych celów i tworzą społeczeństwo obywatelskie („Gesellschaft”, według Ferdinanda Tönniesa). Dla tradycjonalistów wspólnota musi się jawić jako świątobliwość na miarę „Gemeinschaft” – przedwiecznego bractwa osadzonego na „krwi i ziemi”, które wrogo łypie okiem na świat zewnętrzny.

Tradycyjalny ustrój wspólnotowy – jak to w „wielkiej rodzinie” – opiera się na wewnętrznym rozdziale dóbr skomasowanych przez rodzinę. Dzieli je głowa rodziny, patriarcha, który może przyznać – albo i nie – domownikom rację dóbr. Starożytni Grecy nazywali go „despotes”. System ten trwał od starożytnych orientalnych despotcji aż po czasy ZSRR i PRL-u. Bez wątpienia niemala część Polaków upodobała sobie system redystrybucyjny, który kosą wyrównawczą przycinał ludzi nietuzinkowych, pomyslowych, kreatywnych. Przeciw nim nóż ostrzyła „zemsta ludu”, do czego podjudzał i czemu przyklaskiwał bolszewizm.

To, że wolna przedsiębiorczość może wносить o wiele więcej do skarbu państwa niż sektor upaństwowiony, wcale nie gnębi rządów autorytarnych. Osadzone na idei egalitaryzmu wspólnotowego, plwają one na dochody, byle bogactwo nie rodziło elit możnowładczych, które jako pierwsze zaczynają domagać się swobód i liberalizacji. A sojusznikiem autokracji w dławieniu tych fanaberii wolnościowych jest „tuszca”, rozjuszona i jędzowata w zetknięciu z tymi, którym się powodzi. W dokonywanej wspólnymi siłami: władzy i „ludu”, wyrównawczości materializuje się populizm despotcji i autorytaryzmów.

Szereg tedy przymiotów plasuje PiS w kręgu partii tradycjonalistycznych. Prymatyczne pojmowanie wspólnotowości (jako „Gemeinschaft”), postrzeganie gospodarki w kategoriach redystrybucyjnych, urawniłowka synonimizująca sprawiedliwość społeczną, wrogość do wolnościowych postaw, skłonność do rządów autorytarnych i atawistyczna potrzeba pelzania na brzuchu przed patriarchalnym i „patriotycznym” dzierzymordą („Jarosław, Polskę zbaw!”) – wszystko to spokrewnia rządy PiS-u z władzą sowiecką. Oraz brata z różnymi systemami autorytarnymi poza światem Zachodu.

Oczywiście, dla ukrycia tych wszystkich pokrewieństw i podobieństw, rządzący pisowscy stroili swoją władzę w różne relikwie i świecidełka „patriotyczno-niepodległościowe”. Osobom, z racji nieobycia politycznego, niezdolnym do wyróżnienia natury systemu pisowskiego, ta cała maskarada mogła narzucać wrażenie, że PiS to „szczerze Polaki”. Ale ktokolwiek oświeciwszy szybko zgłębiał istotę „patriotyczno-niepodległościowego” i „prawicowego” symulakrum, jakie odprawiał PiS.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Adam Mickiewicz

Gęby za lud krzyczące

Gęby za lud krzyczące sam lud w końcu znudzą,

I twarze lud bawiące na końcu lud znudzą.

Ręce za lud walczące sam lud poobcina.

Imion miłych ludowi lud pozapomina.

Wszystko przejdzie, po huk, po szumie, po trudzie

Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie.

Wiersz za: „**Od Kochanowskiego do Szymborskiej... Antologia poezji polskiej**”, wybór Marek Wawrzkiwicz przy współpracy Krzysztofa Gąsiorowskiego, Książka i Wiedza, Warszawa 1999

Jestem przeświadczony, że prawicowość reprezentantów PiS-u na forach unijnych przyjmuje się z dezynwolturą i sarkazmem. Z jakim załoga statku Jamesa Cooka zareagowała, po zacumowaniu przy jednej z wysp Pacyfiku, na delegację starszyzny plemiennej, która dla zaimponowania Brytyjczykom wdziwała zdobyte nie wiadomo gdzie europejskie żakiety mundurowe z szamerunkiem. Tyle że elegancji górnej części przyodziewku obnosiła bez spodni i na boso.

PiS nie jest partią ani prawicową, ani konserwatywną w rozumieniu zachodnim. Albowiem terminem partii prawicowo-konserwatywnych określa się ugrupowania polityczne, które wyłoniły się w następstwie rewolucji mieszczańskich. Które programowo zniechęcały do zbyt radykalnych, wstrząsowych zmian. Te bowiem mogą wykołcić społeczeństwo, wprowadzić je w stan rozchwiania i dezorientacji.

Z biegiem lat partie konserwatywne na Zachodzie przyjmowały wiele reformistycznych postulatów, ściśle związanych z porządkiem demokratycznym. Stąd np. w Kanadzie uformowała się Partia Postępowo-Konserwatywna; skądinąd w Ameryce credo Partii Republikańskiej sprowadza się do obrony wartości liberalnych zapisanych w deklaracji niepodległości i w konstytucji USA.

Krótko mówiąc, niewzruszonym punktem odniesienia dla partii prawicowych i konserwatywnych Zachodu pozostają wartości liberalizmu, które na szczycie swej aksjologii stawiają wolność jednostki ludzkiej. I od praw, i przywilejów człowieka, i obywatela wyprowadzają ideę suwerenności.

Liberalizm opowiada się za modernizacją – czyżby jego prometeizm w tej mierze nosił lewicowy charakter? Skoro tak, to wsteczństwo miałoby oznaczać prawicę?

Nie. „Prawicowość” PiS-u nie ma nic wspólnego z prawicowością Reagana, de Gaulle’a czy Thatcher. Do galerii pisopodobnych „prawicowców” należeli Chomeini, Idi Amin Dada, Bokassa czy gen. Suharto. ●



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jarosław Bratkiewicz

• ur. w 1955 r., politolog, były dyplomata. Absolwent MGIMO. Działal w podziemnej „Solidarności”. Od 1992 r. w MSZ, w latach 1996-2001 ambasador na Łotwie, a w latach 2010-15 dyrektor polityczny ministerstwa

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nie chcemy,
aby o sądownictwie
decydowali wyłącznie
sędziowie

NIE MAMY TÓG PODSZYTYCH STRACHEM

Z SEDZIĄ IGOREM TULEYĄ*
ROZMAWIA WALDEMAR PAŚ

Mija kwartał od wyborów. Czy okienko umożliwiający naprawę wymiaru sprawiedliwości się nie zamyka?

– W pierwszych dniach po 15 października wierzyłem, że plan naprawy wymiaru sprawiedliwości i głębokich, dobrych reform jest bezdyskusyjny. Wyczekiwałem, aż nowa władza sięgnie po pięć projektów ustaw, którym patronuje m.in. Stowarzyszenie Sędziów Polskich „Iustitia” i inne organizacje.

Chodzi o przywrócenie praworządności w sądach powszechnych, Trybunale Konstytucyjnym, Krajowej Radzie Sądownictwa, Sądzie Najwyższym i prokuraturze.

Każda z tych propozycji to efekt długoletnich przemyśleń, analiz, uzgodnień mnóstwa ludzi. To nie są projekty napisane na kolanie.

Z kim konsultowaliście wasz projekt o sądach i o KRS?

– To efekt kilkuletnich rozmów z ekspertami, ale też obywatelami w ramach akcji „Rządy prawa, wspólna sprawa”. Na warsztatach zawsze przeprowadzaliśmy ankiety, aby dowiedzieć się, jak ludzie postrzegają sądownictwo, co chcą zmienić, jaka powinna być rola sędziego, jak chcieliby usprawnić procedury. Przekuliśmy to w pomysły.

Już po wyborach napisałem tekst „Wyśniona rewolucja”.

Przejmując władzę, politycy nie mogą zapomnieć o oddawaniu ludziom głosu – dlatego wskazywałem, że muszą być dalej organizowane spotkania z obywatelami, działać kafejki prawne, bo prawnicy wciąż muszą rozmawiać z ludźmi.

Dlaczego?

– Bo obywatele mają prawo wiedzieć, jakie są pomysły na reformę sądów. Nic nie powinno dziać się za ich plecami. Przez osiem lat stali pod sądami i walczyli o niezawisłość sędziowską. Jeśli zmiany w sądownictwie nie spełnią społecznych oczekiwań, ludzie uznają, że coś dzieje się w zaciszu gabinetu,

to już nie wyjdą na ulice w obronie sądów. I nasza „wyśniona rewolucja” zmieni się w „prześnioną”.

To w nawiązaniu do książki prof. Andrzeja Ledera?

– To teraz wciąż jest społeczne oczekiwanie na prawdziwą reformę sądów.

I co?

– Nic. Albo coś dzieje się bez obywateli i praktyków.

Nie tylko ja zacząłem się poważnie obawiać, czy rządowi demokratów zależy na prawdziwej reformie wymiaru sprawiedliwości. A może zmiany ograniczą się do jakichś kosmetycznych rosad? Aby przetrwać do kolejnych wyborów, tak trwać i dryfować?

Z drugiej strony nowy rząd działa dopiero od miesiąca, druga połowa grudnia była gorąca.

– Ale jeśli chodzi o praworządność, to jakoś nie odczuwa się woli politycznej.

W sądach w całej Polsce mamy tych samych prezesów, na których składaliśmy zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa. Sejm wciąż nie zamroził działania neo-Krajowej Rady Sądownictwa, jak nie odwołał sędziów dublerów w Trybunale Konstytucyjnym.

Przyjęta w grudniu uchwała Sejmu w sprawie KRS zatrzymała się w pół kroku, bo nie stwierdziła nieważności powołania sędziów przez Sejm z powodu niezgodności z konstytucją i przyjętymi przez Polskę traktatami międzynarodowymi.

Nie zapobiegnie bezprawnemu tworzeniu nowych neosędziów przez duet – neo-KRS i prezydenta Andrzeja Dudę.

– Zamiast rozpoczęciem reformy raczy się nas działaniami paliatywnymi, których celem nie jest wyleczenie, ale wyłącznie załagodzenie bólu, aby łatwiej było przeczekać. Do kolejnych wyborów? Wtedy też usłyszymy wzniosłe deklaracje i piękne słowa na temat praworządności? Przepraszam za te gorzkie słowa, ale jakby demokratyczna władza czekała, aż

resztki praworządności w naszym kraju po prostu zdechną.

Przecież ministrem sprawiedliwości jest prof. Adam Bodnar, zasłużony w walce o prawa obywatelskie i praworządność były rzecznik praw obywatelskich. Który otoczył się znamienitymi osobami – to sędzia Dariusz Mazur, Maria Ejchart, mecenas Zuzanna Rudzińska-Bluszcz.

– To niewątpliwie bardzo dobrzy prawnicy, praktycy, osoby mądre i dzielne.

Prof. Bodnar to twardziel, człowiek z charakterem – chyba żaden rzecznik praw obywatelskich nie musiał działać w tak trudnych warunkach jak on. Pamiętajmy też, że wcześniej prowadził Program Spraw Precedensowych w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. To, że nie chodzi w dresie, nie oznacza, że jest miłym gościem.

Maria Ejchart z Wolnych Sądów mówiła głośno tuż po wyborach, że obie uchwały Sejm musi przyjąć w pierwszej kolejności, już na pierwszym posiedzeniu. Co więc się stało?

– Mogę tylko zgadywać, kto naprawdę decyduje, jaka ma być polityka i działanie Ministerstwa Sprawiedliwości.

Byliście świadkami brawurowej i jednocześnie legalnej akcji przejęcia kontroli demokratów nad mediami publicznymi. Tam rząd umiał i chciał, a tu nie?

– Nie widzę powodu, dla którego reforma sądownictwa nie przebiega w sposób sprawny. Popieram pogląd prof. Wojciecha Sadurskiego, który w jednym z ostatnich tekstów mówił o trzech etapach przywrócenia praworządności. Pierwszy to zwycięstwo opozycji prodemokratycznej w wyborach. Kolejny etap, przejściowy, to czas niezbędnych reform, a trzeci to stabilizacja i umocnienie demokracji liberalnej.

Jesteśmy w etapie drugim, bardzo trudnym.

Osoby odbudowujące praworządność nie mogą dać się spętać niekonstytucyjnym prawem narzuconym przez poprzedni reżim. Zamiast państwa prawa będzie

to państwo pseudoprawa wydrenowanego z wartości wymienionych w polskiej konstytucji i w traktatach europejskich.

Jest też kontekst w postaci spadkobierców ideowych ministra sprawiedliwości w Fundacji Helsińskiej, którzy głośno kontestują sposób, a czasami nawet sens pomysłów Iustitii na przywrócenie praworządności, a ostatnio legalność działań ministra Sienkiewicza przy przejęciu telewizji. Zresztą nie tylko oni. Dlaczego tak wiele osób po stronie demokratów ma problemy z akceptacją naprawy niekonstytucyjnych przepisów przyjętych w czasach PiS?

– Ja tego nie rozumiem. Tak jak prof. Sadurski uważam, że nie wolno się oglądać na bezprawne przepisy. Osoby odbudowujące praworządność mają prawo do zdecydowanych działań. Przecież nie ma znaku równości między tymi, którzy dzisiaj zdecydowanymi ruchami będą odbudowywać praworządność, a tymi, którzy tę praworządność niszczyli. Cel dzisiejszych działań jest szlachetny, mają one właśnie odbudować praworządność.

Demokratom przysługuje też prawo do retorsji – mogą odbudowywać praworządność takimi samymi działaniami, jakimi ona była niszczona – czyli np. odwołać sejmową uchwałę 15 sędziów z KRS i pozbyć się dublerów z Trybunału Konstytucyjnego.

Trzeba pamiętać o zasadzie proporcjonalności, czyli stosowaniu środków adekwatnych, możliwie najbliższych ustawowej literze prawa, bez ograniczania konstytucyjnych praw podmiotowych. Tak właśnie zrobiono w przypadku telewizji.

Przez ostatnich osiem lat walczyliście o praworządność ramię w ramię na niezliczonych protestach, wspólnie pracowaliście u podstaw na wydarzeniach takich jak Tour de Konstytucja, Pol’and’Rock. Dlaczego nie zadzwonił pan do ministra Bodnara czy jego zastępczyni Marii Ejchart i nie zapytał, no hej, co się dzieje?

– Nigdy nie dzwoniłem do ministerstwa, znam swoje miejsce w szeregu, jestem zwykłym sę-

dzią sądu powszechnego, szeregowym członkiem Iustitii.

Pan jest na ty z ministrem Bodnarem?
– To pytanie do wywiadu? Nie odpowiem.

Gdyby na moim miejscu zasiadł nagle minister Bodnar – co by pan mu powiedział?
– Panie profesorze, panie ministrze, do 15 października wspólnie broniłimy praworządności.

Teraz jest czas jej odbudowy, działajmy szybko i zdecydowanie, nie bójmy się krytyki, zarzutów, że robimy coś nie tak.

Bardzo pana proszę, niech pan, panie ministrze, nie waha się, bo czego pan się nie tknie i tak panu zarzucą, że postępuje pan niezgodnie z prawem, niekonstytucyjnie. Zawsze będzie pan krytykowany, i to z obu stron, nawet jeśli pan nic nie robi.

Prof. Sadurski wspominał o eseju węgierskiego profesora, byłego wiceprezesa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka Andrása Sajó, który mówił o praworządności walczącej w okresie przejściowym. Aby odbudować praworządność, nie możemy się trzymać ściśle litery prawa narzuconego nam przez poprzedni reżim, i to trzymać się w sposób bardzo mechaniczny, gdyż to uniemożliwi nam działanie. Nie będą to „rządy prawa”, tylko „rządy za pomocą” prawa, w dodatku tego narzuconego przez autokratów.

To jak w tej metaforze „ruchomych schodów” – myślimy, że suniemy do przodu, a tak naprawdę się cofamy.

Jak widać, to nie takie łatwe

– Kilka tygodni temu spotkałem się ze studentami koła filozofii prawa Uniwersytetu Gdańskiego prowadzonego przez prof. Jerzego Zajądlę. Rozmawialiśmy o tekście amerykańskiego filozofa prawa Lona Fullera o problemie donosiciela. Esej, który ma już ponad pół wieku, opisuje dokładnie naszą dzisiejszą sytuację – upada reżim, trzeba naprawić prawo, przywrócić praworządność po kilku latach rządów autokratów. Minister sprawiedliwości radzi się pięciu wiceministrów, jak to zrobić. Oni mają różne propozycje. Słysząc też je dziś w polskiej debacie – od grubej kreśki, uznania, że reżim PiS działał legalnie, bo to jednak było jakieś prawo, po umycie rąk i zostawienie decyzji ulicy.

Esej kończy się pytaniem do czytelnika: co byś zrobił, będąc ministrem sprawiedliwości? Nasze problemy nie są więc niczym nowym. Nie musimy wymyślać prochu.

Jaka jest pana odpowiedź?

– To, przed czym dzisiaj stoimy, nie jest jakimś intelektualnym wyzwaniem.

Obserwujemy natomiast brak zdecydowania, niezrozumiałą powolność w ruchach.

Symbolem kondycji dzisiejszego sądownictwa staje się Mariusz Kamiński pokazujący gest Kozakiewicza po prawomocnym wygaśnięciu mandatu. Mariusz Kamiński nie obraził swoich kolegów z pracy. Adresem był wymiar sprawiedliwości, a tak naprawdę polskie państwo.

To tak, Jakby neosędziowie, prezesi z nominacji ministra Ziobry, rzecznicy dyscyplinarni, powołani politycznie członkowie neo-KRS pokazali ten gest obywatelom i sędziom, którzy przez ostatnie lata broniłi praworządności, a teraz chcą robić nowoczesne sądy.

Koleżanka i kolega redaktorzy, czytając naszą rozmowę, zauważyli, że oto jednak państwo pokazało, że potrafi działać i zdecydowanie, i symbolicznie. Od kilku tygodni przyglądaliśmy się serialowi z Maciejem Wąsikiem i Mariuszem Kamińskim w głównej roli, 17 lat po wydarzeniach ocenianych przez sąd. Nadal go oglądamy, ale już kompletnie nowy sezon – obaj zostali aresztowani.
– Na początku kamyczek do własnego ogródka. Tak długi czas wykonania tego wyroku to wynik słabości wymiaru sprawiedliwości, bo toczył się naprawdę wolno w sądzie rejonowym. Ale też dowód na

to, że sądownictwo potrzebuje prawdziwej reformy.

Przed wszystkim sprawie zaszkodziło zachowanie i działania polityków przez te wszystkie lata, sprawę oceniał Trybunał Konstytucyjny, z powodu zaskakującej decyzji prezydenta o ułaskawieniu osób bez wyroku.

Nie pomagały też agresywne komentarze polityków, w tym wzięte z sufitu interpretacje prawa. Przykładem takiej aberracji jest oświadczenie prezydenta ze środry 10 stycznia. Pokazuje ono, gdzie w odczuciu prezydenta jest miejsce niezależnego sądownictwa.

Co powie pan tym, którzy mówią, że Kamiński i Wąsik to pierwsi więźniowie sumienia w III RP?

–Obaj panowie nie spełniają jakichkolwiek kryteriów, aby ich uznać za więźniów sumienia czy więźniów politycznych. Nie zostali skazani za poglądy i w nieuczciwych procesach pokazowych. Całe postępowanie sądowe było transparentne, każdy może sprawdzić. A oni dopuścili się zwykłych przestępstw urzędniczych, nadużyli władzy.

Jakiekolwiek uchybienia funkcjonariuszy publicznych, bez względu jaki mundur czy togę noszą, powinno być zawsze kategorycznie piętnowane. Historia uczy, że gdy odpuszcza się ściganie w wydawałoby się drobnych sprawach, to później mamy do czynienia ze znacznie groźniejszymi uchybieniami.

Weźmy nocne, długotrwałe przesłuchania, niezasadne zatrzymania za pierwszych rządów PiS. Gdyby rządzący wyciągnęli wnioski, to może później nie byłoby sprawy Igora Stachowiaka i wielu innych.

A jak pan oceni to, że sądowy referendarz odmówił wpisu w sprawie fullian we władzach TVP? To, było nie było, przykład niezależnej decyzji przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości. Coś, czego chcieliśmy.

– Na tym polega niezależność władzy sądowniczej. Za poprzedniego rządu pewnie prześwietlono by, kim był stryjeczna babka matki ciotki ze strony ojca referendarza. A może i on sam pożegnałby się z pracą.

Orzeczenie jest nieprawomocne. Nie wolno się poddawać. Trzeba zrobić krok do tyłu i robić swoje. Zgodnie z prawem.

Czym różni się minister Bodnar od ministra Sienkiewicza?

– Minister Sienkiewicz jest politykiem, a minister Bodnar jest profesorem prawa. Chociaż...

...został ministrem sprawiedliwości, zatem chyba wszedł do polityki, prawda? Czy to możliwe, aby ministrowi Sienkiewiczowi politycznie było wolno więcej niż ministrowi Bodnarowi?

– Myślę, że nie.

To raczej kwestia tego, aby pan minister Bodnar uwierzył w to, że w pewnych momentach praworządność też trzeba odbudowywać ogniem i mieczem.

Po 15 października coraz częściej stajemy przed dylematem: czy można wprowadzić tylko trochę praworządności? Dla wielu osób to brzmi jak pytanie, czy można tylko trochę zdążyć na pociąg? Ale inni wydają się gotowi na taką dialektykę.

– To jest szczególny, historyczny moment, przepraszam za patos. Sztynne, mechaniczne poruszanie się w ramach przepisów stworzonych przez tych, którzy konstytucję łamałi, jest jakimś nieporozumieniem. Tolerancja jest przestępstwem, jeśli dotyczy zła. A to, co robiono przez osiem lat w naszym kraju, ewidentnie było złem.

Mam wrażenie zużycia języka, sformułowań używanych od ośmiu lat. Przestały być słyszane. Może tu jest pies pogrzebany?
– Powtórzę: niech politycy sięgną po nasze projekty uzdrowienia wymiaru sprawiedliwości, niech chociaż się zacznie dyskusja w parlamencie. Bo podejmowanie uchwał wzywających nominatów poprzedniego reżimu, aby

dobrowolnie ustąpili, do niczego nie prowadzi. Ośmieszają siebie, a przy okazji nas wszystkich. Nie jest też spełnieniem kamieni miłowych, czyli metodą na odblokowanie pieniędzy z KPO.

Sędzia Bartłomiej Przymusiński przedstawił w „Wyborczej” dość smutną dla demokratów perspektywę Brukseli. Skoro Polska ma rząd Tuska, to tym samym znalazła się w kategorii państw mniej problematycznych, dzięki czemu Komisja uwolniła ręce do gaszenia nowych pożarów nacjonalizmu, populizmu i bezprawia w Europie.

– Jeśli więc sami nie zrobimy pierwszego kroku, czyli nie zaczniemy naprawiać instytucji, to nikt za nas tego nie zrobi i nic się nie zmieni przez najbliższe dekady. Jeśli my sami nie będziemy walczyli, to nie liczymy na to, że Europa będzie chciała „umierać za Gdańsk”.

A przepiękna, fantastyczna wizja budowy najnowocześniejszego i najlepiej działającego sądownictwa w Europie odpłynie w siną dal.

O czym się mówi w sędziowskich gabinetach?

– Aż przykro słuchać tego ładunku frustracji. W wielu sądach dalej rządzą polityczni nominaci poprzedniej władzy. Sędzia Nawacki nadal jest prezesem w Olsztynie, rzecznik Schab przeszuje sądowi apelacyjnemu w Warszawie, rzecznik Radzik jest wiceprezesem w Poznaniu i tak dalej, i tak dalej.

Jeśli nic nie zaczniemy robić, to parafrazując słowa prof. Sajó, pozostanie nam mówić o praworządności dryfującej albo terminalnej, czyli takiej, którą dzisiaj mamy w Polsce.

Wszyscy nic nie robią, licząc, że jakoś to będzie.

Pewne rzeczy

są proste,

coś jest białe

albo czarne,

dobre albo złe.

To powinno być

drogowskazem

dla wszystkich

prawników

Wczoraj słyszałem od prominentnej osoby, bardzo życzliwej środowisku sędziowskiemu, że nie należy sędziom zostawiać reformy sądów, bo nie przeskoczą własnych ograniczeń.

– Nasze projekty szeroko konsultowaliśmy z ekspertami i zwykłymi obywatelami. Nie chcemy, aby o sądownictwie decydowali wyłącznie sędziowie. Nasz projekt przewiduje powołanie społecznej rady przy Krajowej Radzie Sądownictwa – czyli w KRS będą nie tylko przedstawiciele samorządu sędziowskiego, politycy, parlamentarzyści, przedstawiciele prezydenta, ale też organizacji społecznych, adwokatów, radców i innych zawodów prawniczych, świata akademickiego.

Chcemy, aby nowa, legalna Krajowa Rada Sądownictwa nie tylko strzegła tej niezależności sądów, niezawisłości sędziowskiej – o czym mówi konstytucja, ale żeby też była prawdziwym miejscem do dysku-

sji. Pod tym postulatem szczególnie gorąco się podpisuję – wszędzie tam, gdzie jest to możliwe, oddajmy sądownictwo obywatelom.

Przywróćmy sędziów społecznych, bo PiS ograniczył obecność ławników w sądach. To będzie bardzo konkretna korzyść dla sądownictwa, aby ławnicy mogli znów dzielić się doświadczeniem życiowym i w ten sposób wspierać sędziów najmłodszych wiekiem i stażem. Obywatele będą mieli poczucie, że sądy należą do nich, a nie do jakiejś kasty.

Może nie przebiliście się do opinii publicznej ze swoimi pomysłami, ideami?

– Wraz z reformą powinna iść akcja edukacyjna na szerszą skalę, niż to robiliśmy do tej pory jako organizacje pozarządowe. Edukacja powinna trafić do szkół.

Tymczasem prawicowa opozycja grozi, że „członków upolitycznionych organizacji sędziowskich” będzie wykluczać z zawodu. Zapowiedź tego, co was spotka, jeśli wrócą do władzy.

– Może takie gadki działają na ich kapciowych – dobrozmianowych sędziów. Nas nie przestraszyli przez ostatnich osiem lat. Nie mamy tóg podszytych strachem. Zarzucanie upolitycznienia stowarzyszeniom sędziowskim takim jak Themis czy Iustitia jest propagandą uprawianą jeszcze przez rządy Zjednoczonej Prawicy.

Bez względu na to, kto jest przy władzy, stowarzyszenia sędziowskie zawsze stawały w obronie niezależnego sądownictwa, choćby przy okazji nieudanej reformy Jarosława Gowina, ministra sprawiedliwości w rządzie PO-PSL w 2013 r.

Siedząc przy jednym stoliku, reformę tę krytykowali zarówno sędzia Waldemar Żurek, który był wtedy w Krajowej Radzie Sądownictwa, jak i sędzia Łukasz Piebiak, który złożył rezygnację ze stanowiska wiceministra sprawiedliwości po ujawnieniu afery hejterskiej „Kasta” skierowanej przeciwko sędziom, prof. Krystyna Pawłowicz i poseł Stanisław Piotrowicz.

Środowisko sędziowskie zawsze stara się bronić wartości konstytucyjnych. Nie patrzymy, czy rządzą zieloni, czy niebiescy. Mówimy o praworządności, bo mamy do tego prawo.

Ostatni komunikat prawdziwej KRS z marca 2018 r. zachęcał sędziów, aby odważnie wypowiadali się o wartościach konstytucyjnych, aby brali udział w debacie publicznej.

Całe orzecznictwo Europejskiego Trybunału Praw Człowieka mówi o tym, że sędziowie mają prawo zabierać głos w kwestiach praworządnościowych. Mówi też o tym deklaracja sofijska z 2013 r. krajowych rad sądowniczych z Europy – sędziowie mają wręcz obowiązek publicznie w tych kwestiach zabierać głos.

Czy nie boicie się, że stowarzyszenia typu Themis czy Iustitia zostaną uznane za niezdolne do kompromisu i wykluczone z debaty?

– Stowarzyszenia sędziowskie to nie jest margines środowiska sędziowskiego, gromadzimy jedną trzecią z 10 tys. sędziów. Wielu sędziów, choć nie należy do żadnej z organizacji, to z nimi sympatyzuje. Świadczą o tym wyniki głosowań podczas zgromadzeń ogólnych w sądach, kiedy jeszcze funkcjonowały – od rejonowych po apelacyjne – zwykłe nawet 95-99 proc. sędziów popierało postulaty organizacji sędziowskich.

Jaki macie pomysł na sędziów, którzy przed nominacją byli asesorami?

– Są w zupełnie innej sytuacji niż osoby, które były już sędziami i zdecydowały się wziąć udział w nieuczciwych konkursach, aby awansować. Asesorzy rzeczywiście nie mieli wyboru. Mogli albo stanąć przed neo-KRS, albo odejść z zawodu.

Co trzeba zrobić z resztą neosędziów?

– Chcemy, aby zostali cofnięci na poprzednie stanowiska i – jeśli chcą – ponownie wzięli

udział w legalnych i uczciwych już konkursach przed prawdziwą Krajową Radą Sądownictwa. Niech zmierzają się z kolegami i kolegami, którzy – widząc bezprawie – zrezygnowali z budowania karier i słono za to zapłacili.

Postulaty stowarzyszeń sędziowskich są umiarkowane. Moje prywatne poglądy są radykalniejsze. Dlatego nie narzucam swojego zdania innym ani nie aspiruję do stanowisk.

Bo?

– Osobiście uważam, że sędziowie, którzy startowali w konkursach przed neo-KRS-em, mają co najmniej dwie wady, które dyskwalifikują ich jako sędziów.

Albo nie znają prawa, no bo jest oczywiste, że neo-KRS i konkursy przed neo-KRS-em nie są uczciwe i są niezgodne z naszą konstytucją.

Albo?

– Nie mają nieskazitelnego charakteru. Czyli postąpili niehonorowo, świadomie zgodzili się na bezprawie i w nim uczestniczyli.

Ale wtedy na scenę wchodzi argument, cały na białło, że oto jest już 2 tys. neosędziów, a może więcej, nie można tak doktrynalnie, że trzeba się z nimi jakoś ułożyć.

– To żadne usprawiedliwienie. Jeśli sędzia ma takie mankamenty, to nie da się tego zalać.

Czyli należałoby im podziękować i powiedzieć: adieu?

– Powinni się zająć czymś innym.

Mogliby pracować w innych zawodach prawniczych?

– Z powodu braku nieskazitelnego charakteru moim zdaniem nie mogliby wykonywać zawodów zaufania publicznego.

Czyli nicy z kancelarii adwokackich, notarialnych, radcowskich?

– Nie wszyscy muszą być prawnikami. Ale zaznaczam: to mój prywatny pogląd.

Czy nie nazywaliśmy źle rzeczy dziejących się przez osiem ostatnich lat? Sformułowanie neosędzia sugeruje, że to jednak trochę jest sędzia. A przecież to sytuacja zero-jedynkowa – albo ktoś jest sędzią, albo nim/nią nie jest. Może byłoby nam łatwiej, gdybyśmy od początku mówili dosadniej, np. antysędzia, czy chociaż niesędzia?

– Nawet nie wiem, kto jest autorem terminu neosędzia. Można się zastanawiać, czy to jest najbardziej trafne, tak jak z ustawą kagańcową, prawda? Kaganiec zakłada się przeciw zwierzęciu.

W moim odczuciu nazwa „kagańcowa” była dobra, bo wszyscy rozumieli, że chodzi o brutalne i bezprawne zamknięcie sędziom ust. A tu nie wiemy, na czym stoimy, są jacyś neosędziowie, jacyś dublerzy, czyli niby-sędziowie, którzy niby nimi nie są. Są wyroki, ale właściwie nie wiadomo, czy są. 3 stycznia siedmioosobowy skład Izby Karnej SN uznał, że Trybunał Przyłębskiej nie jest „TK, o którym mowa w konstytucji”, a wyroki wydane z udziałem dublerów nie mają mocy powszechnie obowiązującej i nie są ostateczne. Fajnie, ale na usta od razu ciśnie się pytanie: to są te wyroki czy ich nie ma? Z punktu widzenia zwykłego śmiertelnika zmuszanie do życia w takiej niepewności semantycznej to prawnicza tortura. Co pan sędzia uważa?

– Wydaje mi się, że to błąd, który może tkwić w samych prawnikach – skłonność do dzielenia włosa na czworo. A prawo jest dużo prostsze, niż wydaje się, słuchając prawników.

My, prawnicy, powinniśmy mówić w sposób jasny i zrozumiały. I tak samo działać.

Skoro uważamy, że neosędziowie nie są sędziami, to dlaczego sprawę ministra Wąsika ma rozpoznać skład złożony z neosędziów? To jest jakieś mieszanie łyżeczką w kubku herbaty, bez cukru nie stanie się słodsza.

Polecam słowa sędziego prezesa Stanisława Zablockiego, który – przechodząc w stan spoczynku – zaapelował do prawników, a zwłaszcza do sędziów, aby odważnie nazywali rzeczy po imieniu. Niech nasza mowa będzie tak, tak; nie, nie. Nie bawić się w niuanse.

Pewne rzeczy są proste, coś jest białe albo czarne, dobre albo złe. To powinno być drogowskazem dla wszystkich prawników.

O czym trzeba dziś zacząć głośno mówić?

– Jeśli w wymiarze sprawiedliwości dalej niewiele będzie się działo, nie będzie reform, to zaczną się odejścia. Przed chwilą esemesowałem z sędzią Żurkiem, obaj jesteśmy rozczarowani obecną sytuacją. Powiedział, że daje sobie czas do połowy stycznia, po czym zacznie głośno protestować. Niedawno zapowiedział też publicznie, że zaczyna się zastanawiać, czy nie odejść ze służby sędziowskiej. Mogłby to być kamyk wywołujący lawinę.

Czy pan też rozważa odejście? Cała demokratyczna Polska trzymała za pana kciuki, gdy miał pan dwuletni zakaz orzekania.

– Ta służba musi mieć jakiś sens, jakiś cel. Musimy mieć wizję, którą realizujemy.

Inaczej dalej będziemy tkwić w sądownictwie niczym z XIX wieku, a sędziowie pozostaną sprowadzeni do roli jakichś czynowników, urzędników, którzy mają przychodzić na ósmą do roboty i wychodzić nie wiadomo o której, to taka praca przestanie mieć sens.

Wtedy poważnie się zastanowię. Nie wszyscy muszą być prawnikami. Na razie nie mam w sobie gotowości na odejście. Ciągle wierzę, że z obywatelami zbudujemy nowoczesne sądownictwo.

Z naprawczych projektów ustaw Iustitii

Celem usprawnienia sądownictwa, oprócz powrotu praworządności, jest zmniejszenie zatoru w sądach, szczególnie w największych miastach.

• Wybrane pomysły:

• Nie będzie sędziów sądów rejonowych, okręgowych, apelacyjnych – wszyscy otrzymają jednolity status sędziów sądów powszechnych. Ich wynagrodzenia zostaną spłaszczone. Zakończy to odpływ dobrych sędziów z sądów rejonowych i zmniejszy wewnętrzne napięcia, ustabilizuje system;

• Przez pierwsze pięć lat pracy będzie łatwo skorygować przydatność sędziego, bo będzie poddawany częstej ocenie;

• Sędziowie będą odpowiadać dyscyplinarnie w pełni jawnym postępowaniu. Przy nowej KRS pojawi się rada społeczna, a ławników zastąpią sędziowie obywatelscy, lepiej opłacani niż dziś ławnicy;

• Sądownictwo zostanie w pełni zinformalizowane, koniec z papierologią i kolejkami adwokatów na pocztę tuż przed północą, aby zdążyć nadać pisma procesowe – będzie można wysłać je mailem.

Wierzę w to, że te osiem lat nie pójdzie na marne i w demokratycznej Polsce nie będziemy musieli podejmować tak dramatycznych wyborów.

Co powinno się wydarzyć po waszej stronie w najbliższym czasie?

– Może czas zewrzeć szeregi, rozpocząć kampanię informacyjną bardziej intensywną niż przed 15 października.

Obawiam się, że znacząca część klasy politycznej próbuje z wygody zepchnąć na dalszy plan naprawę praworządności i reformę sądownictwa.

A to powinien być podstawowy pierwszy cel. To brzmi banalnie, ale bez wolnych sądów nie ma wolnej kultury, wolnych mediów, wolnych wyborów, wolnych ludzi po prostu. Fundamentem jest praworządność. Bez niej niczego nie zbudujemy.

A zwykli ludzie? Jak długo będzie nas niósł popaździernikowy entuzjazm?

– Jako zwykły sędzia apeluję do wszystkich o organizowanie spotkań z obywatelami o przywracaniu rządów prawa, naprawie sądów, abyśmy nie przespali naszej wyśnionej rewolucji. ●

*Igor Tuleya

• ur. w 1970 r., sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie. Zaangażowany w obronę niezawisłości sędziów, sprzeciw wobec ataku Zjednoczonej Prawicy na praworządność przyplacił odsunięciem od orzekania. Początkowo pracował w Sądzie Rejonowym w Nowym Dworze Mazowieckim. Nominację do Sądu Okręgowego w Warszawie otrzymał w marcu 2010 r. od prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W 2013 r. sąd pod przewodnictwem Igora Tulei skazał kardiochirurga dr Mirosława Garlickiego na dwa lata oraz grzywnę za przyjęcie 17,5 tysiąca złotych łapówek. W uzasadnieniu wyroku sędzia porównał działanie wobec lekarza podjęte przez CBA, którym kierował Mariusz Kamiński, do metod stalinowskich. - Byłem uczony, że każde naruszenie prawa i pokaz siły należy piętnować, żeby się to nie przerodziło w coś poważniejszego” - mówił „Wyborczej”. Na celownik ministra Ziobry trafił na dobre po tym, jak w 2018 r. nakazał wznović umorzone śledztwo ws. przeniesienia 16 grudnia 2016 r. obrad Sejmu z sali plenarnej do mniejszej Sali Kolumnowej, gdzie postowie PiS uchwalili m.in. ustawę budżetową. Niedługo później prokuratura zdecydowała, by postawić sędziemu zarzut karny przekroczenia uprawnień z powodu dopuszczenia do udziału mediów w posiedzeniu dotyczącym tej sprawy. Nielegalna Izba Dyscyplinarna działająca w Sądzie Najwyższym w 2020 r. uchyliła mu immunitet. Sędzia, jak i zdecydowana większość prawników, tej decyzji nie uznał, ponieważ ID została zawieszona przez Trybunał Sprawiedliwości UE. Wkrótce został odsunięty od orzekania przez rzeczników dyscyplinarnych sędziów Piotra Schaba i Przemysława Radzika. Nie orzekał przez 740 dni. Pod koniec 2022 r. został przywrócony do orzekania i odebrał zdeponowany u sędziego Piotra Gaciarka łarńuch sędziowski. - Łarńuch, symbol władzy sędziowskiej i wykonywanej służby, jest czymś wyjątkowo ważnym w życiu każdego sędziego - powiedział. W lipcu Europejski Trybunał Praw Człowieka zasądził na rzecz sędziego od Polski 30 tys. euro zadośćuczynienia oraz 6 tys. euro z tytułu szkody majątkowej i niemajątkowej oraz 6 tys. euro zwrotu kosztów procesowych. Przez cały okres ataku na wymiar sprawiedliwości sędzia Tuleya angażował się w akcje promujące praworządność, jak Tour de Konstytucja i spotkania Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia, np. na festiwalu Poland'Rock organizowanym przez WOŚP.

Kobiety, dajcie Tuskowi chociaż 100 dni

Feministka w „Barbie” mówi: „Nigdy nie zapominaj, że system jest fałszywy”. Otóż to, nie zawsze.

Agnieszka Kublik

„Barbie” Greta Gerwig przegrała Złote Globy. Bo nominacji miała dziewięć, a ostatecznie dostała jedną za najlepszą piosenkę filmową roku – „What Was I Made For?” Billie Eilish. Bo nie liczę nagrody za osiągnięcie kasowe, to nagroda widzów, nie jury.

„Barbie” nie dostała nagrody w kategorii najlepszy reżyser, najlepszy scenariusz, najlepsza komedia, najlepszy film popularny, najlepsza aktorka komediowa.

Złote Globy dały zwycięstwo „Oppenheimerowi” Christophera Nolana – w wyścigu finansowym przegrał, ale artystycznie odniósł zwycięstwo: w kategorii najlepszy film dramatyczny, najlepszy aktor dramatyczny, najlepsza ścieżka dźwiękowa.

I słusznie. Dobre kino stawia pytania i zmusza do szukania odpowiedzi.

„Barbie” nie dość, że pytań dobrych nie stawia (bo niby mądre, ale raczej takie różowo-plastikowe), to daje odpowiedzi, które są sztuczne, banalne i kompromitujące dla feministek. Bo nie kupuję, że tu chodzi o żarty, które obnażają stereotypy i tym samym je osłabiają.

Weźmy taki np. monolog feministki. Podczas jednego z seansów ktoś klaskał w czasie jego wygłaszania.

Szło jakoś tak: „Musimy być wyjątkowe, ale wszystko zawsze robimy źle. Musisz być szczupła, ale nie za chuda. I nigdy nie możesz powiedzieć, że chcesz być szczupła – musisz powiedzieć, że chcesz być zdrowa, ale masz też być szczupła. Musisz mieć pieniądze, ale nie możesz o nie prosić, bo to beczelne. Musisz być szefową, ale nie możesz być złośliwa. Musisz przewodzić, ale nie możesz tłumić pomysłów innych ludzi. Powinnaś kochać bycie matką, ale nie mów cały czas o swoich dzieciach. Musisz być kobietą kariery, ale też zawsze uważać na innych ludzi”.

A gdyby mówił to facet? „Musisz być szefem, ale nie możesz być złośliwy. Musisz przewodzić, ale nie możesz tłumić pomysłów innych ludzi”.

Czyż to nie dotyczy wszystkich? Bo na pewno nie tylko kobiety muszą się mierzyć z mazeniami, wyzwaniem i kompleksami.

W filmie Greta Gerwig uczą się, że kobiety mogą być, kim chcą, lekarkami, pilotkami, prezydentkami... No, to wiadomo. Mogą, tylko czy wszyscy to ich prawo szanują? A sęk w tym, że w „Barbie” te pilotki, lekarki, prezydentki są pięknymi kobietami. To ja z tego wyciągam wniosek, że jednak nie każda z nas może robić, co chce. Stereotyp zostaje wzmocniony.

Stąd już tylko krok do zastąpienia feminizmu garścią tandetnych formułek, i takie padają w tym filmie. To splaszczanie perspektywy i utrudnienie feministkom życia. Bo feminizm sloganów jest zawsze fałszywy.

I tak mi się to skojarzyło z tym, co się ostatnio działo na warszawskich ulicach. Otóż w poprzednią niedzielę w Warszawie odbył się protest aborcyjny. Adresatem był rząd Tuska – który, przypomnijmy, rządzi od 13 grudnia. Demonstrantki i demonstranci są już zniecierpliwieni. „Chcemy przypomnieć politykom i polityczkom, że patrzymy im na ręce i nie zapomnialiśmy, że obiecali nam zmianę prawa antyaborcyjnego” – przypominają się aktywistki Aborcyjnego Dream Teamu.

W monologu z „Barbie” pada takie zdanie: „Zawsze się wyróżniaj i bądź wdzięczna, ale nigdy nie zapominaj, że system jest fałszywy”.

Otóż nie zawsze jest fałszywy. Gdy trwał protest, rząd Tuska był u władzy 27 dni. 27!

To jednak stanowczo za krótko, by przyjąć, że zawsze „system jest fałszywy”. ●

Szczerek czyta zachodnich historyków

FOT. POLONA



• Tak chcieliśmy się widzieć, a tak nas widziano – lisowczyk w wyobrażeniu Juliusza Kossaka oraz plica polonica, czyli kołtun polski z weneckiej XVIII-wiecznej encyklopedii



FOT. ZBIORY BIBLIOTEKI NARODOWEJ

DOMY LEPIĄ
Z GLINY,
WINA
UŻYWAJĄ
RZADKO

Nie było żadnej zdrady sojuszników,
nie było wielkich straconych szans.
Był całkiem zwyczajny kraj balansujący między
półperyferiami a peryferiami

Ziemowit Szczerek

Pierwszy był, wiadomo, Ibrahim ibn Jakub, kordobański Żyd, który już w X wieku opisywał potęgę wojów Meska i jego kraju będącego „najrozleglejszym z krajów Słowian” i obfitującym w „mięso, miód i rolę orną”. Pisał o Słowianach, ludziach „skorych do zaczepki i gwałtowności”, o tym, że noszą „szaty przestronne, tylko mankiety rękawów obcisłe” i że gdyby nie koncentrowali się głównie na tłuczeniu się między sobą, to „żaden lud nie zdołałby sprostać im w sile”.

Ale ciekawiej chyba rozpocząć tę opowieść od młodego historyka z Oregonu Jacoba Mikanowskiego, który w książce „Goodbye Eastern Europe” zauważa, że dla przybyszów z zewnątrz, ze starych, od dawna ujarzmionych cywilizacją części świata, ziemie, na których dziś leży Polska, musiały być „dzikim pograniczem, zieloną i pustą krainą bez żadnych odniesień do historii czy pamięci”. Pełną nieprzebytą puszcza, przez którą jak przez dżunglę trzeba się przedzierać do rzadko porożewianych drewnianych grodów.

Świat późno zauważył nasze ziemie odległe od cywilizacyjnych centrów i to wrażenie oddalenia i nie-do-końca-swojności towarzyszyć nam będzie aż do dziś.

Przecież od początku garnęliśmy się do Europy. Polska przyjęła chrześcijaństwo w łacińskim rycie, urządziła miasta na podstawie niemieckiego prawa, sprowadzała osadników, rzemieślników i artystów, zamki rycerstwa i pałace arystokracji przyjęły zachodnie dworskie obyczaje. I już Muhammad Al-Idrisi, arabski kartograf służący na sycylijskim dworze króla Rogera, który w Polsce nigdy nie był, a tylko zbierał informacje od podróżników i handlarzy, pisał w XII wieku o Polsce jako o „kraju uczonych”, o „kwitnących” i ludnych miastach. Do nich zdąża wielu Rumijczyków (czyli ludzi z dawnego rzymskiego kręgu kulturowego, w tym kontekście raczej łacinników niż Greków). Pisał też co prawda o górach okalających Polskę „od każdej strony” i oddzielających Bulunię (Polskę) od Buemiji (Czech), Sasuniji (Saksonii) i Ar-Rusiji (Rusi Kijowskiej) i kto wie, być może w tym kontekście położenie Buluniji pomieszało mu się z położeniem Buemiji, faktycznie otoczonej przez góry, bo leżącej w kotlinie. Inne geograficzne dane jednak podawał generalnie zgodne z rzeczywistością, wymieniając m.in. Kraków, Gniezno, Sieradz.

Al-Idrisiego w tych opisach mocno poniosło, ale kto wie, być może w basenie Morza Śródziemnego tak właśnie postrzegano nowy, rozwijający się i chłonny kraj, „północnego tygrysa”, do którego łacini uczeni i rzemieślnicy udawali się szukać szczęścia. Ale już XV-wieczny dyplomata i geograf Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, znany później światu jako papież Pius II, pisał w dziele „O Europie”, że „prócz Krakowa mało jest miast znacznych w Polsce”, że „kraj cały zacieciony lasami”, że „domy lepią z gniecionej gliny” i że „napojem piwo, a wina używają rzadko”. Ambrogio Contarini, wenecki ambasador i kupiec, odwiedził Polskę pod koniec wieku XV, mając świeżo w pamięci „piękne miasta i miasteczka niemieckie”. I z początku nawet mu się podobało. Pierwsze polskie miasto na jego trasie, Międzyrzecz, opisał jako „nie wielkie, ale porządne, z pięknym zamkiem”. Zachwycił go Poznań „dla pięknych ulic i gmachów swoich, jako też dla znacznej liczby bogatych kupców”. Reszty kraju już jednak „nie znalazł tak porządnym i tak gęsto zaludnionym jak Niemcy”, choć Lublin mu nawet przypadł do gustu: opisał go jako „gród wygodny z zamkiem”. Włosy zjeżyły mu się na głowie dopiero na Rusi, w Łucku, gdzie, jak

pisał, „w niemałym się znalazł niebezpieczeństwie”, orszak jego bowiem trafił na lokalne wesele, gdzie – widocznie nienawykły – Wenecjanin widział „wielu podpitych ludzi”. Dalej, za drewnianym Żyto-mierzem, Kijowem i Czerkasami, rozciągała się już Tartaria.

Polską interesował się również Erazm z Rotterdamu, który pod niebiosy wychwalał króla Zygmunta Starego za to, że z Moskwą wołał rokować, niż ją podbijać, choć „było to w jego mocy”, że „nie odrzucił możliwości rokowania z Turkami”, a i z Tatarami by pewnie zawarł przymierze, gdyby ci „nie nękali jego posiadłości”. I namawiał go gorąco do kontynuowania polityki nie podboju, bowiem „niektóre okręty są za duże, żeby nimi kierować”, tylko pokojowego współistnienia z sąsiadami. Nuncjusz Juliusz Ruggieri z kolei w drugiej połowie XVI wieku pisał do papieża Piusa V o Polakach, że o ile w dawnych czasach musieli być „dzicy i nieokrzesani”, o obyczajach, które „dziś widzimy między Tatarami”, o tyle „pod wpływem religii chrześcijańskiej” „stali się podobni innym uobyczajonym narodom”.

Ciekawa relacja, bo pokazuje wyraźnie, że jeszcze w XVI wieku Polska była na mentalnej mapie Europy bytem relatywnie nowym. Dobrze przypomnieć sobie od czasu do czasu, że w świadomości kontynentu jesteśmy jedynie o jakieś 500 lat starsi od Ameryki. A o wiele dłużej od naszych ziem tkwią w niej Maghreb, Lewant, ba, nawet Indie i dalsze krainy Azji.

A później już nawet tak względnie miło nie było. Po wyborze na króla Francuza Henryka Walezego Polacy usłyszeli słowa gorzkie. Filip Desportes, poeta i dworzanin, który uciekł do Francji razem z Walezym, wspominał Polskę tak:

„Żegnaj, Polsko! Żegnaj, ziemio wiecznych mrozów, wiecznej zimy. Do twych lodowatych płaszczyzn za nic w świecie nie wrócimy. Nienawidzę twoich równin, w których nigdy śnieg nie taje. Wstrętnym mi jest i twój naród, i powietrze, i zwyczaje. Polskie domy, polskie izby! złoty wiek przypominacie, bowiem ludzie z bydłętami gnieźdzą się we wspólnej chacie” – pisał, ewidentnie nadal wstrząśnięty, już jakiś czas po ucieczce.

Tak, Desportes był hejterem. Ale jego opinie nie były odosobnione. Konrad Celtis, niemiecki poeta i szkolarz, wjeżdżając do Polski od południa na przełomie XV i XVI wieku, opisywał: „wieśniak tam orze rolę w pocie czoła, ziemia nieplodna i ubogie siola... Wisła przez kraju owego obszary nurt toczy szary”. A gdy szlachta narzuciła chłopom niewolnicze poddaństwo i zaczęła zazdrośnie zwalczać mieszczańską konkurencję, gdy władza królewska osłabła i przestała wywierać wpływ – poszło już z górki.

„Drogi były złe, wiosek niewiele, i to nędznych nie do opisania” – wspominał pod koniec XVIII wieku brytyjski historyk William Coxe swój wjazd od strony Bielska do nie do końca rozebranej jeszcze Polski.

Nathaniel William Wraxall, angielski dyplomata i wywiadowca, który w 1778 roku przybył z Wiednia do Krakowa, tak opisuje podróż prasiódemką z Krakowa do Warszawy:

„Żaden trakt w Europie nie jest tak pozbawiony widoków ciekawych, interesujących czy przyjemnych co trakt długości około dwustu mil, biegnący z Krakowa do Warszawy przez centralne prowincje Polski. W samym środku kraju, z natury żyznego i bogatego, mieszkańcy cierpią na brak najelementarniejszych rzeczy”.

Ten kontrast przewija się jak mantra: w opisach podróży do Polski uderza opisywana mnogość i taniość mięsa, zboża, drzewa itd. ustawiona obok niesamowitego ubóstwa ludu. To wszystko, zderzone jeszcze z bogactwem szlachty, po-

Wolter widział w rozbiorach nie tyle nieszczęście dla Polaków, ile szansę na poprawę jakości ich życia

Brytyjski podróżnik pod koniec XVIII wieku: W Warszawie „uderza ostry kontrast między luksusem a nędzą”, Kraków to „trup stolicy”

Amerykański historyk: Gdy Turcy odebrali Rzeczpospolitą Podole, byli witani jak wyzwoliciele.

Żydowska społeczność Kamieńca Podolskiego witała ich mówiąc, że wiedzą, jak szczęśliwe jest życie „w cieniu ludów islamu”

kazuje obraz kraju utrzymanego za pysk przez zazdrosną o swój dobrobyt elitę.

Wraxall, nie oszczędzając nawet słynnego chleba, który w Polsce miał zawsze być „najlepszy na świecie”, pisał dalej tak:

„Z trudem udawało mi się zdobywać chleb w nędznych zajazdach, w których się zatrzymywałem, wyjąwszy tak czarny, kwaśny i szkaradny, że jeść go nie sposób. Nie znalazłem też ani jednej gospody zasługującej na to miano. Natomiast Żydzi, stanowiący większość ludności miasteczek, podtrzymują w nich drobny, istniejący tu przemysł. Polacy, wśród których wyludnienie, ucisk i nędza zdają się występować w każdej postaci, zdradzają swym wyglądem i otoczeniem kompletne ubóstwo: nawet kościoły są tu drewniane, podobnie jak i chłopskie chaty. [...] Drogi są albo pozostawione w stanie naturalnym, albo gdzie grunt jest bagnisty, ułożone z pni jodlowych ściśle przylegających do siebie, tak jak to robią w Rosji. Woda jest tu na ogół nienadająca się do picia”.

Kogokolwiek, kto chciałby w tym opisie widzieć złośliwość autora albo jego wyjątkową do Polski niechęć, trzeba rozczarować: tak wyglądały w zasadzie wszystkie opisy polskiej prowincji. „Polski most”, a raczej brak tegoż, jako synonim pośmiewiska, „piąty żywioł – błoto”, z którym musiała zderzyć się napoleońska Grande Armée, oraz zdziwienie jej oficerów, że ten rozmokły, drewniano-błotnisty ocean „Polacy nazywają swoją ojczyzną”.

Coxe, historyk, również jadąc prasiódemką, narzeka na brak uroków podróży w tym samym tonie, jakby się z Wraxallem umówili:

„Nie potrafię sobie nawet wyobrazić tak niemiłej okolicy, gdybym jej był sam nie zwiedził” – pisał. I nie można tych wrażeń przypisać, jak dziś, sztyldzie, która dopada nas, gdy tylko zjedziemy z S7 na, powiedzmy, aleję Krakowską. „Niewiele też spotkaliśmy śladów świadczących o tym, że jest to kraj zamieszkały, a jeszcze mniej takich, które by go pozwoliły zaliczyć do krajów cywilizowanych. Na gościńcu łączącym Kraków z Warszawą, a mającym około 258 mil angielskiej długości, spotkaliśmy w czasie swojej podróży zaledwie dwa powozy i około tuzina wozów”.

A sama Warszawa?

Jej przedmieścia są „nędzne”, choć położenie ma „niebrzydkie”, jednak ogólny wygląd jest „smutny, na każdym bowiem kroku uderza ostry kontrast między bogactwem a ubóstwem, luksusem a nędzą, który spotykamy zawsze przy zwiedzaniu tego nieszczęsnego kraju” – konstatował Coxe. Narzekał na szerokie co prawda, lecz źle wybrukowane ulice, przyznawał, że „pałace magnatów są liczne i świetne”, jednak większość domów to „nędzne i źle zbudowane drewniane chałupy”.

Podupadał też wychwalany wcześniej Kraków.

„Trup stolicy” – pisał Balzac, który co prawda zachwycił się wawelską katedrą, ale samo miasto postrzegał jako zrujnowany grobowiec, pod miastem zaś, i w ogóle w całej Galicji, opisywał „wyglodniałe widma, odpędzane batem, które oblegały powozy”.

W książce „Wynalezienie Europy Wschodniej” Larry’ego Wolffa nie pozostawiono suchej nitki na autorach wszystkich właściwie opisów podróży do Polski (i nie tylko), zarzucając im

z liberalno-lewicowej perspektywy – rasizm, klasizm, zachodnią wyższość i butę. Rzecz w tym, że obraz wylania się z nich, niestety, spójny i przekonujący, a i sam Wolff przebąkuje, że pisząc niedługo po upadku muru berlińskiego, poniesiony został przez optymizm i chciał naszą część świata odkłąć.

A było co odklinać. Polska czasów szlacheckich coraz bardziej odstawała nie tylko od reszty Europy, ale nawet od lekceważonego imperium osmańskiego. Podczas gdy otomańscy inżynierowie budowali mosty, które często funkcjonują do tej pory, drogi i państwową strukturę, Rzeczpospolita, ze słabą władzą centralną, była galaktyką maleńkich imperiów każdego szlachcica na zagrodzie połączonych ze sobą, a raczej rozdzielonych od siebie kilometrami nieprzejezdnego błota, rzekami, nad którymi nie przerzucano mostów, i szczytkową zupełnie infrastrukturą.

„Polscy królowie mieli wielki problem, by zebrać podatki albo wystawić armię” – pisze Jakób Mikanowski. „Zbudowali niewiele mostów czy dróg. Ich władztwo robiło odpowiednio chaotyczne wrażenie. Ahmed Resmi Efendi, otomański mąż stanu podróżujący przez Rzeczpospolitą w połowie XVIII wieku, mówił o niej, że jest ona państwem, w którym każdy region i każde miasto posiadało odrębną administrację i ani żadne z nich nie zwracało uwagi na inne”.

„Gdy Turcy odebrali Rzeczpospolitą Podole” – pisze w innym miejscu Amerykanin – „byli witani jak wyzwoliciele. Żydowska społeczność Kamieńca Podolskiego witała ich, mówiąc, że wiedzą, jak szczęśliwe jest życie >> w cieniu ludów islamu<<. Miejscy Ormianie byli równie zadowoleni, podobnie jak ukraińscy wieśniacy cieszyli się, że pozbyli się w końcu polskich panów. Tylko szlachta, której duża część była zmuszona do opuszczenia swych ziem, odebrała podbój negatywnie”.

Szlachta pograżała więc własną Rzeczpospolitą w feudalnych patologiach, aż doczekała się słów tak pogardliwych, jak te króla Prus Fryderyka II Wielkiego o „głupcach o nazwiskach kończących się na -ski”, których można, jak dzieci, omamić pieniędzmi. Będących zresztą podglebiem późniejszych poglądów nazistów na słowiańskich „podludzi”.

Fryderyk porównywał Polaków do Czirokezów, które to porównanie dziś uznalibyśmy za niepoprawne politycznie, i uważał, że ucywilizowanie za pomocą niemieckiej kultury przynieść by im miało wyłącznie pożytek. Podobnie myślał Wolter. O władzach polsko-litewskiego państwa filozof pisał, że to „starożytny rząd feudalny w całej swojej ohydzie”, kibicując Minerwie Północy, jak nazywał Katarzynę Wielką, wysyłającą do Polski armię, „która służy jedynie obronie praw obywateli i nastraszeniu przeciwników tolerancji”. Wolter, słowem, upatrywał w rozbiorach Polski nie tyle zagrożenie dla jej mieszkańców, ile raczej szansę na zmianę jakości ich życia. Podobnie jak wielu zwolenników kolonializmu i dziś twierdzi, że „za czasów rządów Europejczyków w dawnych koloniach panował większy porządek”.

Nawet przychylny filozof Roman Cornut pisał, że „Historia Polski jest unikatem: żaden naród nie

błyszczał większą świetnością i żaden nie stoczył się na dno w tak gwałtownym upadku”, a to za sprawą samej instytucji Rzeczypospolitej.

Itak się utarło również w naszej historiografii: sobiepaństwo, słaby król, wydrażone instytucje, szlachta niechętna podatkom i wyznająca filozofię „nasza chata z kraja”. A tymczasem historyk z University of Aberdeen Robert Frost twierdzi, że rozbiory były, mimo wszystko, bardziej kwestią spłotu międzynarodowych okoliczności niż zwykłej implozji państwa. I gdyby sąsiedzi nie przerwali reform rozpoczętych Konstytucją 3 maja, Rzeczpospolita mogłaby stworzyć nowoczesną, wielonarodową konfederację.

Odrodzona po I wojnie światowej Polska była dla Zachodu państwem nowym – nikt nie pamiętał już I Rzeczypospolitej, sympatie dla walczących o niepodległość Polaków, żywe w XIX wieku, wygasły. Co więcej, domagająca się terytoriów o wiele większych niż jej etniczny zasięg Polska budziła często niechęć: dopiero co wyswobodzili się z pęt, a teraz sami chcą pętać innych?

Jeszcze w 1938 roku, 20 lat po odzyskaniu niepodległości, reporter magazynu „Life” przedstawiał Polskę jako kraj „powojenny”, nowy na mapie świata, tak jak jeszcze dziś pisze się czasem o naszym państwie jako o kraju postkomunistycznym. Pisał o nierównościach: biedzie wsi i bogactwie oraz „uroku” arystokracji. O mniejszościach, desperackich próbach ekonomicznego i cywilizacyjnego podźwignięcia się na nogi oraz o „demonicznym”, uchodzącym wówczas za o wiele bardziej skutecznego, niż się okazał, ministrze spraw zagranicznych Józefie Becku. Bernard Newman, brytyjski dziennikarz (i szpieg), który Polskę objechał na rowerze w 1934 roku, wyraźnie rozdzielał dawne poniemieckie ziemie od tych, które składały się na dawne Królestwo Kongresowe, a te z kolei od polskich Kresów. Te na północ od Galicji i Wołynia uważał za zamieszkałe przez Rosjan i potwornie nudne: niekończąca się, podpiaszczona równina, drewniane wsie i miasteczka, jedno podobne do drugiego, co sprawiało wprawiające w obłąd wrażenie, że niezależnie od tego, jak wytrwale by się pedałowało, nadal jest się w tym samym miejscu. Poza tym było całkiem wesoło: we Lwowie występował w trupie cyrkowej, w Białowieży gonił go żubr, a w Częstochowie załamywał ręce nad rozmodlonymi pątnikami, którym handlarze wciskają odpustowy sakralny szmeln za grube pieniądze. I dziwił się, jak taki typ dewocji nadal jest możliwy w samym środku Europy.

Cały zresztą region był dla Zachodu dość egzotyczny: brytyjski premier Neville Chamberlain w czasie kryzysu monachijskiego, gdy ważył się los Czechosłowacji, nie mógł pojąć, „jak straszne, fantastyczne, niewiarygodne jest to, że mielibyśmy kopać okopy i nakładać maski gazowe z powodu kłótni, o których nic nie wiemy”. A Hitler wyciągnął wnioski – i się rozochocił.

Oddalenie Polski od Europy tylko pogłębił socjalizm; skryta za żelazną kurtyną

nasza rzeczywistość stawiała się tajemnicza i egzotyczna, tą egzotyką i tajemniczością specyficznego, jak z komiksów o Tintinie, rodzaju. Angielski pisarz Malcolm Bradbury w latach 80. stworzył wzorowany na Polsce i Rumunii kraj o nazwie Ludowa Republika Slaki, pełen błota, biedy i tajnej policji, a po upadku żelaznej kurtyny stereotyp za bardzo się nie zmienił: w 1992 roku Amerykanka Iris Gioia i Brytyjczyk Clifford Thurlow wydali przeżabawną, choć wbrew intencjom, książkę o pełnej straszliwych i niewiarygodnych wydarzeń podróży po krajach upadłego komunizmu. W Polsce, na przykład, Iris Gioia, zostawszy na chwilę sama w samochodzie na poboczu pod Poznaniem, wpadła w panikę, gdy zobaczyła zbliżających się lokalsów. Okazało się, że szli tylko zapytać, czy jakoś nie trzeba pomóc, ale Iris zatrzasnęła się w aucie, znad rozmówek polsko-angielskich rozpaczliwie powtarzając, że „mąż come now” i „mąż teraz”. Następnie w słowackiej Trnawie nasi podróżnicy oglądali minarety jako „elementy tureckiej spuścizny”. I tak dalej.

Tu przypomnijmy australijski, dość popularny na całym Zachodzie, przewodnik po Molwanii, krainie w podtytule określonej jako „nietknięta przez nowoczesną stomatologię”. I znów: pełno tu było błota, biedy i tajnej, choć już nie socjalistycznej, tylko nacjonalistycznej policji, mafii, skażonej ziemi i wszystkiego innego, co mieści się w stereotypie wschodniej Europy.

Molwania wpisuje się w długą listę wymyślonych krajów w naszym regionie: od Elbonii z „Dilberta” Scotta Adamsa (pamiętacie paski w poniedziałkowej „Gazecie Praca” w „Wyborczej”?), której mieszkańcy – brodaci, w kożuchach i futrzanych czapach – brodzą po pas w wiecznym błocie, „najważniejszym elbońskim towarze eksportowym”, po Krakozję z filmu „Terminal” Spielberga, ledwie zipiącą postkomunistyczną republikę. W tej republice przewroty wojskowe są jak kromka chleba, a jej reprezentant – Tom Hanks – okazuje się pocziwym, naiwnym i dziecinnie sentymentalnym pierdołą.

Ale nie ma co się obrażać. Po pierwsze, na temat każdego kraju i regionu funkcjonują stereotypy – niech rzuci kamieniem, kto nie zaśmiał się, czytając niby autoironicznie dekonstruujące wywiarskie poczucie wyższości, a w istocie je potwierdzający, cykl „Merdel”. Po drugie, samiśmy od nich nie wolni. Przecież wszyscy wiemy, nawet jeśli nie pasjonujemy się militariami, ile biegów ma czeski czołg – cztery wsteczne i jeden do przodu, gdyby atakowali od tyłu (o ośmiu latach subtelnej narracji odnośnie do Niemców, Litwinów, Ukraińców nie wspomnę, by nie męczyć państwa oczywistą oczywistością).

A po trzecie, zachodni historycy sami starają się przełamywać słowiańskie stereotypy, popularyzować bardziej zniuansowane perspektywy.

Timothy Snyder, Timothy Garton Ash, Norman Davies – żaden z nich nie jest przypadkiem naukowego ekspaty, który znalazł sobie wygodną niszę ekologiczną: krzepię serca tubylców, zachwyceni naszą mną na rękach jako ich am-

basadora, więc cicho sza, że u nas to się ukazuje w akademickich zakładach i nikt prócz specjalistów mnie nie czyta. Wszyscy są czytani, komentowani i obecni w obiegu publicznym swoich krajów.

Tym ciekawsze i ważniejsze jest spojrzenie Daviesa na Galicję, na Wypach prezentowane już nieraz w kolejnych tomach o zapoznanych Europach, u nas właśnie wyekstrahowane w odrębnej książce. Oksfordzki profesor przedstawia ją jako osobny twór (quasi)państwowy, zamieszany, owszem, również przez Polaków, ale nie tylko. Tożsamość galicyjska, choć wymyślona w dużej mierze po fakcie, czytają: po rozpadzie imperium Habsburgów, i wzmacniana nostalgicznymi powidokami, paradoksalnie zaistniała jeszcze przed tym, nim ją wymyślono jako umowną wspólnotę – jako wspólnota polegająca na braku wspólnoty. Taka, w której poszczególne etnosy czy, jak kto woli, kultury ścierały się, rywalizowały w swoich miastach i miasteczkach oraz o względy w stolicy, przeżyły muskuły albo stroszyły piórka, ale – zanim wszystkiego nie zepsuła moda na nacjonalizmy i jednorodność etniczno-terytorialną – w sumie koegzystowały, tworząc wspólnotę codziennego życia.

To perspektywa interesująca nie tylko dla publiczności zachodniej, bo wykraczająca poza kartoflano-anarchiczno-autorytarnobłotnisty stereotyp naszych ziem – no właśnie, nie tylko naszych – ale i dla nas samych.

Bo jakby mało było zewnętrznej wyższościowej szydery, cała Polska musiała sama wymyślać się po rozbiorach wiele razy. Najpierw trzeba było stworzyć – wcale dla wielu nie tak oczywistą – koncepcję wspólnego państwa łączącego trzy zabory i uzasadnienia, dla którego miałoby ono zajmować takie tereny, które akurat zajmować mu się udało albo, przy chwilowo lepszej koniunkturze, zdecydowało się zajmować. Niemal tysiącletnia historia jako podbudowa nowego polskiego państwa, owszem, leżała na stole, ale należało wymyślić i uzasadnić nowy ustrój, miejsce w Europie, podejście do mniejszości narodowych – rzeczy wszak w I Rzeczypospolitej, której w przeciwieństwie do niepodległych państw Zachodu nie mogliśmy przez długi wiek XIX przeciwzyć i tak dalej. Po II wojnie z kolei trzeba było opracować koncepcje państwa, które nie tylko zmieniło zupełnie ustrój, ale też „wróciło do granic piastowskich”, zaadaptować ziemie poniemieckie do polskości i ledwie się całe to wymyślanie zakończyło – pojawiła się III RP. W której nie możemy wymyślić się – bo nie dość, że nie możemy dojść do ładu między sobą, między Łomżą, Rzeszowem a Warszawą i Gdańskiem, między pątnikami z Lichenia oraz Jasnej góry i pielgrzymami do Kreuzbergu, słowem, między zapadnikami a narodnikami, to jeszcze usiłujemy zrewidować mentalne schematy z Litwinami, Ukraińcami i Białorusinami, oswoić się z Wietnamczykami, Irakijczykami i Marokańczykami – do teraz.

A Davies oferuje inne spojrzenie na nasze zmagania z „budowaniem wspólnoty”, którą im bardziej usiłujemy zbudować, im bardziej się brakiem tej wspólnoty zamartwiamy, im głośniej deliberuje-

my, na czym by i kim ją budować, tym bardziej nam nie idzie. Zdaje się mówić między wierszami: ej, dziewczyny i chłopaki, musicie się tak stresować, nie możecie po prostu sobie żyć?

Równie zaskakującą dla wielu – i wcale nie tylko dla bogoochryźnianych pravicowców, bo w końcu wszyscyśmy, jeśli nie z wyjątkowej polskości Grotgera, „Lotnej” i Sierpnia ’44, to z wadzących się z tą wyjątkową polskością „Sprzysiężenia” Kisielewskiego i „Trans-Atlantyku” Mrożka wyrośli – interpretację polskiej historii przedstawił amerykański badacz Brian Porter-Szucs, który w książce „Całkiem zwyczajny kraj. Historia Polski bez martyrologii” trzeźwo przypomina, że pomiędzy państwem a jego mieszkańcami istnieje, wbrew nacjonalistycznym tromtadrackim werblom, zasadnicza różnica i podkreślanie cierpień albo krzywd państwa, czyli bytu umownego, a nie cierpień jego obywateli, dehumanizuje historię i sprowadza ją w stronę politycznej paranoi i wymyślonych konfliktów.

Amerykanin stawia ciekawą i brzmiącą w polskich uszach tyleż świeżo, co kontrowersyjnie tezę, że Polska jako „Chrystus narodów”, który „wycierpiał więcej niż inni”, jest niczym więcej niż propaganda, w którą sami uwierzyliśmy. Najnowsza historia Polski, uważa Porter-Szucs, nie jest bowiem historią wielkich zrad, straconych szans i niewoli, jak ją widzi-my niezależnie od światopoglądowej opcji, różniąc się tylko w ocenie, kto zdradził i kto winien – tylko całkiem zwyczajnym losem kraju balansującego między półperiferiami a peryferiami, uzależniającym los to od jednego, to od drugiego silniejszego sąsiada, jak wiele innych państw w Europie Środkowej czy Ameryce Południowej.

A więc nie było żadnej zdrady sojuszników, którzy pozwolili Polsce pozostać w sowieckiej strefie wpływów: co najwyżej ich niemoc. Nie było również wielkich straconych szans. Czy można bowiem zakładać, że jeszcze przed wojennymi zniszczeniami i rabunkiem ubogi, słabo rozwinięty kraj, nawet otrzymawszy swoją część pieniędzy z planu Marshalla, byłby dziś drugą Francją? Bardziej prawdopodobne, że jednak wciąż uboższym krewnym europejskiego centrum, jak Grecja, Turcja czy Portugalia.

Czasem warto przyjrzeć się sobie samemu z boku. Z dystansu widać może nie więcej, ale inaczej, bo bez osobistych emocji. ●

„Tatuaż z tryzubem” i „Wymyślone miasto Lwów”, czyli Szczerek opisuje Ukrainę od środka. Książki dostępne na stronie wydawnictwa Czarne i w formie e-booków na Publio.pl.



N A S Z A E U R O P A

Niall Ferguson*:

KONIEC PAX AMERICANA

Choć formuła Theodore’a Roosevelta – „mów łagodnie i noś gruby kij” – nadal ma sens, to Stany Zjednoczone robią w odniesieniu do Chin dokładnie odwrotnie.

Jennifer Wilton

WELT

Krótko przed upadkiem Lehmann Brothers w 2008 r. przewidział pan wybuch i przebieg kryzysu finansowego; w swojej ostatniej książce „Doom. The Politics of Catastrophe” napisał pan m.in., że należy spodziewać się wojny na Bliskim Wschodzie. Należy pana nazywać Kasandrą? – Kasandra była trojańska księżniczką, która przewidywała katastrofy – i nikt jej nie słuchał, takie było jej fatum. Dziś, niestety, jest boom na Kasandry: ludzi, którzy nieustannie przewidują kryzysy lub wojny i znajdują wdzięczną publiczność. Prawda jest jednak taka, że wielu katastrof nie da się łatwo przewidzieć, i nie dotyczy to tylko trzęsień ziemi czy pandemii. A dokonywanie trafnych prognoz politycznych jest możliwe tylko wtedy, gdy się bardzo precyzyjnie zbiera dane wyjściowe. Zgoda, że prawdopodobnie jestem dziwnym historykiem, ponieważ myślę głównie o przyszłości. Większość historyków uważa, że nie powinno się tego mieszać. Ale przecież po co w ogóle studiować historię, jeśli nie po to, by na tej podstawie wyciągać wnioski na temat tego, co nadejdzie?

Jakie wnioski wyciąga pan zatem z aktualnej sytuacji geopolitycznej? Zachód jest skazany na zmierzch, Chiny na wzrost, a może do gry wkroczy globalne Południe?

– Powtarzam to już od pewnego czasu: jesteśmy w trakcie drugiej zimnej wojny. Stoją w niej naprzeciw siebie USA i Chiny. Tak będzie przez następne 20, a może nawet 30 lat. Nie ma innych supermocarstw. Nawet, a może zwłaszcza biorąc pod uwagę przemiany, które spowoduje rozwój sztucznej inteligencji czy komputerów kwantowych. Tak zwane globalne Południe nie będzie odgrywać przesadnie dużej roli.

Wraz z wybuchem wojny w Ukrainie zmieniła się globalna równowaga sił, realnie, ale przede wszystkim jej postrzeganie przez opinię publiczną. Kolejne kraje wylaniają się jako nowi geopolityczni gracze, opowiadając się po jednej lub drugiej stronie. Czy to jednak nie zmienia radykalnie sytuację?

– Owszem, wrażenie jest takie, że świat staje się wielobiegunowy. Weźmy na przykład BRICS. Stworzono w jego ramach wrażenie, że Brazylia, Rosja, Indie i RPA są w tym sojuszu równie ważne jak Chiny. Ale to oczywiście nieprawda. Ostatecznie istnieją bowiem

tylko dwa bieguny, tak jak podczas pierwszej zimnej wojny. Nawet jeśli wiele krajów, w tym Niemcy, twierdzi, że chce mieć dobre stosunki z oboma – a Niemcy mają wciąż tę dziwną ambiwalencję wobec USA – to i tak będą musiały w końcu dokonać wyboru. Dotyczy to również wielu krajów Bliskiego Wschodu, które szczególnie obawiają się daleko idących umów gospodarczych z Chinami. Ale jeśli by teraz zbadać dokładnie, kim są realni sojusznicy Chin, lista nie okaże się imponująca w porównaniu z listą sojuszników USA. Tu nadal istnieje asymetria.

A relacje między supermocarstwami? Gorsze czy lepsze niż Ameryki z ZSRR? Ostatnie spotkanie Joego Bidena z Xi Jinpingiem przebiegło raczej w odprężonej atmosferze, choć przecież chiński przywódca silnie akcentował w wypowiedziach dla prasy kwestię Tajwanu. – Obaj podczas spotkania w San Francisco unikali rozmowy o naprawdę ważnych sprawach, a mianowicie właśnie o Tajwanie i amerykańskich sankcjach w dziedzinie wysokich technologii. Pytanie brzmi, na ile uczciwa jest strona chińska, gdy deklaruje gotowość do dogadywania się – a może faktycznie dzieli nas tylko kilka miesięcy od kolejnego wielkiego kryzysu geopolitycznego? Czy będziemy tak zaskoczeni jak ostatnio w przypadku Ukrainy i potem Izraela? Nie widzę powodów, by twierdzić, że tak się na pewno nie stanie, biorąc pod uwagę fakt, że Chińczycy uporczywie koncentrują swoje siły morskie i powietrzne bardzo blisko Tajwanu. Xi Jinping dał jasno do zrozumienia w swoim noworocznym przemówieniu, że uważa „zjednoczenie” Tajwanu i Chin za „historycznie nieuniknione”. A jeśli wybory na Tajwanie 13 stycznia wygra kandydat opowiadający się jednoznacznie za niepodległością wyspy – a wiele wskazuje na to, że tak się stanie – może to zachęcić Pekin do blokady wyspy.

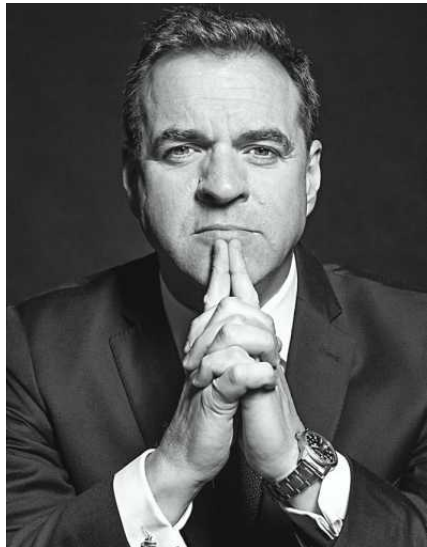
Chiny zechcą wykorzystać fakt, że USA zajmują się w roku wyborczym głównie sobą? Wydają się zjednoczeni w swojej strategii, co jest pomocne w roku wyborczym...

– Akurat Tajwan to jedna z niewielu, być może jedyna kwestia, w której Republikanie i Demokraci w USA się zgadzają. Istnieje ponadpartyjny konsensus co do tego, że Chiny stanowią problem i że sankcje ekonomiczne oraz technologiczne są sposobem na utrzymanie ich ambicji pod kontrolą.

Niestety, nie jestem jednak pewien, czy podchodzi się do tej kwestii wystarczająco racjonalnie. Stany Zjednoczone wyraźnie opowiadają się retorycznie po stronie Tajwanu w czasie, gdy nie są w stanie go efektywnie bronić. Jeśli Tajwan zostanie zablokowany przez flotę chińską, prezydent Biden będzie musiał podjąć decyzję o skierowaniu na zachodni Pacyfik znacznie większych sił. Przypominałoby to kubański kryzys rakietowy – tylko tym razem to my jesteśmy w sytuacji Sowietów. W 1962 r. Stany Zjednoczone dokonały blokady Kuby, a Moskwa musiała reagować. I był to najbardziej niebezpieczny moment pierwszej zimnej wojny. A dziś, gdy mówimy o potencjalnej trzeciej wojnie światowej, mamy na myśli sytuację wokół Tajwanu. Ale jest problem: choć formuła Theodore’a Roosevelta – „mów łagodnie i noś gruby kij” – nadal ma sens, to Stany Zjednoczone robią w odniesieniu do Chin dokładnie odwrotnie.

W Niemczech obowiązywała długo słynna zasada „zmiany poprzez handel”. To w sposób dziś ewidentny zawiodło. Czy pomoc w obliczu autorytarnych Chin może tylko wspólna strategia całego świata demokratycznego?

– Prawda jest taka, że intensywny handel z Chinami wcale ich nie zmienił, za to wywarł ogromną presję na nasze gospodarki. Udajemy, że możemy mieć transatlantycką solidarność, która ma wymiar militarny, ale gospodarczo każdy gra na własny rachunek. Ale to właśnie ta gospodarcza bliska współpraca byłaby najlepszą rzeczą dla Zachodu, dla demokratycznego świata. Nie byłby to oczywiście ekskluzywny klub demokracji liberalnych, ponieważ byłby zbyt mały. Przypominam jednak każdemu, kto ulega iluzji, że jest inaczej: mamy świat dwubie-



FOT. NIALLFERGUSON.COM

*Niall Ferguson

• ur. w 1964 r., jeden z najbardziej wpływowych historyków na świecie. Wykładowca m.in. na Uniwersytecie Stanforda, autor książek o polityce zagranicznej, historii gospodarki oraz imperializmie brytyjskim i amerykańskim. Ma konserwatywne poglądy, był doradcą w prezydenckiej kampanii wyborczej senatora Johna McCaina

gunowy, z Chinami i Rosją oraz Iranem i Koreą Północną po drugiej stronie, których cele są absolutnie zagrażające naszej demokracji. I są, te agresywne państwa, gotowe zrobić wszystko dla realizacji swoich celów. My natomiast nadal nie mamy prawdziwej odpowiedzi, nasza odpowiedź jest pełna sprzeczności.

Czy to główny słaby punkt liberalnych demokracji?

– Pomyślmy tylko przez chwilę o pierwszej zimnej wojnie: mieliśmy wtedy lepsze argumenty na rzecz wolnego świata, nasza soft power była nieodparta. Obecnie zachowanie jedności Zachodu stało się niezwykle trudne. A jeśli Donald Trump zostanie ponownie wybrany w tym roku, to ten wolny świat w ogóle przestanie istnieć jako geopolityczna całość, rozpadnie się. Wtedy właśnie Pax Americana się definitywnie skończy.

Kryzys na Zachodzie jest ostatecznie widoczny również w wojnie, która obecnie najbardziej nas zajmuje. Atak Hamasu na Izrael 7 października był momentem apokaliptycznym; masakry tego typu

i o takiej skali nie przewidział nikt. Ale eksplozja antysemityzmu na całym świecie jako reakcja jest równie szokująca.

– Z pewnością byli ludzie, którzy ostrzegali, że w miarę jak Izraelczycy będą się wkladać w swoje wewnętrzne problemy, sytuacja w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu będzie się pogarszać i że Iran może zrobić coś, by powstrzymać porozumienie między Izraelem a Arabią Saudyjską. Moim zadaniem jako historyka jest rozpoznawanie analogii. W 1973 r., niemal dokładnie 50 lat temu, Izrael został totalnie zaskoczony atakiem w Jom Kippur, podobnie zresztą jak Stany Zjednoczone. To interesujący przypadek powtarzania się historii. Tymczasem najbardziej zaskakujące jest to, że byliśmy zaskoczeni. Miałem podobne odczucia co do Rosji i Ukrainy, wybuch wydawał mi się nieunikniony. Na początku stycznia 2022 napisałem: „Wojna jest tuż-tuż”, ale wielu ekspertów od Rosji odrzucało taki pogląd.

A jaka jest kolejna prognoza?

– Istnieją teraz dwie dodatkowe kwestie związane z Izraelem. Myślę, że pozycja Izraela jest słabsza niż 50 lat temu. Wtedy bardzo szybko odwrócił losy wojny, po 19 dniach Egipcjanie byli już militarnie postawieni pod ścianą. Dziś jest zdecydowanie inaczej. Jakakolwiek wojna przeciwko takiej organizacji jak Hamas – jeśli ma zakończyć się sukcesem – musi zająć miesiące. Przez cały ten czas Izrael będzie narażony na ataki z Libanu i Zachodniego Brzegu. To jedno. Drugą jest to, że reakcje na 7 października jasno pokazały, jak bardzo Izrael stracił poparcie świata, zwłaszcza ludzi młodych. Zostali oni bardzo skutecznie przekonani, że ich poparcie należy się Palestyńczykom.

Czy to kluczowe dla obserwowanej na Zachodzie fali antysemityzmu?

– Każdy, kto ma bezpośrednią lub pośrednią pamięć o II wojnie światowej i Holokauście, czuje się w jakimś stopniu moralnie zobowiązany wobec Izraela. Zwłaszcza od lat 60. podejmowano usilne wysiłki, aby wyciągać wnioski z historii XX w. Ale to się skończyło w większości szkół i uniwersytetów na Zachodzie. Ustanowiono nową narrację, w której Izraelczycy zostali uznani za kolonizatorów. Obserwowałem to na Harvardzie. Drugą kwestią jest oczywiście silna imigracja ze świata muzułmańskiego, która przyniosła jego narrację i politykę do Europy i Ameryki. Obecnie istnieje interesująca koalicja ruchu woke i aktywistów promujących antyizraelskie i antysyjonistyczne narracje, które często są również antysemickie. Powoduje to tak dziwaczne zjawiska, jak np. ruch Queers for Palestine.

Dlaczego te narracje są tak uwodnicielskie? Przecież każdy może sobie wyobrazić, jak wyglądałoby życie osób queer w dowolnym arabskim państwie na Bliskim Wschodzie.

– Ale na uniwersytetach nie ma obecnie innej narracji niż bezkrytycznie lewicowa. Konserwatyści, nieważne jak bardzo umiarkowani czy rozsądni, są tam w odwrocie. Również wykładowcy przestają akceptować rozróżnienie Maxa Webera między polityką a nauką, które jest dla mnie bardzo ważne. Wręcz przeciwnie – zaciekle twierdzą, że naszą rolą jako profesorów jest bycie aktywistami. Czyli wejść do sal wykładowych i mówić studentom, że Izraelczycy robią wszystko źle i że Hamas jest wyrazem słusznego, legalnego ruchu oporu.

NASZA EUROPA

Ale teraz chodzi o coś bardzo konkretnego: studentów usprawiedliwiających masakrę popełnioną przez terrorystów. – Spędziłem swoje dorosłe życie, próbując odpowiedzieć na pytanie, dlaczego doszło do strasznych wojen światowych i jakie były ich rzeczywiste konsekwencje. Należało do nich przede wszystkim to, że idee i instytucje klasycznej tradycji liberalnej stały się dominujące w Europie Zachodniej i Ameryce Północnej, co doprowadziło do dobrobytu i poprawiło życie wielu ludzi, podczas gdy alternatywne ideologie – czy to marksizm, leninizm, czy narodowy socjalizm – dowiodły, że nie są w stanie tego osiągnąć. Z czasem powstało jednak alternatywne podejście do tej interpretacji historii. I do samej natury dyskursu. Zaczęło się od tego, że środowiska progresywne zaczęły odmawiać innym stronom sporu prawa do udziału w otwartej dyskusji. Zamiast tego wszystko, co konserwatywne, zostało zdewaluowane. Chodzi już nie o przekonywanie argumentami w debacie, ale o anulowanie adwersarzy.

To koniunkturalność czy prawdziwe przekonania ideologiczne? – Niemcy dobrze wiedzą, że możliwe było łatwe przekształcenie najlepszych uniwersytetów na świecie, którymi były niemieckie uczelnie jeszcze w latach 20., w instytucje całkowicie powolne reżimowi Hitlera. Stało się to szybko, ponieważ coraz więcej profesorów działało politycznie i wspierało Trzecią Rzeszę. Wtedy uniwersytety mogły stać się instrumentami politycznymi. I to właśnie dzieje się obecnie. I nie powinniśmy tego lekceważyć, gdy grupy studentów Harvardu zaczynają usprawiedliwiać przemoc wobec Żydów, która nie tylko samym Żydom przypomina Holocaust. Obecnie dzieje się to głównie na amerykańskich uniwersytetach, ale przecież mają one wpływ na zjawiska na całym świecie. Każdy, kto nie był na amerykańskim kampusie w ostatnich latach, nie może sobie wyobrazić, jak groźna stała się tam ta atmosfera. 60 proc. studentów twierdzi, że nie może otwarcie artykułować swoich poglądów w sali wykładowej. Boją się potępienia. Znamy to z dyktatur. Rozpoznaję w tym pewne wzorce zachowań po dekadach studiowania reżimów totalitarnych. Jeśli studenci nie dostrzegają, że donosicielstwo i odwoływanie wykładów to zachowania totalitarne, to ponieśliśmy porażkę. Nie udało nam się kolejnym pokoleniom wyjaśnić fundamentalnej różnicy między wolnym a niewolnym społeczeństwem. To porażka edukacji.

Ale czy to oznacza to, że nawet najgorsza historia prędzej czy później będzie musiała się powtórzyć? – Jeśli nie nastąpią bardzo aktywne wysiłki na rzecz utrzymania podstawowych zasad wolnego społeczeństwa, wówczas ludzka tendencja do poddawania się autorytaryzmowi będzie się rozprzestrzeniać. Podtrzymywanie zasad Oświecenia to praca, a kto w nie wierzy, powinien pracować ciężiej.

Istnieje pogląd, że młodsze pokolenia nie zastanawiają się nad wartościami wolnych społeczeństw, ponieważ uważają je za coś oczywistego. – Być może mojemu pokoleniu łatwiej było zrozumieć, jak wyglądało życie pod rządami nazistów czy w Związku Radzieckim. Ale pokolenie, które teraz studiuje, w ogóle tego nie czuje. Powinniśmy zachęcić młodych ludzi do czytania świadectw, a przynajmniej oglądania filmów i dokumentów o przeszłości, by zrozumieli, jaki horror stoi za waleniem przez bezpiekę do drzwi o trzeciej nad ranem. Kiedyś pytałem studentów Oksfordu, co by sobie pomyśleli, gdyby ktoś zapukał do ich drzwi o trzeciej nad ranem. Odpowiedź zwykle brzmiała: to podпиты kumpel szuka noclegu. A potem pytałem, jak myślicie, co by to oznaczało w Niemczech w 1938 roku? Albo w Rosji w 1942 roku? Ale nie sądzę, by takie pytania były jeszcze zadawane komukolwiek na uczelniach Zachodu. ●

Ekonomia zniszczenia

Czy wojna pomaga gospodarce?

Prostym sposobem na rozkręcenie wzrostu gospodarczego jest zatrucie rzeki. Na tej samej zasadzie „kwitnie” gospodarka Rosji.

Robert Stefanicki

Możemy czuć rozgoryczenie. Po inwazji Rosji na Ukrainę zachodnie rządy i ich sojusznicy obłożyli agresora tyloma sankcjami, często decydując się na kosztowne wyrzeczenia, nawet wbrew własnej opinii publicznej, że rosyjska gospodarka niczym krążownik „Moskwa” powinna pójść na dno, a Władimir Putin miałby wybór: iść na dno razem z nią albo się z Ukrainy wycofać. Tymczasem produkt krajowy brutto Rosji w 2023 r. urosł powyżej średniej światowej: 3,5 proc. (według prognozy MFW). Bezrobocie jest rekordowo niskie, a Rosjan żyjących poniżej granicy biedy też jest najmniej od trzech dekad. Putin ma się czym chwalić przed marcowymi pseudowyborami.

W sumie nic dziwnego: od dawna wiadomo, że prowadzenie konfliktu zbrojnego pobudza gospodarkę. Podczas I wojny światowej USA przeżyły rozkwit dzięki eksportowi do Europy surowców i gotowych towarów. II wojna nadeszła bezpośrednio po Wielkim Kryzysie i wydawała się go wręcz leczyć. Bezrobocie błyskawicznie spadło o 10 proc. Zaspokajanie potrzeb wojennych przyspieszyło postęp w wielu dziedzinach np. w medycynie. Wstąpienie do armii dawało szansę awansu biednym i mniejszościom, a niedobory cywilnej siły roboczej pomogły w emancypacji kobiet.

Na poziomie makroekonomicznym też da się to wyjaśnić. Załóżmy, że mamy gospodarkę w kryzysie, z wysokim bezrobociem i niską konsumpcją. Nagle rząd rusza z przygotowaniami do wojny. Armię trzeba wyposażać, zbrojeniówka zatrudnia dodatkowych pracowników. Inni znajdują pracę w miejsce powołanych do wojska. Wraz ze spadkiem stopy bezrobocia więcej osób będzie wydawać pieniądze. To pomoże sektorowi detalicznemu, który będzie musiał zatrudnić dodatkowych pracowników, co spowoduje dalszy spadek bezrobocia. W ten sposób tworzy się spirala pozytywnej aktywności gospodarczej.

Gdzie tkwi błąd takiego myślenia? Amerykański dziennikarz Henry Hazlitt zdefiniował go w książce „Ekonomia w jednej lekcji”, przytaczając przykład chuligana rozbijającego szybę sklepową. Właściciel sklepu będzie musiał kupić nowe okno, dając zarobić szklarzowi. Szklarz wyda te pieniądze w innych sklepach i tak w nieskończoność rozbite okno będzie kreować obieg pieniądza i zatrudnienie. Czy zatem chuligana należy pochwalić?

Nie, jeśli się weźmie pod uwagę, że sklepikarz pieniądze wydane na szybę przeznaczyłby na coś innego, gdyby nie musiał wymienić okna. Mógłby np. kupić sobie ciepły płaszcz na zimę, ale w tej sytuacji będzie marzł, a sprzedawca płaszczy nie odnotuje zysku, który mógłby puścić w obieg. Zbicie szyby nie tworzy żadnej wartości dodanej, tylko przesuwą środki z jednej kieszeni do innej i obniża poziom życia.

Złuda rozbitego okna funkcjonuje dlatego, że trudno dostrzec hipotetyczne konsekwencje jego nierozbicia. Zresztą ta sama logika często jest też stosowana do obrony rządowych programów wsparcia. Zysk z 500+ jest namacalny, wyborcy są wdzięczni politykom. Trzeba dopiero wysilić wyobraźnię i posiadać minimalną wiedzę ekonomiczną, aby dostrzec straty wynikłe z tego, że te pieniądze nie zostaną przeznaczone na inne ważne cele socjalne ani na inwestycje po-

prawę jakości życia. Gołym okiem nie widać również obciążeń podatkowych koniecznych do sfinansowania 500+. Itd.

Przekonanie, że wojna jest dobra dla gospodarki bierze się z mocno niedoskonałego wskaźnika, jaki stosujemy. PKB mierzy tylko przepływy pieniężne, a nie ich sensowność. Co więcej, zasoby przeznaczone na wojnę traktowane są jako dobra lub usługi finalne, a nie jako koszty produkcji. Wytwarzanie broni i amunicji liczy się na plus, a zabijanie ludzi i niszczenie rzeczy nie jest uwzględniane – to absurd. Wyobraźmy sobie, że w jakimś kraju wskutek wojny umiera połowa ludności, a produkcja zmniejsza się o jedną czwartą. Statystyki odnotują wzrost PKB na głowę. Czyli na papierze wzrost dobrobytu.

David Suzuki – kanadyjski odpowiednik Davida Attenborough – przytoczył inny absurdalny przykład, aby zilustrować swą naczelną tezę, że z powodu przestarzałego paradygmatu gospodarczego rządy na całym świecie dotują działania szkodzące przyrodzie. Otóż zwiększyć PKB można przez... zanieczyszczenie rzeki. Wtedy będzie potrzebny kosztowny program jej oczyszczenia, a ludzie będą zmuszeni kupować importowane ryby, zamiast je łowić, oraz wydawać pieniądze na wodę butelkowaną, zamiast brać ją z kranu. PKB wzrośnie, tylko jakość życia spadnie.

W rzeczywistości w szerszej i dłuższej perspektywie wojna – tak jak i trucie środowiska – powoduje spadek PKB, a nie wzrost. Wojnę można finansować na trzy sposoby: przez zwiększanie podatków, zmniejszenie wydatków w innych obszarach lub wzrost zadłużenia. Zwiększanie podatków zmniejsza wydatki konsumentckie, co nie pomaga gospodarce. Zmniejszanie wydatków socjalnych i inwestycji niezwiązanych z wojną – tą drogą poszła Rosja – to tylko inny sposób na drenowanie kieszeni obywateli i pogarszanie jakości ich życia. Zwiększanie zadłużenia to sposób na odroczenie opcji pierwszej lub drugiej w czasie. Rachunek będziemy spłacać w przyszłości.

Spójrzmy na inny kraj prowadzący obecnie wojnę. Według niedawnego raportu izraelskiego ministerstwa pracy ponad 760 tys. Izraelczyków – prawie 18 proc. siły roboczej tego kraju – przestało pracować po październikowym ataku Hamasu. Większość została powołana, część to ewakuowani. Szczególnie niepokojący jest niedobór siły roboczej w sektorze zaawansowanych technologii, który odpowiada za prawie 20 proc. PKB i połowę eksportu. Sektor budowlany mocno ucierpiał z powodu cofnięcia przez Izrael pozwoleń na pracę palestyńskim robotnikom. Bank centralny Izraela twierdzi, że niedobór pracowników kosztuje gospodarkę 600 mln dol. tygodniowo, a wzrost PKB za miniony rok wyniesie 1,5 proc. zamiast prognozowanych przed wojną 3 proc.

Centrum Badań nad Polityką Ekonomiczną (CEPR) zagregowało badania dotyczące gospodarczych skutków prawie 400 wojen z ostatnich dwóch stuleci. Te skutki mocno się różnią w zależności od tego, czy patrzymy na agresora, czy na ofiarę. Konflikty toczone na własnym terytorium skutkują znaczną utratą PKB na mieszkańca, ale jeśli kraj prowadzi działania wojenne na ziemi sąsiada, jego PKB może być wyższe, niż gdyby konfliktu nie wywołał. Autorzy badania zauważyli też, że wojny domowe powodują trwalsze negatywne skutki dla gospodarki niż wojny między państwowe.

Gospodarka ukraińska w pierwszym roku wojny straciła jedną trzecią PKB, ale w 2023 r. ożywiła się szybciej, niż prognozowano – w drugim kwartale powrócił wzrost, który w całym roku szacowany jest na 4,5-5 proc. Wcześniej analitycy oczeki-

wali, że będzie to 2,2-3 proc. W nowym roku pomimo wielu negatywnych czynników i niepewnej przyszłości szacunki mówią o wzroście w widelkach 3-5 proc. Nie byłoby to możliwe bez pomocy darczyńców, którzy wpompowali do ukraińskiego budżetu grubo ponad 40 mld dol. (nie licząc pomocy wojskowej) – w tym roku ma być podobnie. Śmierć setek tysięcy Ukraińców, emigracja milionów, trauma, spadek dochodów i zniszczenia wyceniane nawet na 1 bln dol. – te rzeczy trudniej ująć na ekonomicznych wykresach.

W zglobalizowanym świecie koszty wojen nie dotyczą wyłącznie krajów, które je prowadzą. Konsekwencje wojny w Strefie Gazy pośrednio odczuwamy wszyscy, bo ataki z Jemenu na statki transportujące towary do Europy po Morzu Czerwonym spowodowały opóźnienia w dostawach i wzrost kosztów.

Gdyby Rosja nie najechała Ukrainy, PKB Niemiec w czwartym kwartale 2022 r. byłby o 0,7 proc. wyższy, a inflacja o 0,4 proc. niższa – różnica to wynik skoku cen gazu i innych surowców. Bardziej dramatyczny wpływ wojna miała na kraje globalnego Południa, te importujące zboże i surowce energetyczne, które nie mają takiej poduszki bezpieczeństwa jak Niemcy. Eldorado mieli za to eksporterzy tacy jak Katar. I oczywiście producenci uzbrojenia.

Większość problemów z pierwszymi miesiącami po inwazji udało się rozwiązać. W dłuższym okresie odcięcie się Europy od zależności od Rosji może być dla niej korzystne. Rosja też zdołała się dostosować do nowej sytuacji, przekierowując eksport swoich surowców na wschód i południe. Izolacja Rosji za pomocą sankcji przypomina więzienie bez dwóch ścian.

Jednak gospodarka rosyjska ma poważne kłopoty. Jest przegrzana i nie zrównoważona. Ponad jedna trzecia wzrostu PKB wynika z wojny. Kreml przeznaczy na ten cel w 2024 r. 6 proc. PKB, a wraz z wydatkami na bezpieczeństwo narodowe ponad 8 proc. To więcej niż 3,8 proc. PKB, które Stany Zjednoczone wydały podczas wojny w Iraku, ale nadal mniej, niż ZSRR na własną zgubę utopił w inwazji na Afganistan (18 proc.).

Branże związane z obronnością rozwijają się w dwucyfrowym tempie, wysysając pieniądze z budżetu oraz siłę roboczą. Inwazja na Ukrainę spowodowała emigrację blisko miliona Rosjan. Brakuje wykwalifikowanych specjalistów i pracowników fizycznych. Okupacja jest kosztowna. Cztery zaanektowane obwody Ukrainy otrzymały już równowartość 18 mld dol. Odsetek Rosjan żyjących poniżej granicy ubóstwa spadł najbardziej w regionalnych peryferyjnych, które wysłały znaczną liczbę swoich ludzi na wojnę. Tam jest najszybszy wzrost dochodów wśród najuboższych dzięki świadczeniom wypłacanym żołnierzom i rodzinom zabitych.

„Putin stoi przed niemożliwym do rozwiązania dylematem: musi finansować wojnę, utrzymać poziom życia ludności i chronić stabilność makroekonomiczną. Osiągnięcie celu pierwszego i drugiego będzie wymagało większych wydatków, co będzie napędzać inflację i tym samym uniemożliwiać osiągnięcie celu trzeciego”, pisze Alexandra Prokopenko w „Foreign Affairs”.

Problemy strukturalne – w szczególności uzależnienie od dochodów z ropy naftowej i importu, głównie z Chin, a także negatywne trendy demograficzne, które wojna zaostrzyła – prędko nie znikną. Ich rozwiązanie wymagałoby długich reform strukturalnych, których Putin nie podejmie, bo boi się utracić kontrolę, zaś jego obsesyjnym priorytetem jest powybijanie wszystkich okien Ukraińcom. ●

Denver leży 1609 metrów nad poziomem morza, u podnóża Gór Skalistych. Pod koniec października w mieście spadło 20 centymetrów śniegu. Western Motor Inn, motel na skrzyżowaniu Vasquez Boulevard z autostradą międzystanową nr 70 jest od miesięcy nieczynny. Jego właścicielka Yong Cha Prince planowała powrót do Korei Południowej. Plan wziął w łeb, gdy w chłodny październikowy wieczór ktoś zadzwonił do drzwi.

Przyszła na świat w rodzinie uchodźców z Korei Północnej. W 1981 roku za przyszłym mężem przywędrowała przez Pacyfik do Kolorado, aby tam ułożyć sobie na nowo życie. I ona, i on pracowali na dwóch posadach. Soboty przesypiali. Niedziele rezerwowali na kościół. Odłożyli tyle, że starczyło na mały sklep z kanapkami. Potem zamienili sklepik na motel w Aurorze, na przedmieściach Denver. W 2007 roku przejęli Western Inn, bliżej centrum stolicy Kolorado.

Przez dziesięciolecie Prince wstawiała wcześniej i późno kładła się spać, przygotowując śniadania, lunchy i kolacje dla rodziny, pracując na zmiany w recepcji. Niektórzy z przyjaciół uważali, że haruje, aby grać przykładną żonę. Ale dla niej opieka nad bliskimi była sensem życia.

Kilka lat temu mąż zmarł. Gdy półtora roku temu po długich zmaganiach z rakiem umarł jej 33-letni syn, zaczęła jej dokuczać samotność. Nie miała już nikogo, kim mogła się opiekować. Motel aż się prosił o solidny remont. Nie miała ani pieniędzy, ani sił. Postanowiła go sprzedać i wyjechać na dobre do Korei Południowej. Wyobrażała sobie resztę życia w roli misjonarki.

W drzwiach motelu stała Christina Asuncion, mieszkanka Denver, prywatna detektyw. Późnym wieczorem poszła do pobliskiego 7-Eleven po red bulla. Przed wejściem natknęła się na sześciu dygocących z zimna chłopców z Wenezueli. Układali się do snu na trawniku.

Wiedziała, bo o tym się mówiło i pisało, że Denver nie daje sobie rady z napływem migrantów. Większość spała w namiotach rozsianych po mieście. Każdego dnia całe rodziny szukające pracy, te, które miały więcej szczęścia z dachem nad głową, wylewały się z najtańszych miejskich hotelików na chodniki.

Asuncion wiele o tym nie myślała. Ale gdy w mroźny wieczór natknęła się na dzieci, wiedziała, że nie może ich tak po prostu zostawić. Zaczęła wydzwaniać w poszukiwaniu pomocy. Bez powodzenia. Budynek pobliskiego motelu robił wrażenie opuszczonego, na parkingu stało samotnie auto, ale w jednym z pomieszczeń migotało światło. Podeszła z chłopcami i nacisnęła dzwonek.

Drzwi się otworzyły. Tak bardzo się bałam, że powie »nie«), wspomina Asun-

cion ze łzami w oczach. Kiedy Prince zgodziła się przenocować zmarznącą gromadkę, zawiozła towarzystwo po rzeczy pozostawione na większym obozowisku. Przeraziła się, gdy zobaczyła kilkunastoosobową grupę kobiet, dzieci i mężczyzn skulonych i trzęsących się z zimna tak, jakby ich poraził prąd. Czegoś podobnego wcześniej nie widziała. Wróciła do w motelu i zapytała Prince, co musi zrobić, aby reszta tych nieszczęśników znalazła schronienie na noc, no może na kilka nocy. Prince powiedziała: „Przyprowadź ich”. Gdy ich

pomocy. „Przyszli z pustymi rękami” – mówi Prince. „Więc musiałam ich nakarmić”.

Prince i Asuncion rozpoczęły wielką prowizorkę. Nie trzeba było długo czekać, zanim ich wysiłki przyciągnęły uwagę innych. W listopadzie przyszło wsparcie od rozmaitych oddolnych sieci pomocy założonych przez mieszkańców Denver. Członkinie Denver Moms for Social Justice Community skrzyknęły się na Facebooku i zaczęły przynosić pieluchy, koce, żywność, pomagać znaleźć pracę. Chciały jednak dać rodzinom coś więcej niż

szli ludzie z biletami autobusowymi do Nowego Jorku, Bostonu, Chicago i Denver, oferując wybór miasta i wyjazd. Wybrali Kolorado, bo wiedzieli, że będą musieli wrócić do Teksasu na przesłuchania w sprawie azylu. A to bliżej. W październiku przeprowadzili się do Denver. Sypiali na ulicy. Aż trafili na anioła. Quiñones Ramirez nie wierzy w przypadki. „Myślę, że ona jest aniołem, który zstąpił z nieba, bo to było boskim zamiarem”. I dodaje, że jest przygotowana na każdą pracę, jaka może się pojawić. „Szybko się uczę. Mogę sprzątać domy, pra-

Znów, jak przez lata, budzi się przed świtem i przygotowuje śniadanie dla wszystkich: kawa, jajka, bajgle, czasem bekon i ser. Zapelniają się rzędy stołów w holu. Potem członkowie jej nowej rodziny wychodzą, aby szukać pracy albo do szkoły. Wracają na lunch i kolację.

Wszyscy myśleli, że potrwa to kilka dni, że gdzieś znajdą rozwiązanie na dłużej. Tak się nie stało. Z Denver Human Services – czyli urzędu opieki społecznej – wysłano ich do Samaritan House. Tam było pełno, więc następnym przystankiem było Rescue Mission’s Lawrence Street Shelter, którą goście tego schroniska nazywają „Jesus Saves”. Tam kazano im spróbować w Centrum św. Franciszka, gdzie usłyszeli, że muszą zacząć wędrowkę od Denver Human Services. Asuncion opowiada o tym, śmiejąc się i przewracając oczami. Ale rozbawienie szybko mija. „OK, ja mam samochód i benzynę, a zużyłam już pół baku. A ci ludzie nie mają nawet ubrania, w którym można wyjść na mróz”.

Uczucie, które każe pani Prince przyjąć po dach setki nieznajomych, ma wysoką cenę. Nabywca motelu przekazuje jej 50 tys. dolarów miesięcznie. To nie wystarcza na utrzymanie motelu – światło, woda, ogrzewanie i wyżywienie. No i ciągle coś się psuje. Serwis GoFundMe, prowadzony przez wolontariuszy, pomaga zbierać środki. Ale to nie będzie trwać wiecznie. W lutym będzie musiała zamknąć Motor Inn na dobre. Rozważa inwestycję w nieruchomości w Lakewood, w obrębie aglomeracji Denver, aby nadal pomagać migrantom, gdy będą musieli opuścić jej i ich dom. Bo tak o nim mówią: „nasz dom”.

Pomysł wyjazdu z kraju umarł. „Bóg oszczędził mi lotu”, mówi Prince.

W zeszłym roku ponad 33 tys. migrantów otrzymało pomoc w Denver. Wielu zatrzymało się w schroniskach sponsorowanych przez miasto, ale dla Ramirez i Torrealba miejsca zabrakło. Musieli szukać dalej, a zbliżała się zima, jakiej nie znali. Zanim trafili do Western Motor Inn, spędzili kilka nocy w parku w pobliżu budynku opieki społecznej. Potem wynajęli pokój na jedną noc, bo już tylko na tyle mogli sobie pozwolić. Chcieli się ogrzać. Dziś Ramirez mówi, że wierzyła w cud.

Do motelu zaglądają także mniej pożądani goście. Inspektorzy z miejskiego departamentu zdrowia publicznego i środowiska zostawiają na drzwiach zawiadomienia o naruszeniach przepisów mieszkaniowych. Grzywny za uszkodzone okna, niezabezpieczone drzwi, którym brakuje klamek i zamków, niesprawne zlewozmywaki bez bieżącej wody czy armaturę toaletową bez pokrywy i deski sięgają 40 tys. dolarów. Urzędnicy pocieszają panią Prince, że może się odwołać od nałożonych kar.

Denver wydało miliony na pomoc dla migrantów, ale to kropla w oceanie potrzeb. Podobnie jak wiele miast stara się dotrzymać kroku dziesiątkom tysięcy

DAJCIE MI SWOICH BIEDNYCH TLUMY CALE*

Znów, jak przez lata, Yong Cha Prince budzi się przed świtem i przygotowuje śniadanie: kawa, jajka, bajgle, bekon i ser.
Ale już nie dla męża i syna, lecz dla trzystu migrantów

Andrzej Lubowski

przyprowadziła, usłyszała tylko: „Przyjdź jutro i pomóż”. „Wróciłam do mojego ciepłego domu i pomyślałam: Boże, bardzo ci za nią dziękuję”.

W ciągu kilku dni Western Motor Inn zapelnił się po brzegi. W jego pokojach, które nigdy nie oglądały świetności, lecz głodnym, bezdomnym i zmarzniętym wydawały się pałacem, znalazło schronienie przeszło 300 osób. Za darmo. Większość to przybysze z Wenezueli, Gwatemali i Kolumbii. Większość po raz pierwszy zobaczyła śnieg. Gospodyni „pałacu” nie wiedziała, kim byli. Wiedziała tylko, że potrzebują

przetrwanie. Pierwszego grudnia pod Western Motor Inn zajęchały auta z dekoracjami świątecznymi i choinką, którą ozdobili mieszkańcy motelu. Potem auta wróciły załadowane prezentami.

Rayza Norvely Quiñones Ramirez i jej mąż Marvin Torrealba wyjechali z Wenezueli wczesnym latem. Zostawili z dziadkami trójkę dzieci i ruszyli do Ameryki w poszukiwaniu pracy. Przekroczyli granicę w El Paso, w Teksasie. Spędzili tydzień w celi imigracyjnej. Mieli tylko dokumenty i telefon. Ramirez opowiada, że któregoś dnia do kościoła, w którym się zatrzymali, przy-

cować w biurze, wykonywać dowolną pracę administracyjną”. Ona i Torrealba zostali zaufanymi asystentami „mamy Prince” choć nie znają angielskiego, a ona hiszpańskiego.

13 grudnia pomogli zorganizować niespodziankę dla Prince. O 5 rano z dwudziestką innych gości zapukali do jej drzwi, zanim zdążyła przygotować śniadanie. Wyśpiewali jej życzenia urodzinowe, wypełnili hol owocami i balonami. „To były naprawdę najlepsze urodziny w moim życiu” – powiedziała tego wieczoru. „Mamo, mówią do mnie, wszyscy mówią do mnie mamo”.

ludzi szukających możliwości po przekroczeniu południowo-zachodniej granicy. Rozbudowano sieć schronisk, lecz miejsc wciąż brakuje. Na ulicach, w parkach i miejscach publicznych wyrosły kolonie namiotów, gdzie ludzie próbują przetrwać mroźne zimowe noce Gór Skalistych.

Yong Cha Prince, lat 73, znalazła nowy sens życia. Powtarza: jeśli ktoś jest głodny, niech wejdzie.

Yong Cha Prince nie doczeka się medalu od Trumpa, bo on gości jej motelu, a raczej jej nową rodzinę, uważa za niebezpieczne robactwo, które trzeba wyplenić. Jeśli inaczej się nie da, to siłą armii USA. Jego bohaterowie to ci, którzy trafili za kratki za „patriotyczny marsz na Kapitol w proteście przeciwko skradzionym wyborom 2020 roku”.

Przez pryzmat stanowiska w kwestii imigracji, bardziej niż w jakiegokolwiek innej, widać jak na dłoni najobrzydliwsze impulsy Trumpa: jego nieskrywany rasizm, nienawiść do ludzi o innej cerze, brak empatii, pogardę dla ludzi słabszych i bezbronnych. Niektóre słowa są jak żywcem z „Mein Kampf”: „Zatruwają krew narodu”, „Mogą przynieść choroby, które rozprzestrzeniają się w naszym kraju”, „Żyją jak robactwo”.

Balagan na południowej granicy, obleganej przez rekordowe masy migrantów – o czym za chwilę – to dla Trumpa atrakcyjne paliwo wyborcze. Wcześniej straszył widmem kataklizmu ekonomicznego, jaki nieuchronnie miał wywołać Biden. Ostrzegając, że „senny Joe” jak amen w pacierzu zepchnie gospodarkę w przepaść, pozbawi ludzi pracy, doprowadzi do upadku giełdy i niepohamowanej inflacji. Okazał się wyjątkowo kiepskim prorokiem. Gospodarka ma się świetnie. Stopa bezrobocia spadła do 3,7 proc., a w przypadku czarnych i Latynosów do rekordowo niskiego poziomu. Inflacja wyhamowała. Rynki akcji ocierają się o kolejne rekordy.

W tej sytuacji jako niezawodny straszak został mu strach przed imigrantami. Wierzy, że nie ma lepszego sposobu na zdobycie władzy i jej utrzymanie, niż ludzi podzielić, potem ich postraszyć i przekonać, że on ich przed zagrożeniami obroni.

Wprawdzie prezydenturę w 2017 roku zaczął od decyzji zmierzających do rozmontowania Obamacare, systemu publicznej opieki zdrowotnej, ale już kilka dni później wziął się za politykę imigracyjną. Na 120 dni zawiesił program przyjmowania uchodźców i na 90 dni zakazał wjazdu mającym wizę amerykańską obywatelom siedmiu krajów muzułmańskich. Zaostrzył przepisy dotyczące deportacji. Nakazał budowę muru wzdłuż granicy z Meksykiem. „Zapłaci Meksyk”, mówił. Do tej części, którą za ciężkie pieniądze postawił, sąsiad się nie dołożył.

Dziś sytuacja na południowej granicy stała się centralnym punktem konfliktu między Demokratami i Republikanami, którzy uczynili dużo ostrzejszą kontrolę warunkiem

przyznania Bidenowi funduszy na wsparcie Ukrainy i Izraela.

Ale kryzys migracyjny rozpałił się nie dlatego, że nie ma obcane go muru – ów miał chronić przed tymi, którzy przekraczają granice nielegalnie. A ludzie dziś idący do USA po lepsze życie, a często wręcz po życie, chcą ją przekroczyć legalnie. „Po mojej inauguracji natychmiast skończę z polityką otwartych granic prowadzoną przez administrację Bidena” – oznajmił niedawno Trump.

Sytuację na granicy z Meksykiem coraz częściej niektórzy nazywają kryzysem humanitarnym. Tych, którzy legalnie przekraczają granicę, republikańskie rządy stanowe często po prostu nie chcą. Dlatego fundują im bilety do wielkich miast w stanach rządzonych przez Demokratów. Tak jak małżeństwu z Wenezueli, które trafiło pod dach motelu pani Prince – w Teksasie proponowano im autobus do Nowego Jorku, Bostonu, Chicago i Denver.

Republikanie krytykują Bidena za to, że jest zbyt miękki. Organizacje zajmujące się prawami imigrantów za to, że jest zbyt twardy. Na przykład za to, że kontynuuje budowę muru granicznego. Administracja twierdzi, że miała obowiązek wykorzystać już przyznane fundusze i że polityka Bidena dramatycznie się różni od polityki Trumpa. W największym skrócie różnica polega na tym, że gdy Republikanie chcą radykalnie zaostrzyć prawo imigracyjne, mniej ludzi wpuszczać i uprosić procedurę deportacji, polityka Bidena zakłada karanie osób przekraczających granicę bez dokumentów przy jednoczesnym poszerzeniu legalnych możliwości ubiegania się o wjazd do USA. Prezydent chce, aby bardziej zdecydowanie egzekwować prawo już istniejące. Do tego trzeba więcej ludzi, więcej środków. Biden zwrócił się do Kongresu o pieniądze na tysiące dodatkowych agentów straży granicznej, funkcjonariuszy do spraw azylu, sędziów imigracyjnych oraz na różne ulepszenia technologii.

Alejandro Mayorkas, sekretarz bezpieczeństwa krajowego, czyli minister bezpieczeństwa wewnętrznego, odpowiedzialny za sytuację na granicach, człowiek, którego głowy domagają się Republikanie, przyznaje, że polityka imigracyjna „pilnie potrzebuje reform”, ale do tanga trzeba dwojga.

Biden wznowił loty deportacyjne do Wenezueli. „Bardzo ważne jest, aby Wenezuelczycy zrozumieć, że ci, którzy przybyli tutaj po 31 lipca 2023 roku, zostaną wydalen, gdy okaże się, że nie mają podstawy prawnej do pobytu”.

Amerykańska Unia Wolności Obywatelskich domaga się zadośćuczynienia dla ponad 5500 rodzin rozdzielonych przez administrację Trumpa. Biden traktuje jako jeden z priorytetów łączenie dzieci z deportowanymi rodzicami, określając istniejącą sytuację jako „moralny i narodowy wstyd”.

Administracja Trumpa odmawiała imigrantom stałego pobytu lub zielonej karty, jeśli wiązały się z tym finansowe ciężary dla sektora publicznego, takie np.

3,7

DO PROC.

• **spadło bezrobocie za kadencji Bidena**

717

TYS.

• **Meksykanów przekroczyło legalnie granicę z USA w 2023 r. w 2019 – 298 tys.**

13

Z

TYS. OSÓB

• **do 142 tys. wzrosła liczba Kubańczyków na amerykańskich przejściach granicznych**

100

TURKÓW

• **chciało dostać się do USA trzy lata temu – nie-
długo potem już 15 tys.**

93

Z

OSÓB

• **do 25 tys. przez pierwsze osiem miesięcy wojny wzrosła liczba Ukraińców starających się wjechać do USA. Rosjan – z 467 osób do prawie 22 tys.**



FOT: REUTERS/CHENEY ORR

jak dotacje mieszkaniowe. Biden chce przywrócić system azylu – i zrobić coś, aby pomóc osobom, które utknęły w obozach na granicy. Tysiące Ukraińców czekają na rozmowę kwalifikacyjną od sześciu miesięcy. Są zmęczeni. To pół roku prób związania końca z końcem. Niektórzy zaczynają rozważać próbę nielegalnego przekroczenia granicy.

A tymczasem Trump wali jak w bęben: „musimy posprzątać nasz kraj”, pozbyć się „handlarzy narkotyków”, „członków gangów”, „przestępców” i „osób przebywających w zakładach psychiatrycznych”, które „najeżdżają” nasz kraj. Trafia do wyborców, bo przecież kto broni gangsterów i handlarzy narkotyków, proszę podnieść rękę? Nie widzę. Nikt. Więc gość ma rację.

Sprawy się komplikują, gdy obiecuje militaryzację granicy czy zapowiada przeprowadzenie „największej operacji deportacji w Ameryce”. Napomyna przy tym, że w tym celu może użyć „tysięcy żołnierzy stacjonujących obecnie za granicą w krajach, które nas nie lubią”. Tu akurat trzeba go słuchać uważnie, bo jak ujawniono, w lutym 2019 roku był o krok od podjęcia decyzji, aby siłą, przy pomocy armii, wydaląc imigrantów ze Stanów Zjednoczonych. Doradcom udało się to Trumpowi wyperswadować, tym razem jednak, jeśli wróci do Gabinetu Ovalnego, będzie miał bardzo spolegliwych – to już wiadomo. Oświadczył również, że „przeniesie ogromną część federalnych organów ścigania do organów imigracyjnych”.

Południowa granica Stanów Zjednoczonych bardzo się zapchała w krótkim czasie – a jednocześnie zmienił się skład narodowościowy migrantów. Jeszcze 10 lat temu ponad 80 proc. przekraczających legalnie granicę USA – Meksyk stanowili Meksykanie (ilu ją przekroczyło nielegalnie, oczywiście nikt nie wie). Później z rozmaitych powodów ten odsetek zaczął się gwałtownie kurczyć, choć liczba nieustannie pięła się w górę (z 298 tysięcy w 2019 r. do 717 tysięcy w 2023 – wszystkie dane za rok fiskalny, od października do września). Następne miejsca w statystykach zajmowały Gwatemala, Honduras i Salwador – ale poprawa sytuacji w Salwadorze – to osobny temat – sprawiła, że kraj ten zniknął ze statystyk służb granicznych, czy raczej wszedł do kategorii „reszta”.

Dramatycznie wzrósł natomiast napływ migrantów z trzech lewicowych dyktatur: Kuby, Wenezueli i Nikaragui. Katastrofa gospodarcza i represje polityczne skłoniły desperowanych ludzi do ucieczki, a ich rządy zaczęły na ten exodus patrzeć łaskawszym okiem i nawzajem się w tym procederze wspomagać. W 2021 r. Nikaragua zniosła obowiązek wiz dla przybyszy z Kuby, co otworzyło im drogę granicy z Ameryką. Liczba Kubańczyków na przejściach granicznych z USA skoczyła jedenastokrotnie! – z 13 tysięcy w 2019 do 142 tys. cztery lata później. W 2022 r. 2 proc. ludności Kuby stało na granicy Meksyku z USA w nadziei na wjazd do Ameryki.

W przypadku Wenezueli skok jest jeszcze większy: z niespełna 3 do 188 tys. Raj, w jaki zamienili kraj towarzysze Chávez i Maduro, opuściło w różnych kierunkach ponad 7 milionów obywateli. Podobny entuzjazm dla comandante Ortegi wykazują obywatele Nikaragui – na granicy z USA zjawiało się ich 100 tys. wobec zaledwie 2 tysięcy cztery lata wcześniej.

Kolumbijczyków przegnał na tę granicę strach przed przemocą gangów – w 2019 r. było ich cztery setki, cztery lata później 160 tys. 150-krotnie skoczyła liczba Peruwiańczyków, 17 razy obywateli Haiti. Ogromny wzrost przestępczości i przemocy w Ekwadorze, łącznie z zabójstwem kandydata na prezydenta, zakłócanie przez gangi nauki w szkołach, wywoływanie takiego strachu i rozpacz, że coraz większa liczba Ekwadorczyków opuszcza kraj. Ich liczba na przejściach granicznych USA-Meksyk wzrosła z 12 tys. w 2019 r. do 116 tysięcy w 2023. Od ostatniego roku przed covidem do dziś nie ma się potroiła liczna przybyszy z reszty świata – z 136 do 389 tys. osób.

Nagle zaczęło pojawiać się wielu obywateli Indii, co może wiązać się z dyskryminacją mniejszości muzułmańskiej.

Miłość do Erdogana masowo demonstrują Turcy. W Meksyku do drzwi Ameryki pukała ich setka 3 lata temu. Niedługo potem było ich ponad 15 tys.

Zaś wojna Putina sprowadziła w to miejsce po raz pierwszy tysiące Ukraińców i Rosjan. Liczba Ukraińców skoczyła z 93 osób do przeszło 25 tysięcy. Rosjan – z 467 osób do prawie 22 tysięcy. A dane obu krajów obejmują tylko 8 miesięcy pierwszego roku wojny, więc dziś może ich tam być znacznie więcej.

Ta wylicznica służy zobrazowaniu skali problemu. 997 tys. ludzi na południowej granicy USA w 2019 r. zmieniło się w 2,476 miliona. Tych ludzi w drogę, dla wielu bardzo skomplikowaną trasą, gna czasem strach, czasem nędza, a zawsze nadzieja na lepsze i bezpieczniejsze życie.

Można im zamknąć drzwi przed nosem, jak chce Trump i miliony jego fanów, albo spojrzeć na imigrantów jako potencjał, jaki stanowili dla Ameryki w całej jej historii. Obie matki dzieci Trumpa, Ivanka i Melania, są imigrantkami. To prawda, że dysponowały tymi atutami, których wielu tłoczących się na granicy z Meksykiem pewnie nie ma. Ale zapewne wielu ma inne, nie mniej cenne. ●

*Fragment wiersza (w przekładzie Wiktora J. Darasza) Emmy Lazarus umieszczono na cokole Statuy Wolności

FOT. WIKIMEDIA COMMONS (3)

Wystarczy mieć oczko.
Widzieć – nie tylko
patrzeć. Ludzie o świeżym,
niezawodowym podejściu
do sztuki widzą całkiem
sporo, lecz boją się mówić
o swoich spostrzeżeniach.

Plastikowe nenufary

Z **GRAŻYNA BASTEK***, HISTORYCZKĄ SZTUKI,
PO MUZEUM NARODOWYM
W WARSZAWIE CHODZI **WOJCIECH SZOT**

– Są święta czy ferie. Idziemy na spacer. To może – pomyśli ktoś – muzeum? Gdy jesteśmy w Warszawie, możemy pomyśleć – Muzeum Narodowe! Gdzie skierować swoje kroki?
– Najpierw lepiej sprawdzić, czy muzeum jest otwarte. A dokąd pójść? To już zależy od tego, co się lubi.

A jak się nie wie, co się lubi?
– To wtedy zaczyna się męka.

Często widzę zmęczonych ludzi, którzy idą w równym tempie, monotonnym krokiem, idą i idą... Spoglądają na podpisy, przez chwilę patrzą na obrazy, pomiędzy tym czytają korespondencję w telefonie. Są w muzeum, bo tak nakazuje im obowiązek społeczny. Jeśli ktoś przyjechał do Warszawy i ma trochę wolnego czasu, to czuje konieczność odwiedzenia Muzeum Narodowego. Wciąż – może i na szczęście – wielu osobom głupio tu nie przyjść. A ten, któremu głupio, ale nie wie, co lubi, będzie się męczył.

Warszawskie Muzeum Narodowe nie jest takim kolosem jak Luwr, można je przejść całe, chociaż i to nie jest łatwe. Można zacząć od galerii Faras, pięknej, niezbyt dużej. Później mamy starożytność i średniowiecze. Obie te galerie zwiedza się bardzo przyjemnie. Następnie czeka malarstwo polskie na pierwszym piętrze. To już duża galeria, ale ciekawa – jest w niej wiele obrazów znanych z podręczników czy tak po prostu, bo od dzieciństwa mamy je w oczach, a lubimy oglądać to, co już dobrze znamy. Spore wyzwanie dla nóg i lędźwi, ale dużo starych, dobrych znajomych. A jest jeszcze drugie piętro. Cieszę się, gdy ktoś tu dotrze.

Co tu jest?

– Galeria Sztuki Dawnej. Wydaje mi się najtrudniejsza, wymaga większej umiejętności patrzenia, nie jest oczywista, znajdujące się w niej dzieła są mniej rozpoznawalne, bardziej hermetyczne dla współczesnego widza.

Czym jest „umiejętność patrzenia”?

– Popatrz na ten kapelusz. Czyż nie zaskakuje? Dzisiaj to czarna płaska plama, wygląda jak narośl na głowie Anny z Branickich Lubomirskiej. Pierwotnie jednak ten kapelutek zapewne miał jakąś formę, jeszcze można dostrzec postrzępione brzegi. Jednak od czasu jego namalowania zmieniła się struktura farb, być może nastąpiły przemycia, które zniszczyły modelunek światłocieniowy. Kapelusz z wyrazistej bryły stał się płaskim naleśnikiem.

Dużo możemy dowiedzieć się o tym obrazie, po prostu patrząc na niego?

– Domyślamy się, że modelka pochodziła z zanego rodu i była raczej zamożną osobistością. Patrząc na nią, dostrzegamy, że kazała się namalować w konwencji królewskiego portretu, a więc całej postaci, z ręką opartą o stół, pod podwieszoną kotarą. Tak się portretowali władcy i arystokraci. Stoimy zatem przed dużym portretem reprezentacyjnym. I to można dostrzec, nie będąc historykiem sztuki.

Jeżeli się widzi więcej – wciąż nie będąc osobą wykształconą w tym kierunku, a po prostu umiejacą patrzeć – to się dostrzeże, że autor dzieła nie był najwybitniejszym mistrzem malarstwa. Jeśli ktoś widział portrety Velázqueza, jego wizerunki hiszpańskich królowych, ten wie, że autor naszego portretu nie zostałby zatrudniony przez Habsburgów. Zresztą mamy w tej galerii wybitne przykłady reprezentacyjnych wizerunków, chociażby „Portret Johana Mauritsa van Nassau-Siegen”, autorstwa Pietera Nasona. Dzieło mistrzowskie, najwyższej próby.

Dlaczego Anna z Branickich, którą pewnie było stać na lepszego twórcę, wybrała kogoś tak mało wybitnego?

– Ciekawe, czy była ze swojego portretu zadowolona? Ale tego się raczej nie dowiemy. Dlaczego wybrała takiego twórcę? Może nie było nikogo lepszego na podorzędziu? A ten był wówczas w Krakowie najlepszy?

Można o nim mówić „artysta”?

– Zależy, co rozumiemy przez to słowo. W XVII wieku, gdy wykonano ten obraz, każdy malarz był, po pierw-

sze, usługodawcą. Nie był artystą w dzisiejszym rozumieniu, z przyzwoleniem na wolność twórczą, a nawet ekstrawagancję. Był całkowicie uzależniony od zleceniodawców. Nie sprzedawał obrazów na wolny rynek. Co prawda zjawisko handlu obrazami istniało w czasach nowożytnych, choćby w XVII-wiecznej Holandii, jednak na szeroką skalę pojawiło się dopiero w XIX wieku. Dawniej, aby istnieć, trzeba było zdobywać zamówienia, wysokość wynagrodzenia zależała od tego, dla kogo i co się realizuje, no i – rzecz jasna – od własnej reputacji.

Wybitni artyści istnieli zawsze. W dodatku ci najwybitniejsi przekazali nam o sportretowanych przez siebie osobach znacznie więcej, niż modelom mogłoby się wydawać.

Zastanówmy się, co Rafael zobaczył w papieżu Juliuszu II? Schorowanego starego człowieka, który kurczowo trzyma się oparcia fotela. Jest tak stary i schorowany, że ledwo siedzi. Pewnie wszystko go boli, a wiemy, że cierpiał na artretyzm. Nawet gdybyśmy tego nie wiedzieli, to wystarczy popatrzeć na obraz, który znajduje się obecnie w National Gallery w Londynie.

Wybitny portret to taki, który mówi nam o wiele więcej, niż chciał tego zleceniodawca. Innocenty X raczej nie polecił Velázquezwowi, aby ten uchwycił jego irytację. Już nawet współcześni papieżowi podkreślali, że portret jest „troppo vero”, czyli zbyt prawdziwy. A co widzimy na twarzy Anny Lubomirskiej?

Autorowi tego portretu niewiele udało się powiedzieć o modelce. Widzimy, że pani była zamożna, założyła do portretu najlepsze klejnoty, wykrochmaliła, a raczej zrobiły to jej służące, koronkowy kołnierz. Przywdziała zapewne najlepszy strój, jaki posiadała. I najlepszy kapelusz, który dziś przypomina czarny naleśnik, ale był chyba z piór, a może z futra... O, tu są wciąż widoczne delikatne niteczki na brzegu kapelusza. Tak, to było futro, i to w komplecie z peleryną, która podbita jest identycznym materiałem.

Powoli chyba rozumiem, co znaczy „umieć patrzeć”. Tylko że ty to robisz zawodowo i od lat...

– Tak, to mój zawód, umiem umieścić obrazy w epoce, regionie, w których powstały, odczytać artystycz-



• **Autor nieznany (malarz z kręgu Lukasa Cranacha Starszego), „Bitwa pod Orszą”**

scach, ważnych dla przebiegu bitwy, pokazują się dowódcy polskiej armii. Lecz obraz nie jest wcale taki statyczny – zmrzuć oczy, zobacz, jak się wszystko tu porusza.

„Bitwa pod Orszą” nie zachowała się w oryginalnym wymiarze, dlatego tak trudno nam się zorientować w jej kompozycji. Dniepr, nad którym się rozegrała w 1514 roku bitwa z wojskami moskiewskimi, widzimy tylko na dole i po prawej stronie obrazu, a pierwotnie opływała najprawdopodobniej półkołem całą bitwę – na dole i po lewej stronie. Gdy przyglądamy się górze obrazu, również widzimy, że został brutalnie przycięty. Nie wiemy, czy oryginał dorównywał wielkością przedstawieniu bitwy Aleksandra Wielkiego pod Issos namalowanemu przez niemieckiego mistrza Albrechta Altdorfera. I czy podobnie jak u Altdorfera nad sceną bitwy unosiło się słońce i fantastycznie namalowane niebo. Może tutaj też tak było?

Może trzeba by to domalować?

– Obawiałabym się tego pomysłu. Gdybyśmy tak robili ze wszystkimi uciętymi i zmienionymi dziełami, to by-

Trzy obrazy za nami w 20 minut. Co dalej?

– To może zajrzyjmy do sali z Botticellim, ale nie dajmy się omamić magii słynnego nazwiska. Bo Botticelli to wielki malarz, lecz nasz obraz nie należy do wyjątkowych w jego twórczości. Moim zdaniem to nie florencki mistrz jest tu najważniejszy i to nie jego dzieło jest najciekawsze w tej sali.

Stoi przed nim klęcznik, wisi w centralnym miejscu, nie da się od niego uciec.

– To największy obraz w tej sali. Jest tondem, czyli ma okrągły kształt, chociaż znajduje się kwadratowej, niezbyt ładnej XIX-wiecznej ramie. Świetnie nadaje się do wyeksponowania w centralnym miejscu. Gdziekolwiek indziej wyglądałby źle. Nie jest to jednak arcydzieło z warsztatu Botticellego, jak „Primavera” czy „Narodziny Wenus”, lecz typowy produkt jego pracowni. Być może oprócz samego mistrza również ktoś z warsztatu maczał w nim palce. Nie wyróżnia się niczym specjalnym na tle innych przedstawień Madonny z Dzieciątkiem w otoczeniu aniołów i świętych. To dzieło, którego po najsłynniejszym florenckim Madonniere, czyli mala-



▲ **Cima da Conegliano „Chrystus wśród doktorów”**

łoby nie do zniesienia. Ale na wystawie czasowej takie rekonstrukcje byłyby ciekawe... Czemu nie. O, to bardzo dobry pomysł. Pozwolisz, że go sobie wezmę? Wystawa zrekonstruowanych obrazów... Jest wiele sposobów, na jakie można opowiedzieć, co się stało z dziełami sztuki, i je „naprawić” lub uzupełnić, chociażby w rekonstrukcjach cyfrowych albo animacjach pokazujących zmiany w przyspieszonym czasie.

Może też pokolorować? Widziałem, jak na wystawie grafik Picassa w Muzeum Narodowym widownia po zobaczeniu dziesiątek czarno-białych grafik szybko przesuwała się do tych w kolorze, jakby z ulgą, że w końcu coś kolorowego.

– Myślisz, że czarno-białe jest nudne? Szkoda, bo lubię dzieła czarno-białe i monochromatyczne.

Tutaj, w galerii malarstwa europejskiego, jest kolorowo, chociaż nie zawsze występują jaskrawe barwy, czasem dominują stłumione tonacje, gra walorem. Zobacz ten obraz – „Wskrzeszenie Łazarza” – namalowane przez ucznia Rembrandta, Carela Fabritiusa. Uważa się, że był to jego majstersztyk, czyli obraz mistrzowski, przygotowywany po ukończeniu nauki, by pokazać światu, że jest się już w pełni ukształtowanym malarzem. Fabritius malował go w stylu Rembrandta, bo nie miał jeszcze własnego. Uczył się od wielkiego mistrza, którego chyba nawet w tym obrazie sportretował. Oświetlona twarz w centrum obrazu to być może Rembrandt.

Co widzisz w tym obrazie?

Białe szaty Łazarza. Czyste jak na trupa. Ale chyba najbardziej mnie uderza to, że wszyscy – Chrystus i inni – są zwykłymi ludźmi, ziemscy. Jakiś zwykły ten cud się okazuje. A ty na co patrzysz?

– Na to, co oni robią wokół grobu. Każdy ze świadków cudu reaguje na niego inaczej – są zaciekawieni, lecz także przestraszeni, zaskoczeni, odwracają się. Ktoś się śmieje, choć to pewnie nerwowo śmiech. Szaty może i są czyste, choć pewnie śmierdzą, przecież Łazarz spędził w ziemi kilka dni! I to również chciał nam Fabritius pokazać. Namalował zapach.

rze Madonn, spodziewali się jego klienci. Wisiał w domowej, a może kościelnej kaplicy i przypominał wiele podobnych zamówień, ale nie dorównuje „Madonnie del Magnificat” z Uffizi.

Jednak gdy się obrócimy, zobaczymy dzieło wyjątkowe – „Chrystusa wśród doktorów” Giovanniego Battisty Cimy da Conegliano, namalowanego dla nieznanego weneckiego kolekcjonera i humanisty, na pewno na specjalne zamówienie.

Pozornie zwyczajny obraz – Chrystus wśród mędrców żydowskich.

– Pozornie. Praktykujący katolik powinien rozpoznać temat bez trudności. Niepraktykujący i niewierzący pewnie też. Jest w nim jednak coś niezwykłego. Nie jest to typowe przedstawienie Chrystusa wśród mędrców żydowskich. To trochę oszustwo. Ale humanistyczne oszustwo.

Kogo tu mamy?

– Po prawej – katolickiego biskupa z rotulusem oznaczającym Nowy Testament i zamkniętą księgę Starego, po lewej kapłana żydowskiego z otwartymi księgami Starego Testamentu, a pomiędzy nimi znajdują się również wyznawcy Mahometa.

Wyjątkowe jest to, że na obrazie znajdują się też przedstawiciele islamu, którzy poprzez kontakty handlowe i polityczne byli obecni w XV-wiecznej Wenecji. Mamy zatem trzy wielkie monoteistyczne religie, a pośrodku nich Chrystus z monogramem alfa i omega wyhaftowanym na koszuli. A to jeszcze nie koniec – w tle, za „mędrcami”, można dostrzec dwa profile: Dantego – najważniejszego poety chrześcijaństwa – oraz Wergiliusza, czyli pogańskiego poety, który według ówczesnych humanistów i teologów przewidywał przyjście Chrystusa.

Zatem Chrystus znajduje się pomiędzy wyznawcami różnych religii, ale też pomiędzy cywilizacjami, pośrodku czasu i historii. Dyskutuje, na palcach wylicza argumenty, jest skupiony, ma przymknięte oczy. Zastanawia się nad kolejnym argumentem. A może zamilkł, a towarzysze reagują na to, co powiedział? Nie jest tu cicho.

ne powiązania. Jednak żeby dostrzec, że nie jest to wybitny portret, wystarczy mieć oczko. Widzieć – nie tylko patrzeć.

Ludzie o świeżym, niezawodowym podejściu do sztuki widzą całkiem sporo, lecz boją się mówić o swoich spostrzeżeniach. Pewnie dlatego, że w Polsce panuje przekonanie, że na sztuce trzeba się znać. I wiele osób, gdy mówi o tym, co widzi, dodaje asekuracyjnie: ale ja się nie znam. I wycofuje się z własnych sądów, które często bywają trafne i ciekawe. Wynikają z prostej obserwacji, osobistych czy zawodowych filtrów, a czasem ich całkowitego braku.

Zaczęliśmy rozmowę od tego, czy publiczność w muzeach wie, co lubi. Wydaje mi się, że zwykły osąd – podoba mi się, nie podoba – jest kluczowy. Historycy sztuki ze swoimi kategoriami wartościowania stanowią niewielki promil publiczności muzealnej. Jednak muzea nie są dla nich, chociaż to oni je tworzą.

Coś podobnego dzieje się z literaturą. Czytelnicy, zapytani o książki, często boją się mówić o swoich odczuciach, wrażeniach, zwłaszcza negatywnych. „Nie znam się” jest jak zaklęcie zabezpieczające przed skutkami tego, co zostało wcześniej powiedziane. Na wszelki wypadek...
– ...a na tym obrazie co widzisz?

Galimatias. Tłum walczących ze sobą postaci. Ale dość statycznie. Najwięcej się dzieje w prawej dolnej części obrazu.

– Tak, to bardzo ważny, strategiczny dla zwycięstwa moment bitwy pod Orszą. Przetaczanie olbrzymiej armaty przez sklecony na szybko pontonowy most. I znowu mówię to, co wiem, nie o tym, co widzę. Nie jest łatwo zrezygnować z wiedzy, ale co zrobić?

Część tego obrazu wygląda, jakby namalowała go sztuczna inteligencja, dziesiątki identycznych żołnierzyków.

– A jak inaczej pokazać, że tych żołnierzy było kilkadziesiąt tysięcy? Rzecz jasna, walczące strony i ich poszczególne formacje różnią się od siebie. W kilku miej-

Poczekajmy tu chwilę, mamy gościa.

– Dzień dobry, czy pani by spojrzała na ten obraz, gdybyśmy przy nim nie stali?
– *Chyba nie. Ale słyszałam, jak pani opowiadała. Wtedy się odwróciłam. Tam w środku to Jezus?*

Tak, niech pani mówi.

– *Jakiś taki inny.*

To chłopiec. Ma 12 lat. Zapodział się w świątyni i zaczął rozmawiać z uczonymi w Piśmie. Zazwyczaj pokazywano tę nowotestamentową opowieść w chwili, gdy Maria z Józefem odnajdują syna, stoją w oddali i patrzą, jak Jezus rozprawia z mędrca-
mi. Tutaj nie ma narracyjnej opowieści. Jest wyjątkowa scena, wymyślona specjalnie dla tego dzieła. Przesłania obrazu nie stworzył sam malarz. Artyści dawni nie posiadali wszechstronnego wykształcenia, dzisiaj ich kształcenie nazwalibyśmy zawodowym. To musiał zrobić humanista.

A czemu przyszła pani do muzeum?

Przyjechaliśmy do Warszawy na spotkanie i mam trochę wolnego. A czemu? Żeby zobaczyć. Tak, żeby coś zadziało na mnie.

I całe muzeum pani obesza?

Byłam na Arkadii i Picassie [wystawy czasowej]. Fajne to było. Malarzy polskich też przeszłam. A tu weszłam, bo ktoś mi powiedział, że tu jest Botticelli. Ale nie wiem... Jak na mój gust to on nie działa. To nie dla mnie. I usłyszałam, o czym pani mówiła. I rzeczywiście, podoba mi się ten obraz.

Ma pani oczko!

To jeszcze coś wam opowiem. Popatrzenie na detale na obrazie Cimy da Conegliano.

Jest znakomicie namalowany, już całkowicie w technice olejnej, dzięki której każda materia jest świetnie oddana – włosy, złote nici, tkaniny, a do tego jaki mięciutki modelunek! Umieszczenie Chrystusa pomiędzy epokami pokazują nawet wzory tkanin. Kapa katolickiego biskupa ma ornamenty wykonane zgodnie z najnowszą modą, a mędrzec żydowski po drugiej stronie ubrany jest w szatę o staromodnym wzorze. Nawet to pokazuje przejście od starego porządku do nowego. Lecz to wiedza dla wtajemniczonych, wiem o tym dzięki moim koleżankom zajmującym się w muzeum historią tkanin i ubiorów.

Patrząc na nie, pomyślałam o Ewie Juszkiewicz, artystce, która właśnie bije rekordy aukcyjne i która nawiązuje do dzieł dawnych mistrzów.

– Tak, Ewa Juszkiewicz naśladuje konkretnych artystów, obrazy i manierę dawnych mistrzów, ale powierzchownie traktuje modelunek światłocieniowy, kierunek padania światła, wzajemne oddziaływanie kolorów. Prawdopodobnie dla jej odbiorców to nie ma większego znaczenia, bo z grubsza wszystko wydaje się oddane realistycznie, chociaż nie jest konsekwentne i logiczne.

Natomiast u Cimy da Conegliano mamy mistrzowskie przechodzenie od światła do cienia. Ile tu się dzieje w obrębie jednego koloru! Odbiorca, który nie ma wytre-
nowanego oka, nie dostrzeże tych różnic, bo u Juszkiewicz generalnie wszystko się zgadza. A uwagę zwracają przede wszystkim elementy surrealistyczne, jest silny element zaskoczenia, jednak niewiele dzieje się w samej technice malarskiej, która jest nudna. Co innego u Volkera Hermesa, który jest znakomity, maluje atlasy i jedwabie jak Ingres, a do tego jest prawdziwie prowokujący.

Wiem już, że nie lubisz Juszkiewicz, a czego najbardziej nie lubisz w sztuce współczesnej czy najnowszych „modach” wystawienniczych?

– Immersji, która zalewa świat. Mamy obecnie mnóstwo różnorodnych „immersyjnych” wystaw. Chociaż sama immersja to naprawdę fajne zjawisko. W końcu to przejście, chociaż złudne, do alternatywnych rzeczywistości, zatopienie się w innym świecie. Wspomniałam uczucie, które może mieć terapeutyczny wręcz walor.

Takiej immersji doświadczyłam na wystawie Marka Rothki w muzeum Fundacji Louis Vuitton. Wprowadziły mnie w nią jednak nie obrazy – trudno się je oglądało w tłu-



• Carel Fabritius
– „Wskrzeszenie Łazarza”

mie – ale sam budynek. Nieprawdopodobnie piękny, intrygujący projekt Franka Gehry’ego już sam w sobie jest czymś niezwykłym. Niektórzy porównują go do żagli – dla mnie to wielki skorupiak, który osiadł w Las-
sku Bulońskim. Oglądałam wystawę Rothki, a jednocześnie płątałam się po budynku i jego tarasach z niezwykłymi widokami na Paryż, pomiędzy futurystycznymi elementami konstrukcyjnymi i poczułam, że znalazłam się w innym wymiarze. Przeplącałam nawet za lunch, żeby dłużej w nim pobyc.

Gdy jesteśmy długo w muzeum, pod koniec zwiedzania marzymy zazwyczaj tylko o jednym – o kawie i powietrzu. Uciekamy do światła, tlenu, widoku. W Muzeum Narodowym tego nie ma. To zamknięta, odcięta od świata przestrzeń, z wyjątkiem Galerii Średniowiecznej z widokiem na ogród i dziedzińiec oraz kilku okien w Galerii Sztuki Dawnej otwierających się na miasto. W muzeach XIX-wiecznych budowano świetliki, które dawały rozproszone, przyjemne światło. Dzisiaj niemal wszystkie pokryte są blendami, podobnie jak wszelkie okna.

W Fundacji Louis Vuitton też nie ma okien w salach wystawowych, ale wystarczy wejść na klatkę schodową, na tarasy, pocho-
dzić po budynku, żeby doświadczyć przestrzeni i dziennego światła, zrekompenso-
wać klaustrofobię panującą wewnątrz. To jest immersja, którą lubię, na pograniczu sztuki i natury.

Porozmawiajmy o tych, których nie lubisz.

– Dzielę immersję na trzy rodzaje. Pierwsza, nazwijmy ją artystyczna, to taka, którą tworzy np. Yayoi Kusama czy David Hockney, który niedawno w Londynie pokazał obrazy na wielkich monitorach. To są kreacje tworzone przez wybitnych artystów z myślą o wciągnięciu widza w rzeczywistość sztuki. Są także wystawy immersyjne o charakterze dydaktycznym. Można na nich wejść do ludzkiego organizmu albo zagubić się w kosmosie. Wchodzenie do mózgu albo dotykanie gwiazd! To fascynujące.

Natomiast nie znoszę wystaw immersyjnych typu „Monet i impresjoniści”, „Immersive van Gogh” czy „Immersive Klimt”. Proszę sobie zresztą podstawić po słowie „immersive” dowolną wielką gwiazdę sztuki – Fridę Kahlo albo Tamarę Łempicką.

Co mamy na takiej wystawie? Powiększone cyfrowe obrazy. Pokazywane w skali, do której nie były malowane, rozciągnięte od sufitu aż na podłogę. Chodzimy pod „niebem van Gogha”, depczemy łąki. W Warszawie na immersyjnej wystawie Moneta i impresjonistów fragmenty poszczególnych obrazów łączyły się w cyfrowe kolaże. Pani z parasolką obok bukietu na oknie z widokiem na morze, a każdy element z innego dzieła. Żeby tę immersję zwiększyć, zbudowano mostek i położono na podłodze plastikowe nenufary. Świetna immersja – spacer po trawie z pikseli i zapach plastiku. Dla zwiększenia nastroju brzmiało „Bolero” Ravela, bo najbardziej lubimy te piosenki, które już dobrze znamy. Nie była to wystawa Moneta i impresjonistów, lecz wizja współczesnego grafika komputerowego. Trochę

złośliwie nazywam to „dekupażem”. Ma być ładnie, trochę sexy.

Nie czuję na takiej wystawie immersji, ale irytację. Ktoś mnie robi w konia i jeszcze mówi: tylko tu zobaczysz detale van Gogha i poznasz technikę impresjonistów.

Nie zobaczysz?

– Detal van Gogha to mięsista farba, gruba faktura. To zmysłowa tkanka malarska, nie płaskie piksele. Oszustwem jest też sama sugestia, że tego typu powiększenie jest nam potrzebne i służy poznaniu obrazu.

A może jednak potraktować takie wystawy jak popularyzację sztuki? Może to być krok przed pójściem do muzeum.

– Nie jestem do tego przekonana. Wizyta na takiej wystawie nie pomoże zrozumieć oryginalnego dzieła. Ono ma inną skalę, fakturę, materię. Należy do innego świata. Do obrazu warto podejść blisko, niemal go powąchać, zrozumieć jego formę, strukturę i zastosowane środki malarskie. Wystawy immersyjne, które krytykuję, nie edukują ludzi, one na nich zarabiają.

Czytałam wywiad z dyrektorem firmy Culturespaces, która organizuje wystawy immersyjne na całym świecie. Mówił wprost: dajemy ludziom coś, co ich nie zmęczy. Nie muszą niczego czytać, mogą wejść na wystawę i położyć się na podłodze. „Nie ma kuratorskich komentarzy ani tekstów na ścianach” – to zapamiętałam dokładnie. Zaletą ma być również to, że widzowie nic nie muszą. Zmroziło mnie. Gdy człowiek nic nie musi w obcowaniu ze sztuką, to znaczy, że dostaje lekkostrawną papkę. Wówczas wystawa niczym się nie różni od propozycji w parkach rozrywki.

Może niektórzy potrzebują papki? Życie samo w sobie nie jest łatwym zadaniem. Stąd „książki, które otulają” czy wystawy, na których można pospać.

– Są różne postawy i oczekiwania wobec sztuki i je rozumiem. Ale... sama nie lubię banału ani nadmiernej łatwości. Prosty trików. Wiem też, że kotek i piesek pomogą nie tylko w odbiorze sztuki, lecz również w zasięgach w mediach społecznościowych, bo proste, pozytywne skojarzenia i emocje się klikają. Prowadzę stronę internetową i podcast, ale nie dzielę się z ludźmi moimi stanami emocjonalnymi i zdjęciami domowych pupili. Lubię mocne bodźce i sztuka jest dla mnie tym, czego na szczęście nie mam w życiu. Spotkaniem z silnymi przeżyciami, czasem nawet zetknięciem się z czymś granicznym. Sztuka wiele kompensuje.

Poza tym uwielbiam dziwność. Wielu widzów oczekuje, że sztuka będzie realistyczna, piękna i wzniosła, budująca patos, że nie będzie budzić dyskomfortu, grozy, strachu czy przerażenia.

Groza też się czasem dobrze sprzedaje.

– Bardzo żałuję, że Maria Poprzęcka w rozmowie z tobą jako pierwsza powiedziała prawdę o Beksinińskim. Zresztą o Łempickiej też. Zazdrość jej tego. To ja dorzucam Ewę Juszkiewicz.

Kto zamiast?

– Właśnie Volker Hermes. Niemiecki malarz, który posługuje się – pozornie – podobnym konceptem co Juszkiewicz. Jest od niej znacznie lepszy malarsko, o czym już mówiłam, ale również perwersyjny w prawdziwy sposób. Jego obrazy są niepokojące. A u Juszkiewicz mimo wszystko wciąż wszystko jest ładne – dekoracyjne i pozbawione niepokoju.

Malarstwo hotelowe?

– Tak, świetnie pasuje do luksusowego hotelu i prywatnego apartamentu. Szczególnie w ładnej ramie. Natomiast Volker Hermes ze swoją perwersją straszy, możemy się bać – i tego, co widzimy, i tego, co sobie wyobrazimy. Co by było, gdyby opadły maski i zasłony z twarzy jego modeli, pod nimi nie ma pustki.

Wróćmy jeszcze do muzeum, w którym jesteś. Co byś chciała powiedzieć ludziom, których mijaliśmy?

– Zacznijmy od anegdoty. Kilka lat temu podczas pandemii muzeum z powodu oszczędno-

ści musiało częściowo rozstać się z firmą, której pracownice i pracownicy pilnowali sal wystawowych. Poproszono nas wówczas o dyżury. Szybko okazało się, jak trudną pracą jest stanie osiem godzin. Brałam dyżury w galerii, którą się zajmuję, czyli w Galerii Sztuki Dawnej.

Patrzyłam, czy widzowie zwracają uwagę na to, co chcieliśmy im pokazać, czy idą przewidzianym szlakiem, czy odczytują zestawienia dzieł, które zrobiliśmy. Przeważnie nic z tych rzeczy. To był ciekawy, poznawczy początek. Z czasem zaczęłam się już trochę nudzić. Więc wymyśliłam taką grę – gdy ktoś wchodził do galerii i witał się ze mną, choćby wzrokiem czy uśmiechem, to proponowałam, że go oprowadzę. Zabawne było to, że dla widzów, których oprowadzałam, moja ekspercka wiedza była całkowicie naturalna. Nikt nie zapytał, skąd to wszystko wiem. Wiadomo, że personel Muzeum Narodowego jest dobrze wykształcony i tyle.

A jak ktoś nie mówił „dzień dobry”?

– Gburów zostawiałam samym sobie. Niech się męczą. I z przyjemnością patrzyłam, jak sobie nie radzą. Wzrok na obraz, wzrok na podpis i dalej – obraz, podpis, czasem komórka, obraz, podpis. Rytualny spacer i spełnienie obowiązku wizyty w muzeum. Myślę, że jeśli ktoś czuje się trochę bezradny, to powinien wybrać sobie na początek dzieło sztuki, jedno albo kilka, przyjrzeć im się dokładnie, sfotografować podpis, a potem odnaleźć je w sieci, poczytać o nich. Mamy cyfrowy przewodnik, a i literatura o sztuce jest dziś dostępna po kilku kliknięciach.

Warto powoli budować własne kolekcje wyobraźni. Nie musimy wszystkiego w każdym muzeum obejrzeć, nie musimy wejść do każdej sali, ale jeśli już coś nas zagnało do galerii, to zróbmy z tej wizyty użytek. Stwórzmy swój świat ulubionych dzieł sztuki – obrazów, rysunków, rzeźb, rzemiosła. Ten zasób będzie rósł, poszerzał się o nowe dzieła, dokładane podczas wizyt w różnych muzeach. Będziemy wówczas nie konsumentami, lecz kolekcjonerami.

Jeśli mamy muzeum w swoim mieście lub okolicy, to zaprzyjaźnijmy się z nim i ze znajdującymi się w nim zabytkami. Józef Czapski i inni wielcy ludzie, którzy kochali sztukę, przychodzili do galerii, aby zobaczyć jeden obraz. Oczywiście, jeśli mieli czas i możliwości. Ale i my, w naszym zabieganiu i pośpiechu, nie musimy potęgować stresu, zwiedzając „na czas” wielkie muzea.

Możemy przygotować się do wizyty, wybrać zabytki, które nas ciekawią, zrezygnować z galerii, do których nie mamy cierpliwości. Możemy też oddać się przypadkowemu odkryciom i w ten sposób budować relację z wybranymi dziełami sztuki. Nie bójmy się własnego gustu, osobistych spostrzeżeń, ale i wiedzy wynikającej z doświadczeń. Byłabym ciekawa, co zobaczy młoda matka, patrząc na „Madonnę della Sedia” Rafaela we florenckim Palazzo Pitti, albo co pomyśli lekarka, przyglądając się stopom Adama i Ewy na naszym obrazie Lucasa Cranacha. Dzieła rozmawiają z nami, a my z nimi. Nasze osobiste zasoby wystarczą, aby obcować ze sztuką i ją „posiadać”.

Do muzeum wyobraźni nie trzeba biletu, są naprawdę tylko nasze. ●



FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCIA WYBORCZA.PL

*** Grażyna Bastek**

• jest historyczką sztuki, autorką popularnych książek „Rozmowy obrazów”, podcastu „Po co sztuka” i prowadzi blog „Galeria Osobliwości”. Pracuje w Muzeum Narodowym w Warszawie, gdzie jest kustoską malarstwa włoskiego

FOT. TOMASZ SAGAN



W naszym kraju faceci zazwyczaj się zaprzyjaźniają przy kieliszku. I później im się wydaje, że ten, z którym pili i się dobrze bawili – to jest właśnie przyjaciel

Z **BORYSEM SZYCEM**, TYTUŁOWYM BOHATEREM SERIALU KRYMINALNEGO „FORST” (NETFLIX), ROZMAWIA **AGA KOZAK**

Zawsze się zastanawiam, jak to jest, że w swoim życiu możesz być i porąbanym dressem, i nobliwym Piłsudskim... Skomplikowanymi policjantami, szlachetnymi żołnierzami, ale też zatracającym się imprezowiczem? Czy ty czujesz, że są pewne archetypy ról męskich, do których lepiej się nadajesz? I czy one się zmieniają?

– Zmieniają się, bo nie da się uciec od fizyczności, wieku, doświadczenia, ale też od zmian w moim postrzeganiu świata – bo to też odbija się na rolach, które się gra. No cóż, nie zagram już młodego, dobrze zapowiadającego się złodzieja – jak w „Vinci” – który infantylnie, ale też słodko podrywał swoją przyszłą dziewczynę. W „Vinci” grała ją Kamilla Baar, z którą się teraz, po latach, spotkałem na planie nowego serialu, w którym gram i który produkuję – czyli „Forsta”. Bardzo ciekawe przeżycie. Wiesz, ja już nie jestem młodziakiem: jestem ojcem, zmierzam w stronę – oczywiście dopiero za jakiś czas! – dziadka. To trochę tak: malarz przez lata ciągle zostawia coś innego na płótnie – ja podobnie, też już pokazuję coś innego. Inne przeżycia, wspomnienia i ślady po sobie. Oczywiście w moim zawodzie nie mam aż takiego wpływu – jak ów malarz na to, co zostawia na płótnie – na to, co gram, bo opieram się zazwyczaj na propozycjach od innych. Ale od jakiegoś już czasu staram się role dobierać zgodnie z moim sumieniem i aktualnym myśleniem o świecie.

Czy to dlatego, żeby mieć większy wpływ na to, co grasz, postanowiłeś otworzyć firmę produkcyjną?

– ...i żeby właśnie móc wybierać takie rzeczy, które mnie samego kręcą. Nie zawsze to też musi być „filozoficzne oddanie mojego stanu ducha” – wystarczy, że jest to coś, co daje mi przyjemność, gdy powstaje. Gdy coś jest wyzwaniem. Bo muszę ci wyznać, że po 20 kilku latach uprawiania tego zawodu – po prostu się nudzę. I to, że gram tak różnorodne role, to też dlatego, chcę sobie świat ubarwiać i dać sobie więcej frajdy, a zarazem wyżej sobie stawiać poprzeczkę. Więc raz jestem kobietą w „Magnezji”, raz Piłsudskim, a kiedy indziej Romanem w „Kryptonimie Polska”, która to rola była według mnie wręcz prorocza. A teraz – patrząc na to, co się dzieje na naszej scenie politycznej – to sobie myślę, że właściwie można by było tę postać Romana grać w nieskończoność i ten serial mógłby się nie kończyć... [Roman to przywódca grupy narodowców z Białegostoku, Zrzeszenia Młodzieży Radykalnej, która zdobyła rozgłos dzięki zorganizowaniu urodzin Hitlera - od red.]

Masz na oku albo gdzieś w duszy, w marzeniach, taką rolę, którą chciałbyś zagrać?

– Mam ochotę dobrać się do nowych projektów, wyszukuję je sobie. Takie marzenie jest łatwiejsze na ścieżce teatralnej – mówisz: „chciałbym zagrać Hamleta” – co mi się już przydarzyło – i możesz to zrobić, bo istnieje zapis w kulturze teatralnej konkretnych, ambitnych, ikonicznych czy, jak to nazwałaś – archetypicznych – ról. To jest klasyka. I choć każdy dobry scenariusz serialu czy filmu to tak naprawdę Szekspir w takim czy innym wydaniu – to jednak nie mogę tak sobie marzyć o rolach filmowych, bo nigdy nie wiem, jaki scenariusz się pojawi. Czy pojawi się „Król Lear” przemieszany z kilkoma innymi sztukami? Czy ktoś odda układ dramatyczny i to napięcie z Szekspira? Każdy scenarzysta czy aktor, poszukując nowych ciekawych wyzwań, szuka tych śladów dramaturga. Nie ważne, czy to kryminał, czy to komedia, czy jeszcze inny gatunek – liczy się ta szekspirowska dynamika. I to wcale nie jest łatwo napisać, mielibyśmy wtedy Szekspirów na pęczki... Ale próbujemy. Czasem się zdarzają takie wspaniałości jak „Warszawianka” czy „Forst”. Ale to już kino typowo gatunkowe. Kryminał.

Co cię ujęło w tej postaci? To trochę taki gorzki bohater, pomieszanie Bonda z Philipem Marlowe’em i paroma innymi, których tak dobrze znamy. Głina, który nie przystaje, uwodziciel, który nie radzi sobie ze sobą...

– To ja ci powiem, że w historii Mroza – a nasz serial jest na motywach, nie jest adaptacją jego powieści – nie tyle ujął mnie sam bohater, nic mu nie ujmując, ile sceneria. To, że to się dzieje w Tatrach, bardzo mnie pociągało od czasu, kiedy chyba w 2015 czy 2016 roku przeczytałem powieść Remka i się z nim spotkałem. A na jednej z jego powieści napisałem nawet: „bardzo ciekawa historia – chciałbym kiedyś w tym zagrać” – a ja nie odpuszczam. Wracając do Tatr: myślę, że one zasługują na najlepsze historie świata. Te ich mroczne wymiary można wydobyć i uwypuklić w niesamowity sposób. A jeszcze jak do tych gór się doda inspirowaną tamtejszą kulturą muzykę, która czasem może być przaśną muzyczką z knajpy, a czasem aranżem stworzonym – jak u nas – przez Janka Młynarskiego albo przez Maćka Dobrowolskiego, to robi się bardzo nastrojowo, tajemniczo, pięknie. Czasem też śmiesznie, ale przede wszystkim groźnie i monumentalnie, bo te góry dodają powagi każdej historii.

W serialowym „Forście” bardzo czuć, że ktoś, kto go stworzył, kocha Tatry. Czyli to ty.

– To ja! Kocham te góry, kocham Zakopane. Jeździłem tam praktycznie co roku od dziecka i chciałem w końcu spędzić tam takie parę miesięcy, kręcąc serial. A jeśli chodzi o „Forsta”, to myśmy stworzyli bardzo klasyczny kryminał dla wszystkich tych, którzy lubią zasady rządzące tym gatunkiem. I masz rację: jest tu zmęczony życiem komisarz, któremu niby już jest wszystko jedno, ale jednak gdzieś tam tli się w nim poczucie, że dobro powinno zwyciężyć. Do tego ktoś go zaczyna prześladować – tak naprawdę jest to jego przeszłość, o której chciał bardzo zapomnieć. I tak, bawimy się też motywami bondowskimi. Daniel Craig zmienił tę postać – nie był już Seanem Connerym „klepiącym panie po tyłkach”, tylko facetem po przejściach, zniszczonym życiem, który chciałby rzucić już w cholerę tę robotę, ale nie da rady, no bo ktoś musi ratować świat. „Forst” nie jest do końca „Bondem”, ale ma pokrewne elementy. No a może jaki kraj, taki „Bond”? Nasz jest osadzony w Tatrach.

Wyciągacie w „Forście” nie tylko trudną przeszłość bohatera, ale też długo ukrywane wątki z historii Zakopanego. Te motywy się mieszają. Jakoś tak nagle zobaczyłam, że tak, jak na poziomie indywidualnym nie można dorosnąć, nie mierząc się z trudną przeszłością, tak na poziomie narodu, miasta czy wspólnoty – też.

– Staraliśmy się, żeby to wybrzmiało. Choć ta trudna historia nie jest główną opowieścią, to widać, że jest tu coś, co jest tym „ziarnem niewykopanym i nieoczyszczonym”. Nie chcę nic spoilerować, ale przecież to ziarno nosi w sobie też morderca. I tak – spleta się to z opowieścią o bohaterze, który też może jeszcze nie odpokutował swoich win. Może też się dowiemy jakich...

Śłuchaj, ale to Zakopane z serialu to takie Zakopane totalnie wyidealizowane, mityczne. Ja bym do tego twojego od razu chciała pojechać, ale jak potem sobie przypominam, jak tam jest NA-PRAWDĘ, to mnie telepie i od razu mi się odechciewa.

– Masz rację – w serialu pokazujemy takie Zakopane, jakie ja mam w głowie. I ja też, gdy tam teraz jeżdżę i widzę ten natłok reklam, dziwne nieruchomości, komercję itd. – cierpię, ale nadal gdzieś we mnie istnieje zupełnie inne miejsce: umeblowane moimi wspomnieniami i przeżyciami związanymi z tą kulturą, z jedzeniem, z muzyką zakopiańską. Bo jak ja słyszę góralską nutę, to coś to robi we mnie, w sercu: zaczyna mi wibrować w środku i się totalnie wzruszam. Więc w „Forście”

nie pokazujemy tej całej cepelii, tylko rdzeń, który tam nadal jest.

Miłości twoich tam jest więcej...

– Tworząc ten serial, otoczyłem się ludźmi, którzy mają miłość podzielać – i jeszcze ją uzupełnili! – Janek Młynarski i Maciek Dobrowolski muzyką, Piotrek Uzi Uznański niesamowitymi zdjęciami. Z Piotrkim wcześniej robiłem „Warszawiankę” i wiedziałem, że nikt nie pokaże tych gór jak on. Dołączył fotograf Daniel Jaroszek, z którym poznałem się na planie teledysku Dawida Podsiadły – wszystko, co robił do tej pory, było po prostu piękne, ma ogromną wrażliwość na obraz i czucie, więc te Tatry też pokazał cudownie. Wiesz, ja wraz z wiekiem przekonałem się, że to, co robimy, „sztuka” – powinna powstawać w dobrej, milej atmosferze. Nie uważam, że coś wartościowego powinno powstawać w cierpieniu i przez uderzanie głową o ścianę, wywalanie flaków. Bo coś, co powstaje w takich warunkach, zazwyczaj się rozsypuje. A jak zbierasz drużynę i wszystkim jest dobrze, to powstaje coś pięknego – po prostu dlatego, że każdemu zależy. Przez sześć miesięcy stworzyliśmy na planie dobrze funkcjonującą rodzinę. No może czasem dysfunkcyjną...

Prawie same chłopcy z fantazją, brawura musiała więc chyba być.

– Jest tu mnóstwo kobiet z fantazją! Marta Barańska (producent), Agata Malesińska (scenariusz), Ania Marzęda i Marianna Miko-

Jest tu zmęczony życiem komisarz, któremu niby już jest wszystko jedno, ale jednak gdzieś tam tli się w nim poczucie, że dobro powinno zwyciężyć

lajczak (scenografia), Zosia Komasa (kostiumy), Lila Gałazka (charakteryzacja i efekty). Bez nich byśmy tego wszystkiego nie zrobili! A robiliśmy takie rzeczy, których chyba nikt przed nami nie robił: np. na samym początku zdjęć weszliśmy całą ekipą dzień po dniu na Giewont. To nas niezwykle połączyło, musieliśmy wstać praktycznie w nocy, coś zjeść, o 5 już byliśmy w takim punkcie, gdzie można dojechać autem, i ze schroniska ruszaliśmy na piechotę w górę, a o 6.30 byliśmy na Giewoncie! Tam mogliśmy kręcić do czternastej i trzeba już było schodzić. Następnego dnia to samo.

Wyobraź sobie, że właśnie wstaje słońce i cała ekipa – 80 osób idzie w asyście TOPR-u i nosiczy – czyli tatrzańskich szerpów – którzy przedtem wnieśli na górę tonę sprzętu, a później ją jeszcze znieśli. Naprawdę już dla takich przeżyć warto było zrobić ten serial. Bo przecież ja nigdy sam z własnej woli nie zacząłbym wchodzić o 5 rano na Giewont!

Mimo tego czasu, który tam spędziłeś?

– Jeździłem tam jako dzieciak, jako licealista spędzałem tam każdego sylwestra – w sumie również jako student. Czasem bywałem latem, chociaż bliższe są mi zimowe Tatry. Mam zachowanych w sercu i pamięci mnóstwo wspomnień muzyków, z którymi śpiewałem. Zawsze pragnąłem być góralem, ale to się tak nie da – trzeba się tam urodzić. Ale to pragnienie bycia blisko tego wszystkiego we mnie zostało. Pracując tu, próbowałem je spełnić.

Zakopiańscy górale to bardzo silna wspólnota – co ma i dobre, i złe strony.

Czujesz to jako marzenie o przynależności do takiej właśnie grupy?

– Wiesz, ja w ogóle to jestem samotnikiem: takim kimś, kto zawsze jest z boku – czego się dowiedziałem o sobie dopiero wtedy, gdy wytrzeźwiałem. Przez całe życie miałem pragnienie przynależenia do wspólnoty, chciałem gdzieś z kimś być bardzo blisko. Nie wiedziałem, jak to zrobić, i być może przez to też piłem – żeby jakoś się poczuć bardziej socjalnie, przełamać to moje samotnictwo. I tak, mam te dwa przysłowiowe wilki w sobie: z jednej strony jestem z boku, z drugiej – tęsknię za dużą grupą. A góralska rodzina robi na mnie niesamowite wrażenie. Myśmy mieli zaszczyt i ogromną przyjemność być goszczeni przez rodzinę Krzeptowskich, która zajmuje się też schroniskiem w Dolinie Pięciu Stawów i jest taką piękną, niesamowitą, wielką rodziną, z którą miał szczęście wychowywać się Janek Młynarski. Krzeptowscy nam uchylili drzwi do swojego domu – przez parę takich wieczorów, nocy, wizyt w Dolinie Pięciu Stawów poczułem się częścią tej rodziny. Z moją żoną, z Justynką, byliśmy na urodzinach Janka we wspomnianym schronisku. Był koncert: jego i Marcina Maseckiego. Ale żeby się odbył, do schroniska trzeba było dostarczyć pianino. Najpierw jechało wozami, później quadem do takiej windy, która transportuje jedzenie na górę. I później w takim wielkim koszyku – wjechało na górę. Ci, którzy tego wieczora dotarli przypadkiem do Doliny Pięciu Stawów, wygrali milion w totka. Usłyszeli na żywo koncert

bardzo o czym rozmawiać... W pewnym momencie musisz coś przewartościować w swoim życiu i jeśli masz szczęście, to zostaje z tobą ktoś, zazwyczaj jedna osoba, która ma dla ciebie większe znaczenie niż tylko ta udawana bliskość z innymi. Taka osoba, która zna prawdę o tobie, taką, której nie zna nikt – i jeszcze ją akceptuje i rozumie. Bezinteresownie daje ci siebie, a ty jej siebie. Czasem po prostu musisz taką osobę spotkać, będąc już dojrzałym człowiekiem i wiedząc, czego oczekujesz od ludzi. Choć później te relacje trudniej jest zawiązywać niż za młodu. Myślę, że jest to właśnie ten „kryzys męskości”, o którym tyle teraz mówimy. Ale myślę też, że jest on coraz bardziej uświadomiony. Bo faceci zaczynają właśnie tych swoich wspólnot gdzieś poszukiwać, dbać o nie.

Ty dbasz.

– Staram się dbać, staram się też wyszukiwać nowych przyjaciół, znajdować takie osoby, które mnie pociągają swoją historią, imponują intelektualnie, rozwojem osobistym, otwartą głową. Takich, którzy nie machają tym męskim ego na dzień dobry, tylko zapraszają cię do swojego świata, czegoś chcą cię nauczyć lub wspólnie z tobą się nauczyć, coś ci chcą pokazać. To są bardzo fajne relacje.

To pogadajmy teraz o kobietach w „Forście” – patrzę na tego Piotrusia Pana i myślę, że to chyba wieczny motyw filmowy...

– ...a może to jest wieczny motyw męskości – że później dojrzewamy? I ciągle tęsknimy za swoją Nibylandią?

Forst w sześciu odcinkach ma relacje intymne z trzema kobietami: w pierwszym przypadku nasz bohater opiekuje się dość niestabilną osobą: to taki ratornik trochę korzystający z tego seksualnie. W drugim mamy nostalgiczną „wieczną miłość i niepełnienie”. Trzecia relacja już wygląda na dojrzałą. Jakby Forst w parę dni przeszedł przez fazy rozwojowe mężczyzny.

– Po pierwsze, mam nadzieję, że się Remek, który swoje pierwsze książki pisał lata temu, kiedy inne były wzorce relacji i bohaterów, nie obrazi – staraliśmy się troszkę zmienić podejście książkowego Forsta do kobiet. Chcieliśmy opowiedzieć bardziej nowocześnie o tym facecie. Już nie jako o takim Bondzie Seana Connery’ego, który zalicza kolejne laski i nic to dla niego nie znaczy: chcieliśmy poszukać drugiego dna tych relacji. On tak naprawdę też jest zraniony i też – jak każdy – szuka miłości. Tylko jeśli nie kochasz samego siebie, no to nie umiesz ani miłości przyjąć, ani nikomu jej dać. Dajesz jakieś swoje wyobrażenie miłości, które jest dosyć kulawie, chore i potrzebuje leczenia. „Forst” to nie melodramat, który się kupia na psychice Forsta, tylko opowieść gatunkowa. Ale oczywiście ważne jest, kim jest ten bohater, jakie przechodzi przemiany. Może uda nam się tę jego historię opowiedzieć do końca, bo przecież ten sezon serialu jej nie wyjaśnia. Dowiadujemy się jednak, skąd są jego dziwne zachowania, jego podejście do miłości i postrzeganie rzeczywistości.

A ty jak postrzegasz postacie kobiece? Agatę Osicę, Olgę Szrebską, Frantiskę?

– Każda z kobiet, którą Forst spotyka na swojej drodze, coś o nim mówi. Sama to ładnie zdekodowałaś jako etapy rozwojowe: Agata Osica – nieprzewidywalna, niedojrzała – to emocjonalna przyjaciółka małego Forsta, który przecież w naszym bohaterze w środku siedzi. Ten mały, zalekniiony chłopiec jest spragniony miłości – nie do końca umie myśleć samodzielnie i dlatego mu jest tak blisko do tej niestabilnej młodej dziewczyny. Trochę się nią opiekuje, trochę rzeczywiście sam szuka ratunku i bliskości, seksu, namiastki miłości. Orientuje się jednak, że to nie jest dla niego, że powinien szukać bardziej dojrzałej relacji. Kiedy zjawia się Szrebska – a na nią wszystkie jego dotychczasowe sposoby na podryw nie działają – to nagle musi zmienić postawę, musi pokazać kawalek prawdziwego siebie, bo też nie musi już nic przed tą osobą grać.

Chyba to mu się też podoba w tej kobiecie – może być przy niej sobą. No ale tak, jakieś takie fatum nad komisarzem ciąży – SPOILER ALERT! – że kogo się dotknie, to dzieje mu się coś złego.

Chciałam cię zapytać o ten wymiar, który polskie kino często traktuje po macoszemu, a u was w ten sposób po-traktowany nie jest – o seks. Wiem, że Remigiusz Mróz najbardziej nie lubi pisać scen erotycznych, tutaj jednak one są bardzo ważne, pokazują też dużo z bohatera...

– ...bo właściwie w niewielu momentach w życiu jesteś tak bardzo sobą, jak w łóżku z kimś. Wszystkie wstydy, opory, marzenia, pragnienia, charakter – tam to widać jak na dłoni, nawet jeśli sobie z tego nie zdajesz sprawy. Więc tak, nasi bohaterowie w seksie też ze sobą coś załatwiają, a sceny seksu mają pokazać relacje między postaciami jeszcze głębiej. Czego innego chcą od siebie Forst ze Szrebską, czego innego Forst z córką Osicy – nam zależało, żeby w scenach erotycznych to dokładnie było uwidocznio-ne. Chodziło o to, żeby to nie padało w słowach, tylko w obrazie. I chyba wyraźne jest, że seks ze Szrebską jest bardziej dojrzały – że np. patrzą sobie w oczy. A to jest trudne, jak ludzie się mało znają albo coś przed sobą kryją lub działają kompulsywnie. Wi-dać, że tu właśnie na trzeźwo i świadomie rozgrywa się coś ważnego. I tak, to też jest trudne, podobnie jak w literaturze – bo nie ma nic bardziej asekualnego niż odgrywanie seksu na planie, na którym jest 100 osób, na ciebie są nakierowane lampy i obiektywy kamer. Mam w tym jakieś doświadczenie, ale zawsze...

Mieliście na planie koordynatorki intymności.

– Na początku poczułem taki wewnętrzny sprzeciw, bo ja siebie przez 20 ostatnich lat uważałem za takiego koordynatora: zawsze dbałem o partnerkę, starałem się, żeby była nakryta, żeby nikt, kto nie musi, nie widział jej nagiej. Zarządzałem, żeby wszyscy, którzy są niepotrzebni na planie, wyszli. Byłem takim strażnikiem dobrego samopoczucia. I na początku, gdy wkroczyły koordynatorki intymności, poczułem, że ktoś mi chce zabrać moją rolę! Ale wszedłem w to. Trochę się czułem, jakbym wrócił do przedszkola intymności, ale myślę, że to przegadanie tych scen dużo do serialu wniosło, bo rozmawialiśmy np. o tym, co postaci w tej scenie łączy, a co dzieli. Czego by chcieli, a czego nigdy by nie zrobili ze sobą. To pogłębiło te sceny i pewnie dziewczyny – młode aktorki Ola Grabowska i Zuza Saporznikow – też czuły się spokojniej, bo przecież były mocno przejęte kręceniem takich scen. Pięknie się otworzyły i dały kawalek siebie. To pokazuje, że pomimo tych wszystkich asekualnych przeciwności coś ładnego może się wydarzyć między dwójgiem ludzi na planie – tworzą przekonujące, pogłębiające sceny.

Tak sobie pomyślałam, że może w końcu koordynatorki intymności zadbały o ciebie. Że już nie musiałeś nikogo pilnować – ale jak słyszę, nie odpuściłeś swojej roli.

– To jest moja rola. Opiekun. Ten fragment Forsta jest ode mnie. I we mnie. Zawsze jakaś część mnie jest w tych bohaterach, bo jednak czerpię z siebie i w sobie szukam. I nawet jak mi się wydaje, że tworzę kogoś zupełnie ode mnie odmiennego, to przecież gram moimi mechanizmami, moim głosem i moim sposobem, bo to wszystko jest zapisane w ciele. W przypadku Forsta akurat szukałem bli-skich mi rzeczy, części wspólnej z postacią: opiekuńczości, bo Forst pomimo tego, że niby jest takim oschłym playboyem, to szuka cały czas miłości i ciepła. I tak naprawdę, będąc tą siłą, co wечноnie chcąc zła, wечноnie dobro czyni. A może odwrotnie?

A czy była taka postać w twojej karierze, którą zagrałeś, ale o której najpierw pomyślałeś: „No to przecież kompletnie nie ja!”?

– Jak lata temu grałem w „Wojnie polsko-ru-skiej”, to myślałem, że to kompletnie ja. I le-pilem tego Silnego, który przecież „w ogóle nie istniał” – co jest jego największym dra-matem, wręcz szekspirowskim, że w pewnym momencie orientuje się, że go nie ma – z dostępnych mi kawalków. Jestem z Ło-dzi, więc miałem wokół siebie takich Silnych mnóstwo. Na podwórku, w szkole, w latach 80. w podstawówce. I czułem, że będę wie-dział, jak go stworzyć. Nie wiem, czy Silny to byłem ja, ale ja go czułem w sobie. Jak twor-zysz taką postać, to prowadzisz naprawdę dziwne rozmowy ze sobą i dziwne rzeczy mo-żesz z siebie wyciągnąć... A skoro jednak wy-ciągam to „coś” z siebie, to może jednak jest to jakaś część mnie, taka, do której wcześniej nie miałem dostępu? Rola faktycznie dają ci klucze, którymi sobie otwierasz jakieś kolej-ne zapadki w swoim ciele i głowie lub sejfy ze wspomnieniami. Ja z rolami głównie cho-dzę: lażę gdzieś i sobie myślę o nich, coś tam sobie gadam do siebie nawet czasem – i na-gle coś mi się w głowie otwiera: jakieś uczu-cie sprzed lat. Nie wiem nawet skąd. Na przy-kład że jestem mały i jestem w pralni na stry-chu, w Łodzi. Przypomina mi się zapach tego miejsca albo to, że siedziałem w rogu i wtedy czułem się samotny. Z takich właśnie puzzli potem kleję te wszystkie postaci. Więc na ko-niec one zawsze są ze mnie. Oczywiście to, co mówię, napisał ktoś inny – więc ta postać staje się taką hybrydą pomiędzy mną a tym, co jest na papierze. To już nie jest ani Ham-let, ani Borys, tylko jest Borys-Hamlet, taki trzeci twór, który powstaje z tego miksu mię-dzy mną a postacią.

Ty chyba nie zagrałeś nigdy takiej jedno-znacznie złej postaci? Odrażającego mordercy...

– Jednoznacznie złej? Chyba nie. Chociaż Radziwiłek z „Króla” ... no nie był to miły typ. Chcesz pewnie wiedzieć, czy bym się nie bał? Nie, nie bałbym się tego. Zawsze szukasz bo-wiem w postaci czegoś, co ją uczłowieczy. Bo tak naprawdę to, co nas przeraża, to to, że jak złapią jakiegoś mordercę, to sąsiedzi mówią: „Jak to, przecież to był taki zwykły, miły czło-wiek!”. To, że „zwykły człowiek”, „normalny” takie zbrodnie mógł popełnić, był zdolny do takich rzeczy. Bo takich naprawdę złych lu-dzi jest niewielu i są po prostu zaburzeni psy-chicznie. Dlatego gdy aktor pracuje nad po-stacią „złą”, to szuka zawsze najpierw tych dobrych jej cech. Zło wychodzi wtedy na za-sadzie kontrastu.

Zaczęliśmy tę rozmowę od różno-rodności twoich ról, właśnie wchodzisz na plan „Heweliusza”, gdzie zagrasz trochę zwykłego faceta, a trochę bohatera – kapitana Andrzeja Ulasiewicza.

– Pamiętam historię „Heweliusza” z dzieciń-stwa: à propos puzzli z własnego wnętrza. Pa-miętam taki kadr, zdjęcie tego odwróconego statku. Pamiętam, jak się bałem pochłaniają-cego go morza. Więc gdy dostałem propozycję zagrania kapitana Ulasiewicza, to te wszyst-kie wspomnienia do mnie wróciły – nawet ten strach przed „wielką wodą”. I już się nie mogę doczekać tej pracy. ●

Pałac bezprawia

Czas przestać udawać, że mamy za prezydenta człowieka poważnego.

Marcin Matczak



Jak czytamy w doniesieniach, zanim ujęto Wąsika i Kamińskiego, policjanci czekali, aż prezydent Duda „opuści Pałac”. Każdy w tym czekaniu coś zobaczy: jedni szacunek dla urzędu, inni chęć nienarażania Dudy, bo nigdy nie wiadomo, co się w czasie interwencji zdarzy, jeszcze inni cierpliwość, aż groteskowy ochroniarz skazanych sam usunie się z drogi, by wykluczyć niespo-dziewany gest Rejtana. Ja, i chyba coraz większa część społeczeństwa, bardzo utożsamiam się z tym czekaniem, aż Duda opuści Pałac – na zawsze.

Bo po wtorku czas przestać udawać, że mamy za prezydenta człowieka po-ważnego. Mamy kogoś, kto robi z Polski pośmiewisko, zmieniając siedzibę głowy państwa za jednym zamachem w melinę i mem, którego ochoczo używają świa-towe media, by przedstawić Polskę ja-ko republikę bananową. Z miliona opcji, w tym wreszcie normalnego ulaskawie-nia, wybrał zadekowanie u siebie prze-stępców. Geniusz. Polityczny miks inte-lektu dziewięciolatka i ego mężczyzny w kryzysie wieku średniego.

Bezprawie PiS zaczęło się w Pałacu Prezydenckim, gdy zaprzysiężono trzech dublerów Trybunału Konstytucyjnego, i symbolicznie w nim się skończyło, gdy zatrzymano tam dwóch skazanych. Stoi nam więc przy Krakowskim pałac bez-prawia, z gospodarzem, który zamiast strzec prawa, chroni i promuje tych, któ-rzy je łamią. Który sam wydaje się duble-rem w roli, do której nie dorósł, i za to sam kiedyś być może zostanie skazany.

Duda to odwrócony Midas, który cze-gokolwiek się chwyci, zamienia w wiel-kie prawne g. Prezydenckie ręce, któ-re miały jakoby każdy błąd procedural-ny naprawiać, wszystko niszczyć. To ktoś, kto wprowadził do TK Krystynę Pawło-wicz, personę z tej samej burleski co on sam, karykaturę sędziego, okrutny żart z poważnego urzędu. To człowiek, któ-ry – odurzony żądaniem tłumy – tylko po to powstrzymał marzenia Ziobry o de-strukcji Sądu Najwyższego, by już za mo-ment własnymi ustawami je zrealizować. Facet, który w XXI wieku podpisał sta-linowską ustawę o komisji ds. badania wpływów rosyjskich, a potem apelował o szacunek dla konstytucji.

Aresztowanie w domu strażnika kon-stitucji to żałosny efekt błędu w matrik-sie, którego dopuścił się Duda. Nie wol-no ulaskawiać przed końcem procesu. Nie dlatego, że jakimś prawnikom to się nie podoba, ale że narusza to równowagę władz, o której mówi art. 10 konstytucji, i blokuje wymierzenie sprawiedliwości.

Pomyślcie o osobie zgwałconej, w któ-rej sprawie prezydent „wyręczyłby” wy-miar sprawiedliwości, nie pozwalając do-prowadzić procesu do końca, bo on się czuje równiejszy i równowagi między władzami nie chce. Ofiara nigdy nie uzy-skuje potwierdzenia, że ktoś ją skrzyw-dził, nie może na podstawie wyroku for-mułować dalszych roszczeń, bo wyro-

ku nie ma. Przez chorą interpretację pra-wa łaski w jej sprawie zachodzi systemo-wy błąd.

Ulaskawienie niewinnego, jak da-nie rozwodu narzeczonemu, wprowa-dza sprzeczność. Rozwiedziony kawaler, choć nigdy małżeństwa nie zawarł, ja-ko rozwodnik nie mógłby na przykład za-wrzeć małżeństwa kościelnego. Idiotycz-na interpretacja prowadzi do logicznej bzdury, której racjonalne prawo nie mo-że tolerować.

Działania Dudy w sprawie sądów da-ły nam dualizm prawny. Oczywiście ten, który tego piwa nawarzył, sam go nie wy-pije, więc rozwiązań trzeba szukać gdzie indziej. Ale gdzie?

Nie pomoże nam Hans Kelsen i jego abstrakcyjna piramida prawa, w której kolejna norma czerpie ważność z wcze-sniejszej. Łańcuch ważności został daw-no przerwany – dzisiaj w Polsce dzie-ki Dudzie niby-sędziowie wydają niby-wyroki na podstawie niby-ustaw i już nikt nie wie, co jest ważne, a co nie. Gdy-by szukać metafor dla tej sytuacji, można by sięgnąć do meczu piłki nożnej, w któ-rej Niebiescy grający z Zielonymi niele-galnie wprowadzili do gry dodatkowych zawodników. Sędzia główny nie chce ich wyrzucić z boiska, bo jest przekupiony przez prezesa Niebieskich, i choć VAR mu mówi, żeby wyrzucił, on twierdzi, że jest ważniejszy i bliżej gry, więc odma-wia.

Co mają zrobić Zieloni? Publiczność ma krótką pamięć, właśnie wróciła z hot doga i nie bardzo wie, na czym pole-ga problem. Czy Zieloni mają wynieść nadliczbowych Niebieskich za ręce i no-gi za boczną linię? Dla niewyrobionej publiczności będzie to wyglądać na faul albo niesportowe zachowanie, za któ-re normalnie należy się czerwona kart-ka. A może mają grać jak gdyby nigdy nic i przegrywać pod naporem nielegal-nej przewagi? Jak wytłumaczyć nieuważ-nej publiczności, że wyrzucenie nielegal-nych graczy z boiska jest przywracaniem gry do stanu zgodności z regułami, a nie ich łamaniem?

Zwłaszcza że Niebiescy krzyczą „faul” głośniej niż Neymar, piłkarski mistrz symulowania. Beata Szydło jest zniesma-czona, że jeden Bodnar jest w trzech oso-bach: senatorem, ministrem i prokura-torem generalnym, choć przez osiem lat to samo robił Ziobro. W „Casablance” ka-pitan Renault całymi dniami gra w nie-legalnym kasynie, a gdy zmienia się po-lityczny wiatr, wstaje i bez mrugnięcia okiem mówi: „Jestem oburzony, w tym miejscu uprawia się hazard”. U nas to sa-mo robi nasz kapitan Seicento. Podobnie Morawiecki – mówi o potrzebie ochrony prawdy i konstytucji tym samym pompa-tycznym głosem, który tym wartościami przez osiem lat zaprzeczał. I apeluje o społeczny spokój, wzywając do udziału w marszu na Sejm.

Skoro Kelsen i jego abstrakcyjna waż-ność norm nie pomoże, może przyda się inny filozof prawa, H.L.A. Hart. U nie-go o ważności norm decyduje ich akcep-tacja przez sędziów i obywateli, bo pra-wo to nie monolog szeryfa, ale dialog między rządzącymi i rządzonymi. Ostat-nie wybory pokazały, że większość Pola-ków wie, kto ponosi winę za ten bałagan. Niech ta akceptacja rozstrzygnie pro-blem dualizmu.

Nic tak nie przypomina o zbrodni, jak surowo wymierzana kara, nic nie usu-wa dualizmu lepiej niż powszechna ak-ceptacja dla prawa racjonalnego, a nie wewnętrznie sprzecznego. Może Be-acie Szydło i Morawiekiemu wyostrzy się prawnicze oko, gdy sami odpowiedzą prawnie za niepublikowanie wyroków TK. Miejmy nadzieję, że kiedy ich dosię-gnie sprawiedliwość, nikomu nie przyj-dzie do głowy, by dać im schronienie w Pałacu Prezydenckim i znowu zrobić z Polski pośmiewisko. ●



Witam Państwa noworocznie, z tradycyjnymi życzeniami, by ten rok okazał się lepszy od poprzednika oraz aby wasze plany udało się zrealizować, a marzenia spełnić.

A skoro już przy planach i marzeniach jesteśmy... Takowe z pewnością miała Tonya Harding, amerykańska łyżwiarka figurowa. Ba, realizowanie ich wychodziło Harding całkiem dobrze: w 1989 roku – w wieku 19 lat – stanęła na najniższym stopniu podium mistrzostw USA, a dwa lata później była już w ojczyźnie najlepsza.

W tym samym roku w Monachium zdobyła też srebro mistrzostw świata, ustępując jedynie swej rodaczce Kristi Yamaguchi, a wyprzedzając inną krajanek, Nancy Kerrigan.

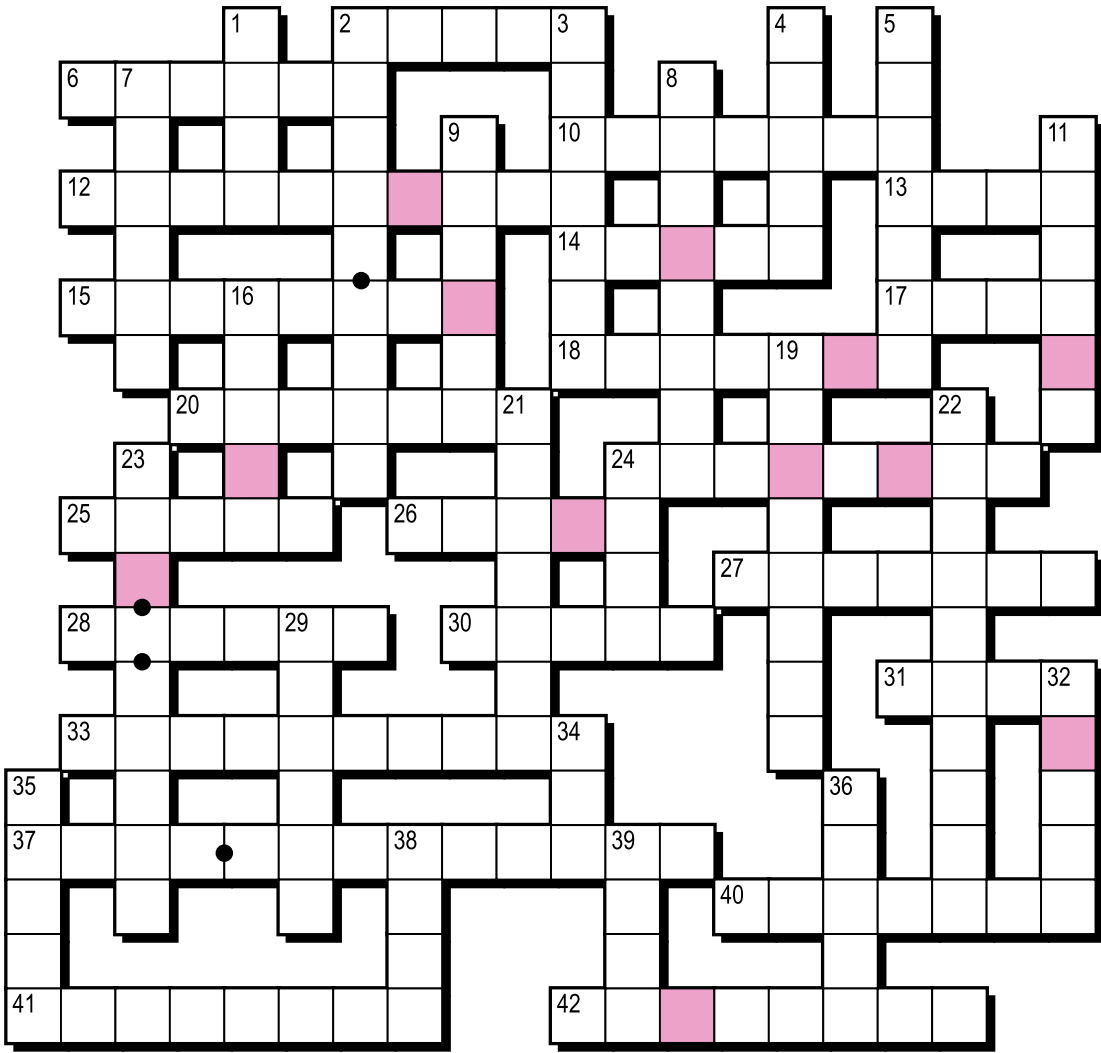
Rok później Yamaguchi zakończyła karierę, odchodząc w glorii mistrzyni świata oraz mistrzyni olimpijskiej (na igrzyskach w Albertville w 1992). Wiadomo było, że teraz liczą się tylko Harding i Kerrigan. A na horyzoncie były kolejne zimowe igrzyska – w Lillehammer w 1994 roku.

6 stycznia 1994 roku Nancy Kerrigan, przygotowująca się do krajowego czempionatu na lodowisku w hali Cobo Arena w Detroit, została napadnięta po treningu przez niejakiego Shane’a Stanta. Napastnik uderzył Nancy pałką teleskopową w nogę. Na szczęście doszło jedynie do stłuczenia, nie złamania, ale to uderzenie na zawsze złamało karierę. Karierę Tonyi Harding. Okazało się, że Stanta wynajęli Jeff Gillooly, były mąż Tonyi, oraz jej ochroniarz Shawn Eckardt, a chodziło o usunięcie Kerrigan z drogi. Ta ostatnia musiała wycofać się z mistrzostw kraju (wygrała je Harding), ale w Lillehammer już wystartowała. I to jak – zdobyła srebrny medal! Harding również pojechała do Norwegii, ale wówczas już cały świat trąbił o jej udziale w spisku i ataku na Kerrigan. Harding zajęła ostatecznie 8. miejsce. Kiedy uznano ją za winną w aferze, odebrano jej tytuł mistrzyni kraju i ukarano grzywną 160 tys. dol. Amerykańska Federacja Łyżwiarstwa Figurowego zakazała jej startów w organizowanych przez siebie zawodach. Dożywotnio. Harding wyklęło też całe światowe środowisko łyżwiarskie – nikt nie chciał z nią startować. Próbowала potem jeszcze swoich sił w boksie, ale na taflę, by rywalizować w zawodach figurowych, już nie wróciła.

Dziś, 30 lat po wydarzeniach z Cobo Areny, „Weekendówkę” poświęcamy wielkim rywalizacjom i zaprzysięgłym wrogom. Jak zdradził mi nasz krzyżówkowy guru Leszek Rydz, jest ich tyle, że nie zdołał wszystkich ująć w krzyżówce. Miejsca zabrakło m.in. dla Milanu i Interu, Republikanów i Demokratów, Marit Bjørgen i Justyny Kowalczyk czy zwaśnionych rodów Capuletich i Montecchich.

Z nowym rokiem oddają też pełnię władzy nad krzyżówkowymi hasłami w ręce Leszka – i dziękuję wszystkim, którzy przez półtora roku z okładem wspierali nas w weekendówkowym czynie. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 84 z 30.12.2023 r.

- Poziomo:**
- 3) sukces 5) Bridget Jones 9) cele
 - 10) kalendarzyk
 - 12) Dziadek Mróz
 - 14) marzenia 16) filmy
 - 17) kran 19) czytanie
 - 21) poprawa 23) wiersz
 - 25) słownia 27) lista
 - 29) dzień 30) praca
 - 31) nałogi 32) silna wola
 - 33) motywacja
 - 34) prawo

- Pionowo:**
- 1) orzeczenie 2) realizm
 - 3) słodycze 4) skok
 - 6) dieta 7) trąbki
 - 8) oskarżony
 - 11) zamiary 13) decyzja
 - 15) awans 18) nadzieja
 - 19) czas 20) spis
 - 21) palenie 22) płaca
 - 23) wahania
 - 24) rozmowy 26) nici
 - 28) troska 30) pismo
 - 32) smak

HASŁO:
SAMOZAPARCIE

WROGOWIE

Poziomo:

- 2) antagonistą Batmana
- 6) Waldemar, wróg Pana Samochodzika
- 10) Wasilij Zajcew lub Erwin König z filmu „Wróg u bram”
- 12) Adam, skonfliktowany z Juliuszem Słowackim
- 13) komisarz tropiący Kilera
- 14) ... kontra Commodore, rywale z czasów komputerów 8-bitowych
- 15) pokonany przez Scypiona Afrykańskiego
- 17) El Clásico: ... vs Barcelona
- 18) Piłsudski kontra ..., dwie wizje niepodległej Rzeczypospolitej
- 20) antagonistą 35 pionowo
- 24) Karpow kontra ...
- 25) zimna ..., między USA a ZSRR po drugiej wojnie światowej

- 26) Nancy Kerrigan i ... Harding, amerykańskie łyżwiarki
- 27) film Christophera Nolana o obsesyjnej rywalizacji dwóch iluzjonistów
- 28) najdalej od Boga (albo przeciwieństwo anioła)
- 30) Pink ..., z wieloletnim konfliktem Gilmoura i Watersa w tle
- 31) niegodziwiec, tajdak
- 33) Napoleon kontra ... (starcie pod Waterloo)
- 37) zagiały parol na młodego czarodzieja z Hogwartu
- 40) „Dwaj zgryźliwi ...”, skłócenie panowie z komedii Donalda Petriego
- 41) imię detektywa tropiącego profesora Moriarty’ego, geniusza zła
- 42) para zwierząt, które często nie darzą się sympatią

Pionowo:

- 1) albo Kaczyński, albo on
- 2) jego głównym przeciwnikiem jest Ernst Blofeld
- 3) ... Lwie Serce, doświadczył intryg swego brata – Jana bez Ziemi
- 4) smakuje lepiej niż coca-cola?
- 5) ... vs Lamborghini, motoryzacyjni rywale
- 7) ... vs Puma (odzież sportowa)
- 8) najlepszy piłkarz XX w. – Pelé czy ...?
- 9) ... kontra Płock, święta wojna w ekstraklasie szczypiornistów
- 11) „wróg” Kargula
- 16) cesarz, którego uznano za wroga publicznego Rzymu
- 19) jego największym wrogiem jest złoczyńca Lex Luthor
- 21) kto zdobędzie Złotą Piłkę – ... czy Messi?

- 22) generałowie Patton i ..., rywalizowali ze sobą na froncie II wojny światowej
- 23) w wielu kreskówkach zwalczają się, aż strach
- 24) Taylor Swift i ... Perry, przez wiele lat w konflikcie
- 29) ... i Tesla; ich rywalizacja nakręciła rozwój technologii
- 32) rywalizowali w nich Bubel z Koprem
- 34) haker na celowniku agenta Smitha (cykl „Matrix”)
- 35) antagonistą 20 poziomo
- 36) ... i Hutu, zwaśnione plemiona w Rwandzie
- 38) Moby ..., obsesja kapitana Ahaba
- 39) Jean, zagrał w filmie „Wielki błękit” o rywalizacji dwóch nurków

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34295017

Byle do

weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play